



Szafeństwo Hitlera
Dlaczego Niemcy przegrali
ze Związkiem Sowieckim

Zagadka śmierci króla
Jak naprawdę zginął
Władysław Warneńczyk?

Urodzona na Pawiaku
Wstrząsająca rozmowa z ofiarą
niemieckich represji

NR 7(101)/2021 LIPIEC 2021

CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
DZIECZY
MIESIĘCZNIK LIŚCIKOWY

Polacy kontra Niemcy
WOJNA
OŚLĄSK

9 772299 951509
ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr 101, 2021
07



WYDAWNICTWO
IPN | HISTORIA
PAMIĘĆ
TOŻSAMOŚĆ

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
WWW.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy:

Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne:

Wojciech Niedziółko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska,**
Przemysław Traczyk

Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**

Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca,

także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska**
(także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata**
Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Paweł Zdziarski.

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media
SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Nowakowska, Monika Doros

tel.: 539 953 631, 508 040 664

prenumerata@pmpg.pl

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na

adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub

kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi

Klienta pod numerem: 801 800 803

lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7-18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń

ani nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze

rozpowiastanie materiałów opublikowanych

w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest

zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku

chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa

zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu

tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki

licencjonowania materiałów prasowych na www.

dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 11 listopada 1938 r.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz wita się z Józefem Ondruchem, nadsztygarem z Zoolia, podczas Święta Niepodległości



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Wojna o Śląsk

W czasach wielkich monarchii ludzie różnych nacji, kultur i wyznań żyli obok siebie w granicach jednego państwa.

Monarchie te zawały się jednak z hukiem w latach 1917–1918. Na ich miejsce powstała cała mgławica państw narodowych.

Wówczas pojawił się problem wytyczenia nowych granic. Tereny znajdujące się na pograniczu były bowiem na ogół mieszane. Gdy dyplomacja zawodziła, graniczne spory rozstrzygał oręż.

II RP u swego zarania zaangażowała się w wiele takich konfliktów. Polacy musieli walczyć o Lwów z Ukraińcami, o Wilno – z Litwinami, o Poznań – z Niemcami. Z kolei Śląsk Cieszyński zagarnęli Czesi.

Niezwykle dramatyczne wydarzenia miały miejsce na Śląsku. Ten przemysłowy, zasobny w węgiel region stał się przedmiotem sporu między Polską a Republiką Weimarską.

Polacy wskazywali na to, że większość jego mieszkańców jest pochodzenia polskiego, Niemcy używali argumentów historycznych i kulturowych. Elity Śląska, szlachta, kadra inżynierska, inteligencja mówili bowiem w większości po niemiecku.

Niemcy usiłowali przemocą zdławić polskie nastroje części Ślązaków. Efektem były trzy powstania w latach 1919–1921. To

ostatnie i największe wybuchło, gdy Polacy nie pogodzili się z niekorzystnym dla nich wynikiem plebiscytu.

Ostatecznie spór skończył się korzystnym dla Polski podziałem Śląska. Dla słabo uprzemysłowionej, rolniczej II RP była to sprawa być albo nie być. Olbrzymia część polskiego przemysłu i 73 proc. węgla brunatnego pochodziły bowiem z Górnego Śląska.

W II RP Śląsk miał status prowincji autonomicznej. Po drugiej wojnie – w wyniku klęski III Rzeszy – w granicach komunistycznej Polski znalazła się zaś reszta spornego terytorium. Decyzją wielkich mocarstw Warszawa otrzymała nie tylko Górny, lecz także Dolny Śląsk, z którego wypędzono ludność niemiecką.

Historyczny spór o Śląsk wygrała więc Polska. Jest jednak jeszcze jeden – ludzki i tragiczny – wymiar tej walki. Otóż, jak to często bywa na terenach pogranicznych, wielu ludzi na Śląsku miało podwójną lub jeszcze bardziej złożoną tożsamość. Podziały narodowościowe często szły wzdłuż rodzin. Jeden członek rodziny mógł czuć się Polakiem, drugi Niemcem, a trzeci Ślązakiem.

W efekcie podczas powstań śląskich brat stawał przeciwko bratu, syn przeciwko ojcu. Do dzisiaj pamięć o tych wydarzeniach jest na Śląsku żywa i bolesna. ©©

/ TEMAT NUMERU

.06 PROF. RYSZARD KACZMAREK

Powstania nie były wojną domową

.12 MACIEJ ROSALAK

Górnślaska droga do Polski

.16 TOMASZ STAŃCZYK

Śląski przywódca i jego wrogowie

.20 MACIEJ ROSALAK

Powstanie po raz trzeci

.24 MICHAŁ MACKIEWICZ

Powstańczy arsenał

/ CZASY I LUDZIE

.26 PIOTR ZYCHOWICZ

Jak Hitler przegrał wojnę

.30 SŁAWOMIR KOPER

Warneńczyka życie po śmierci

.34 JAKUB OSTROMĘCKI

Holenderski wstyd: Srebrenica

.38 ANNA CZUBATKA

Urodziłam się na Pawiaku

.42 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Azjatyccy żołnierze Hitlera

.46 PIOTR ZYCHOWICZ

„Przeminęło z wiatrem” a sprawa polska

.50 MAREK GAŁĘZOWSKI

Białoruski świadek Solowek

.54 PIOTR SEMKA

Zdrada Rosenbergów

.56 MIKOŁAJ IWANOW

Wielki romans Mannerheima

.60 PIOTR KOSMAŁA

Na straży Starego Kontynentu

/ KRESY

.76 TOMASZ STAŃCZYK

Kresy. Miasto Stanisławów

/ TECHNIKA

.82 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Obróbka stali

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Złoty kołacz**Józefa z Lublina**

/ FELIETONY

.72 JACEK BARTOSIAK

Zatrzymać Putina

.74 PIOTR SEMKA

„Odważni ludzie”

.75 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Do trzech słabych sztuka

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Rak między Piłsudskim, Stalinem a Hitlerem

/ KOMIKS

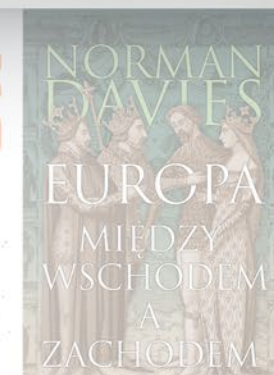
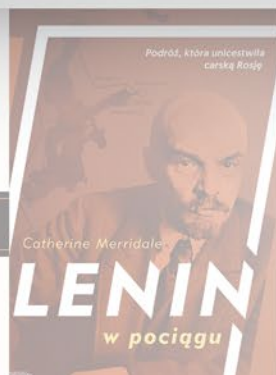
.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Horror polskich dzieci**

Historia

w naszym wydaniu -
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



TIMOTHY
SNYDER



1919–1921

Z badaczem historii Śląska
prof. Ryszardem Kaczmarem

Oddział powstańców

FOT. IPN

rozmowa Piotr Włoczyk

Powstania nie były wojną domową

– Nie można w tym kontekście mówić o wojnie domowej. To była wojna polsko–niemiecka, tyle że niewypowiedziana – mówi prof. Ryszard Kaczmarek

PIOTR WŁOCZYK: Jak wyglądała polsko-niemiecka mozaika na Górnym Śląsku w momencie zakończenia pierwszej wojny światowej?

PROF. RYSZARD KACZMAREK: Ludność, która deklarowała się jako polskojęzyczna, w zdecydowanej większości zamieszkiwała powiaty na wschód od Odry. Wyobraźmy sobie linię biegnącą od Olesna przez Opole do Raciborza – to na wschód od tej linii dominowała ludność

polskojęzyczna. Na zachód od tej linii sytuacja była odwrotna.

Odwrócona była też sytuacja z kresów.

Tak, ale wspomniany podział na wschodni i zachodni Górny Śląsk był o tyle nieprecyzyjny, że miasta były w zdecydowanej mierze zamieszkane przez ludność deklarującą niemieckojęzyczność. Z kolei we wsiach sytuacja była odwrotna. Widać tu rzeczywiście wiele podobieństw do sytuacji na kresach.

Co nam mówi na temat uczuć narodowych mieszkańców Górnego Śląska spis przeprowadzony w Niemczech w 1910 r.?

Spis nie pytał o deklarację narodowościową, tylko o język używany na co dzień. Nie była to więc deklaracja narodowościowa i w związku z tym nie sposób powiedzieć, że 56 proc. ankietowanych uznawało się za Polaków. Oczywiście można spokojnie założyć, że większość

z nich zadeklarowałaby polskość, ale nie wiemy, jak znacząca byłaby ta większość. Co ciekawe, tylko 4 proc. uczestników spisu zadeklarowało dwujęzyczność.

W Polsce kryterium narodu politycznego jest bardzo słabo rozpoznawane. Jesteśmy przywiązani do rozumienia narodu pod kątem etnicznym. Jeżeli ktoś deklaruje się jako Polak, to rozumiemy, że jest związany etnicznie i kulturowo z Polską. W spisie z 1910 r. nie pytano ani o naród polityczny, ani o przynależność narodowościową, tylko o język. Rozumiano to w ten sposób, że wszyscy na Górnym Śląsku byli obywatelami niemieckimi posługującymi się na co dzień językiem polskim lub niemieckim.

Jak władze niemieckie patrzyły na Górny Śląsk na przełomie lat 1918 i 1919? Czy Berlin przewidywał problemy ze strony polskich mieszkańców?

Niemcy długo nie dostrzegali na Górnym Śląsku problemu. Najczęściej

przywołujemy w tym kontekście mowę Wojciecha Korfanteo z 25 października 1918 r. w Reichstagu, w której powtórzył on polskie postulaty mówiące nie tylko o granicach z 1772 r. na wschodzie, lecz także o linii etnicznej na zachodzie. Wtedy jednak te słowa nie wywołały dużego zaniepokojenia wśród Niemców.

Oceniano je jako marzycielstwo?

Raczej tak, ale to się zmieniło po wybuchu powstania wielkopolskiego. Nawet nie tyle myślę tu o rządzie niemieckim, ponieważ państwo niemieckie było wtedy w stanie chaosu, ile o lokalnych decydentach wśród niemieckich polityków w Opolu i w górnośląskim okręgu przemysłowym. Zrozumieli oni, że w tym stanie, w trakcie rewolucji w Berlinie, państwo nie będzie im w stanie pomóc. Dlatego starano się dogadać bezpośrednio z wojskiem i w ten sposób sprowadzono 117. Dywizję Piechoty (zwaną później Grenzschutzem), pełniącą zadania policyjne. Tworzono też struktury ochotnicze, powstał wówczas górnośląski Freikorps. Przemysłowcy deklarowali finansowanie dla tego typu przedsięwzięć. Jednak już od wiosny 1919 r., gdy uspokoiła się sytuacja w Niemczech, włączyły się do tego także władze w Berlinie.

Momentem zdecydowanego rozdzielenia się planów politycznych Polaków i Niemców na Górnym Śląsku był na początku 1919 r. bojkot wyborów do Pruskiego Zgromadzenia Narodowego i konstytuanty niemieckiej przeprowadzony przez polskie ugrupowania polityczne i społeczne, co oznaczało oficjalne wycofanie się polskich reprezentacji z życia politycznego w Niemczech.

Jak blisko Ślązacy śledzili to, co się działo w Wielkopolsce?

Śledzili te wydarzenia dokładnie, na co pozwalały niezwykle zażyłe kontakty już od XIX w. Polskojęzyczna prasa górnośląska bardzo dokładnie relacjonowała to, co się działo w Wielkopolsce. Wiele miejsca poświęcały tym tematom zarówno „Katolik”, jak i „Gazeta Robotnicza”. To, że Wojciech Korfanty był komisarzem wojskowym w Naczelnym Komisariacie w Poznaniu, tym większe budziło zainteresowanie. Pamiętajmy, że Korfanty był bardzo popularny na Górnym Śląsku. Po wysłaniu go przez Romana Dmowskiego do Warszawy na



Posterunek wojsk francuskich, Katowice, marzec 1921 r. FOT. NAC

rozmowy z Józefem Piłsudskim stało się jasne dla wszystkich, że to polityk nie tylko regionalny, mimo że kojarzony z Górnym Śląskiem.

Wielkopolska rozpałała uczucia patriotyczne wśród polskiej ludności na Górnym Śląsku?

Nie tylko. Część Górnoślązaków wielkopolski przykład wydawał się po prostu doskonałym modelem działania. Uważano, że należy zrobić coś podobnego na Górnym Śląsku.

W jaki sposób wielkie mocarstwa patrzyły na przyszłość Górnego Śląska? Legendarna jest w Polsce przychylność ze strony Francji, ale z drugiej strony Paryż wsparł przecież Czechów w konflikcie z Polakami o Śląsk Cieszyński...

Stanowisko państw Ententy wobec Górnego Śląska było dosyć płynne. Pamiętajmy, że mówimy tu o stosunkowo długim, trzyletnim okresie. W czasie konferencji wersalskiej Francja z uwagi na swoje interesy była zdecydowana przyznać Górny Śląsk Polsce. Po stronie

■ polskiej na to liczono i wydawało się, że takie rozstrzygnięcie jest całkiem prawdopodobne. Zmiana stanowiska angielskiego po protestach niemieckich w maju 1919 r. spowodowała jednak, że Amerykanie również zmienili zdanie. Pojawiła się brytyjska propozycja plebiscytu, którą Francuzi z niechęcią zaakceptowali. Na nic zdały się protesty polskiej delegacji. Niewątpliwie Brytyjczycy nie widzieli własnego interesu w przekazywaniu Polsce Górnego Śląska. To oczywiście wynikało z obawy przed zbyt dużym osłabieniem Niemiec – naturalnego rywala Francji.

Można odnieść wrażenie, że powstania śląskie to w potocznym wyobrażeniu jedno wydarzenie podzielone na trzy rozdziały, ale – jak pan podkreśla w swojej książce – takie spojrzenie na to zagadnienie niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

Te trzy powstania są nieporównywalne nie tylko pod względem ich skali, okoliczności wybuchu i efektów końcowych. Pierwsze powstanie wybuchło w sierpniu 1919 r., czyli już po podpisaniu traktatu wersalskiego. Pod tym względem ten zryw nie miał racjonalnych podstaw, ponieważ powstanie nie mogło niczego zmienić. Pierwsze powstanie było pokłosiem przygotowań, które trwały całą wiosnę 1919 r. we współpracy z dowództwem Armii Wielkopolskiej. Planowano zrobić nie czegoś na kształt powstania wielkopolskiego, czyli sięgnięcia po metodę faktów dokonanych. Chodziło o zajęcie terenów nazwanych później plebiscytowymi i oczekiwanie na wyniki rokowań w Paryżu. Jednak rokowania zakończyły się podpisaniem przez Polskę traktatu wersalskiego. Wybuch tego powstania, nawiasem mówiąc bardzo przypadkowy, od samego początku pozbawiony był więc jasnego celu politycznego.



Niemcy chyba nie do końca traktowali tę insurekcję jako powstanie?

Niemcy w ogóle najczęściej za powstanie uważają jedynie zryw z 1921 r. To się zmienia teraz w młodszych pokoleniach niemieckich historyków, ale kiedyś pierwsze dwa powstania były dla Niemców rozruchami ulicznymi, nie traktowano ich jako insurekcji na większą skalę.

Drugie powstanie było pokazywane tylko jako reakcja na załamanie polskiego państwa w wojnie z Rosją sowiecką. Pod względem zasięgu walk było ono dosyć ograniczone.

Niemcy byli wówczas przekonani, że Polska upadnie?

Na początku byli pewni, że tak właśnie będzie. Jednak odwrócenie sytuacji na froncie w Polsce spowodowało, że skłonność do kompromisu po stronie niemieckiej już w czasie toczących się walk powstańczych wzrastała z dnia na dzień. Swoje robił też nacisk ze strony francuskiej.

Wydaje się, że jednym z ważniejszych efektów drugiego powstania śląskiego było zneutralizowanie zagrożenia ze strony policji niemieckiej.

Na jej miejsce powołano mieszaną policję plebiscytową. Zniknęło też zagrożenie, że Niemcy wprowadzą na teren plebiscytowy regularne wojska, tłumacząc to chęcią zabezpieczenia granicy przed wojskami bolszewickimi. Wiadomo było bowiem, że Niemcy prowadzą rokowania z aliantami dotyczące właśnie takiego rozwiązania na wypadek katastrofy państwa polskiego.

Trzecie powstanie to oczywiście reakcja na plebiscyt. Nawet nie same wyniki tego głosowania były najważniejsze, ale ich interpretacja. Chociaż może się to wydawać zastanawiające, to w protokole do art. 88 traktatu wersalskiego kwestia tego, w jaki sposób zostanie rozdzielony

teren plebiscytowy, nie została doprecyzowana, mimo że Polacy przyjęli, że wiążące będzie głosowanie gminami. W rzeczywistości propozycję rozwiązania miała dopiero przygotować Komisja Międzysojusznicza, która miała siedzibę w Opolu. Komisja cały kwiecień obradowała na ten temat. Nie mogła dojść do konsensusu, ale wiadomo było, że zaczęło przeważać stanowisko brytyjsko-włoskie, które było skrajnie niekorzystne dla Polski.

W takim przypadku Polska dostałaby tylko część południowych powiatów rolniczych na pograniczu: powiaty pszczyński, rybnicki i być może część powiatu lublinieckiego. Najważniejsze ziemie, czyli Górnośląski Okręg Przemysłowy, zostałyby w rękach niemieckich. Niemcy zresztą w ogóle uważali, że zwycięstwo w plebiscycie w stosunku 60 do 40 dawało im prawo do zastosowania zasady „zwycięzca bierze wszystko”. Trzecie powstanie było właśnie odpowiedzią na te plany. Korfanty postanowił powielić wzorzec Wielkopolski. Chciał zorganizować demonstrację pokazującą, że Górnoślązacy nie godzą się na rozwiązanie brytyjsko-włoskie.

Przekonuje pan w swojej książce, że była to w istocie „nieznana wojna polsko-niemiecka”. Dlaczego?

Berlin i Warszawa nie mogły prowadzić ze sobą otwartej wojny, ponieważ teren plebiscytowy znajdował się pod kontrolą międzynarodową. Sytuacja była podobna do tego, co działo się później na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Władzę suwereną sprawowali tam sojusznicy. Na Górnym Śląsku nie było ani regularnych wojsk niemieckich, ani polskich. Aby wejść z regularną armią na ten teren, trzeba było wypowiedzieć wojnę nie tylko Niemcom, lecz także aliantom. Prowadzono więc wojnę w sposób charakterystyczny dla pogranicza, organizując i uzbrajając oddziały przetrzucane potem przez granicę, wysyłając na teren plebiscytowy oficerów Wojska Polskiego, broń i amunicję z polskich magazynów. Niemcy byli spóźnieni, ponieważ nie spodziewali się, że po plebiscycie dojdzie do kolejnego powstania. I dlatego zaczęli organizować Selbstschutz w podobny sposób – formowany i zbrojony przy pomocy Reichswehry – z poślizgiem.

Jak duże było wsparcie z Warszawy?

Cała struktura powstańczej konspiracji – najpierw Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, zamieniona po drugim powstaniu na Centralę Wychowania Fizycznego, którą z kolei przekształcono w Dowództwo Obrony Plebiscytu – była w ciągłym kontakcie organizacyjnym i logistycznym z Wojskiem Polskim. Widać wyraźnie koordynację przygotowań do zrywu przez Oddział II Sztabu Generalnego WP. Funkcjonowała tam tzw. sekcja plebiscytowa. Powołano też Związek Przyjaciół Górnego Śląska, który w rzeczywistości był siecią ekspozytur wywiadowczych z siedzibą główną w Sosnowcu. Dysponowały one magazynami z bronią i amunicją, które były przekazywane przez polską armię i przerzucane na tzw. teren, czyli właśnie Górny Śląsk.

Z drugiej strony od 1921 r. Dowództwo Obrony Plebiscytu prowadziło rekrutację do ochotniczych oddziałów, które 3 maja miały przejść przez granicę. Niezależnie od tego dowództwa okręgów koordynowały pomoc Wojska Polskiego, przerzut oficerów, wsparcie w transporcie kolejowym, łączności, służbach sanitarnych. Cała ta machina była przygotowana w momencie wybuchu powstania i zadziałała bez problemów.

Jak wyglądały przygotowania po drugiej stronie?

Niemcy zaczęli organizować podobną armię z tygodniowym opóźnieniem. Mieli własną organizację konspiracyjną pod nazwą Kampfororganisation Oberschlesien, ale równolegle gra toczyła się o stworzenie regularnych oddziałów wojskowych. Niemcy powołali formację pod nazwą Selbstschutz, która nie podlegała formalnie dowództwu w Berlinie, jednak oddziały ochotnicze były zaopatrywane przez państwo niemieckie. Pozwolono też ochotnikom z całej Rzeszy Niemieckiej swobodnie przenikać na Górny Śląsk. Trzecie powstanie było tylko na pozór konfliktem oddziałów ochotniczych, w rzeczywistości nie mogłyby one walczyć dłużej niż kilka dni bez pomocy Warszawy lub Berlina.

Czyli Polska i Niemcy stąpały po bardzo cienkim lodzie?

Tak, ale oficjalnie deklarowały zdecydowanie, że dotrzymują warunków traktatu wersalskiego. Korfanty twierdził, że powstanie to spontaniczny zryw ludu



RYSZARD KACZMAREK „POWSTANIA ŚLĄSKIE 1919-1920-1921”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

górnos Śląskiego, który nie może zaakceptować takiego podziału i represji ze strony Niemiec. Z kolei Niemcy oskarżali Polaków, że nie dotrzymują warunków traktatu i liczyli na reakcję Anglików. Niemcy i Polska do końca utrzymywały, że nie angażują się militarnie na Górnym Śląsku.

Jak zachowywały się jednostki alianckie wobec działań wojennych na Górnym Śląsku?

Za sytuację na miejscu odpowiadały trzy państwa, ale Brytyjczycy wycofali swoje oddziały w 1920 r. z uwagi na wojnę domową w Irlandii. Siłami rozjemczymi byli w pierwszej fazie powstania więc Francuzi i Włosi. Ci pierwsi zdecydowanie sympatyzowali ze stroną polską, co było widać m.in., gdy prze-

politycznych o zbyt zachowawczą postawę. Jak wyglądało jego przywództwo w tamtym okresie?

Na pewno zachowywał się po dyktatorsku. Uważał, że spoczywa na nim całkowita odpowiedzialność i dlatego ma prawo sam podejmować najważniejsze decyzje. Kluczowym momentem był kryzys po bitwie o Górę św. Anny. Korfanty negatywnie oceniał to, jak Grupa Wschód, największa z trzech grup powstańczych, radziła sobie w czasie walk na Górze św. Anny. Z drugiej strony w sztabie tej grupy panowało przekonanie, że błędem było zatrzymanie przez Korfantego ofensywy na linii Odry. Przypomnijmy, że ofensywa powstańcza osiągnęła swoje cele po pierwszej dekadzie maja. Korfanty zaproponował wtedy rozmowy z Niemcami. Część wojskowych z Grupy Wschód – m.in. Michał Grażyński i Karol Grzesik, już wcześniej krytycznie nastawiona do Korfantego i jego pomysłu ograniczenia walk tylko do demonstracji wojskowej – uważała, że był to błąd.



Polsko-niemiecka granica w Kuźni Nieborowskiej
FOT. BIBLIOTEKA UŚ, KATOWICE

puszczali oddziały powstańcze. Jeżeli już interweniowali, to blokowali centra miast, obawiając się, że mogą się one stać miejscami krwawych starć polsko-niemieckich z udziałem ludności cywilnej. Włosi starali się za to po prostu realizować swój mandat i próbowali zatrzymać oddziały polskie, które zmierzały w kierunku Odry.

Wojciech Korfanty, dyktator trzeciego powstania, oskarżany był potem przez przeciwników

Po kontrofensywie niemieckiej na Górze św. Anny pojawił się pomysł, by Karol Grzesik, dowódca Grupy Wschód, przejął dowodzenie nad całością wojsk powstańczych, oczywiście bez porozumienia z Korfantym. Ten ostatni interweniował, wysłał oddział żandarmerii i aresztował buntowników. Kryzys zdarzył się w niewralgicznym momencie. Nie wiadomo wówczas, czy uda się powstrzymać ofensywę niemiecką. Ostatecznie udało się opanować sytuację na froncie, ale potem

■ członkowie sztabu Grupy Wschód twierdzili, że Korfanty stracił szansę, by zająć Opole. Oskarżali dyktatora powstania o niewykorzystanie okazji.

Uderzenie tak daleko na zachód mogło się zakończyć sukcesem?

Wchodzimy tu w sferę „gdybania”, ale patrząc realnie na ówczesną sytuację, myślę, że raczej miał Korfanty. Możliwość zdobycia Opola była tylko teoretyczna i to nie z tego powodu, że znajdowała się tam siedziba Komisji alianckiej i trzeba by było wtedy liczyć się z interwencją wojskową Francuzów. Głównym problemem było to, że zachodnia część Górnego Śląska była zdominowana przez ludność niemieckojęzyczną. Tam nie było naturalnego zaplecza dla powstańców we wsiach i mniejszych miasteczkach, nie mówiąc już o tym, że nawet Francuzi nie zgodziliby się na zajęcie przez Polaków Opola. Politycznie rzecz biorąc, byłoby to bardzo ryzykowne i Polacy mogli łatwo „przelicytować”, stając się nawet w oczach Francuzów agresorami.

Co się wtedy działo po drugiej stronie frontu?

Toczyła się tam dokładnie taka sama dyskusja jak między Korfantem a Grażyńskim i Grzesikiem. Karl Hofer, który był dowódcą Selbstschutzu i pełnił podobną funkcję jak Korfanty, miał świadomość tego, że Niemcy nie mogą żądać całego Górnego Śląska. I Hofer, i ówczesny polityczny przywódca Niemców górnośląskich – ks. Carl Ulitzka – rozumieli, że nie można prowokować aliantów. Z drugiej strony byli w Selbstschutzu oficerowie, którzy – tak jak Grażyński czy Grzesik – chcieli wypchnąć Polaków z całego Górnego Śląska. Obydwie strony były więc w swego rodzaju kłinczu chęci i możliwości. Wyjściem była albo prawdziwa wojna, z nieznanym rezultatem, albo trzeba było szukać rozwiązania politycznego. Po obu stronach zwyciężyła opcja zdroworozsądkowa i dlatego walki zamierają z 7 na 8 czerwca. Rokowania kończą się 5 lipca 1921 r. rozdzieleniem walczących stron i oddaniem decyzji politycznej w ręce aliantów.

Z punktu widzenia II RP decyzję aliantów o podziale Górnego Śląska można oceniać chyba tylko w jeden sposób?



Kopalnia Matylda w Lipiniach (dziś dzielnica Świętochłowic) FOT. NAC

Politycznie był to gigantyczny sukces. Pod względem wojskowym Korfantemu wcale nie zależało na militarnym zwycięstwie, ponieważ zdawał sobie sprawę z dysproporcji sił. Dla niego liczył się przede wszystkim sukces polityczny, tak samo jak w Wielkopolsce, gdzie również trudno było się doszukać jakiejś decydującej bitwy. Jeżeli porównamy to, co Polska mogła dostać po plebiscycie w wyniku ustaleń Komisji Sojuszniczej, do tego, co ostatecznie otrzymała w postaci późniejszego województwa śląskiego, to widać wyraźnie, kto osiągnął prawdziwy sukces.

Do Polski przyłączono 29 proc. obszaru zamieszkanego przez 46 proc. ludności, ale większość przemysłu górnośląskiego trafiła do II RP.

Województwo śląskie, do którego przyłączono również powiaty bielski i tzw. polsko-cieszyński, przez cały okres XX-lecia międzywojennego było centrum przemysłowym Polski. W 1922 r. wytwarzano tam 90 proc. produkcji przemysłu ciężkiego. W latach 30. ta sytuacja się zmieniła w związku z programem uprzedmiotawiania innych rejonów Polski – na Górnym Śląsku powstawało wówczas już „tylko” 70 proc. produkcji przemysłu ciężkiego.

Jakie miejsce w II RP miał Śląsk?

To województwo było odmiennie od reszty Polski. Pierwsza kwestia to odmiennność ustrojowa. Pamiętajmy jednak, że decyzja o autonomii była suwerenną decyzją Państwa Polskiego, nikt jej Polsce nie narzucił z zewnątrz. Wynikało to oczywiście z kalkulacji politycznych – polscy politycy rozumieli, że Ślązacy oczekują takiego rozwiązania i taka obietnica pomoże w uzyskaniu lepszego rezultatu w plebiscycie.

O ile jednak autonomia była czymś, co było wewnętrzną sprawą państwa polskiego, o tyle status mniejszości niemieckiej w województwie śląskim miał gwarancje międzynarodowe. Podobnie

było zresztą z mniejszością polską na niemieckim Górnym Śląsku. Był to warunek postawiony przez mocarstwa w tzw. konwencji górnośląskiej, którą podpisano w Genewie 15 maja 1922 r. Umożliwiło to wejście na podzielone terytorium wojsk polskich i niemieckich.

Gwarancje dla mniejszości były tu o wiele dalej idące, niż miałyby to wynikać z samych zapisów konstytucyjnych. Chodziło nie tylko o wolności polityczne, lecz także m.in. o szkolnictwo mniejszościowe utrzymywane na koszt państwa. Umowa podpisana była na 15 lat. Po jej wygaśnięciu obydwa państwa nie przedłużyły jej, zamiast tego wydały wspólną deklarację stwierdzającą, że wciąż będą przestrzegały litery tamtych zobowiązań. De facto gwarancje te przetrwały w większości do wybuchu drugiej wojny światowej.

Prawa mniejszości faktycznie były przestrzegane na terenie podzielonego Górnego Śląska?

Nie było innego wyjścia. Pod kuratelą Ligi Narodów powołano specjalne organy, które rozstrzygały wszelkie spory. Najlepszym przykładem tego, jak to działało w praktyce, była kwestia wprowadzonych w 1935 r. ustaw norymberskich. Skarga złożona przez gliwickich Żydów spowodowała, że przez dwa lata te ustawy nie obowiązywały na terenie niemieckiego Górnego Śląska. Niemcy uznały swoje zobowiązania wynikające z konwencji za aktualne, a skargi Żydów, jako mniejszości religijnej, za zasadne.

Ocena rządów Grażyńskiego wciąż rozpala emocje u wielu mieszkańców Górnego Śląska. Jak ten sanacyjny polityk rządził z Katowic?

Grażyński został wojewodą w 1926 r., czyli sprawował swój urząd przez 13 lat. Siłą rzeczy odcisnął więc na nim duże piętno. To było bogate województwo, które miało własny budżet. Dzięki autonomii wojewoda mógł prowadzić politykę w znacznej mierze niezależną od niektórych ministerstw, szczególnie gospodarczych. Wojewoda nie uciekł jednak przed problemem, który fatalnie odcisnął się na całej historii II RP. Po trzech latach jego rządów wybuchł wielki kryzys. Produkcja spadła o ponad jedną trzecią w porównaniu ze stanem w 1918 r. Ślązacy w dużej części winili sanację za spadek stopy życiowej. Narasta-

jąca niechęć napędzał jeszcze polityczny konflikt wojewody z Korfantym.

Grażyński nigdy nie ukrywał przy tym, że chciałby jak najbardziej ograniczyć prawa mniejszości niemieckiej. Wykorzystał kryzys gospodarczy, by przejmować kontrolę nad niemieckimi przedsiębiorstwami. W ten sposób przejął m.in. olbrzymi koncern węglowy książąt pszczyńskich z powodu zaległości podatkowych. Wszędzie tam, gdzie ustanawiał zarząd przymusowy, narzucał polskie dyrekcje. Nazywał to wprost polonizacją życia gospodarczego na Górnym Śląsku. Musimy jednak pamiętać, że niekiedy – z uwagi na kryzys – był zmuszony do takich działań.

Najmocniej odbił się konflikt polityczny. Duża część Górnoszlązaków, którzy opowiadali się za polskością, czuła się mocno związana z Korfantym. Ten konflikt podzielił na trwałe Polaków na Górnym Śląsku na „korfanciorzy” i zwolenników Grażyńskiego.

Na ile ten wojewoda starał się „stopić” Górny Śląsk z resztą Polski?

Gdy Grażyński rozpoczynał swoją misję w 1926 r., to na pewno był postrzegany jako zwolennik ścisłej integracji tych ziem z resztą Polski. Widziano w nim człowieka, który będzie dążył do likwidacji autonomii. Nawiasem mówiąc, wiele polskich partii politycznych podnosiło ten postulat, nie rozumiejąc, dlaczego w ramach państwa polskiego miałyby być wydzielona jakaś wyjątkowa struktura. Pamiętajmy, że w Galicji Wschodniej, mimo

zobowiązań międzynarodowych, nie udało się Ukraińcom wywalczyć autonomii. Grażyński dosyć szybko zmienił jednak zdanie w sprawie śląskiej odrębności i stał się zwolennikiem utrzymania autonomii. Zrozumiał, że status wojewody w autonomicznym województwie jest korzystny z punktu widzenia jego kariery politycznej.

Jak się zmieniała przez te wszystkie lata pamięć o powstaniach śląskich?

W II RP szybko doszło do podziału na dwa rodzaje pamięci. Z jednej strony stali „korfanciorze”, dla których istotą powstań śląskich był zryw ludu górnośląskiego pod przywództwem Korfante – genialnego polityka, dzięki któremu zwyciężono. Z drugiej strony była pamięć zwolenników Grażyńskiego kultywowana przez Związek Powstańców Śląskich, którego był on właśnie patronem. W tej opowieści powstania były czynem zbrojnym, który nie został doprowadzony do końca ze względu na zachowawczą postawę Korfante. Dlatego należało kontynuować „marsz nad Odrę”, tak by cały Górny Śląsk przypadł Polsce.

Po 1946 r. początkowo w ogóle wypchnięto z oficjalnych uroczystości pamięć o powstaniach. Dopiero od połowy lat 50. powróciła ona jako idea głosząca, że lud górnośląski już od XIX w. chciał się oswobodzić spod panowania niemieckich, kapitalistycznych ciemiężców. Ostatnio jesteśmy świadkami żywej dyskusji w sprawie tego, czym były w istocie powstania śląskie: powstaniami narodowymi, wojną domową czy brato-

bójczymi walkami. Dla mnie był to jeden z najważniejszych dla II RP konfliktów granicznych, który bez zaangażowania politycznego i wojskowego państwa polskiego nie przekształciłby się w działania wojskowe o takiej skali. To była niewypowiedziana wojna polsko-niemiecka.

Szczepan Twardoch napisał w „Gazecie Wyborczej”: „Otóż sto lat temu na Górnym Śląsku Polacy wywołali hybrydową wojnę domową, kiedy przegrali demokratyczny plebiscyt”.

Według mnie nie można w tym kontekście mówić o wojnie domowej. To była wojna polsko-niemiecka, tyle że niewypowiedziana. Z wojną domową mamy do czynienia wówczas, gdy w jednym państwie część obywateli występuje przeciw suwerenowi sprawującemu władzę na danym terenie. Tymczasem na Górnym Śląsku takim suwerenem byli wówczas alianci. Dlatego trzeciego powstania śląskiego, moim zdaniem, nie sposób nazywać wojną domową.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



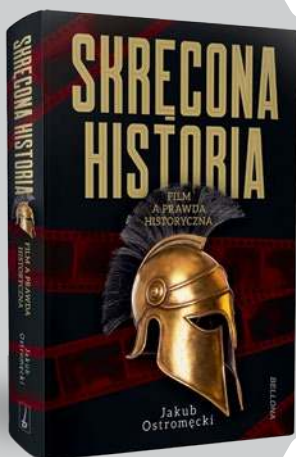
Prof. Ryszard Kaczmarek jest historykiem, profesorem Uniwersytetu Śląskiego, wybitnym znawcą dziejów Śląska. Jedną z jego najważniejszych książek to „Powstania śląskie 1919–1920–1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka”.

REKLAMA

„Prawda czasu,
prawda ekranu”

Największe
wpadki
w kinowych
hitach

BELLONA



Jaką tajemnicę
skrywała
gwiazda
przedwojennego
kina?



KSIĘGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl

Od czasów PRL przyzwyczajono nas do traktowania powstań śląskich jako „zrywów ludu śląskiego o wyzwolenie społeczne”, a przy okazji i „polskość tych ziem”. Piłsudski – podobno zajęty tylko zwalczaniem bolszewików – wobec sprawy Śląska był rzekomo obojętny. Natomiast w znakomitej książce „Powstania śląskie 1919–1920–1921” prof. Ryszard Kaczmarek pisze o konflikcie, u którego „podstaw tkwił spór o granice dwóch państw narodowych po pierwszej wojnie światowej, a walki na Górnym Śląsku były częścią niewypowiedzianej wojny polsko-niemieckiej”. Natomiast „kiedy dostrzeżemy, że geneza powstań śląskich z lat 1919–1921 była tylko pozornie podobna do wielkich polskich zrywów narodowych w XIX w., że ich celem nie była odbudowa suwerennej Polski, ale próba zmiany ówczesnej geopolityki i wbrew intencjom wielkich mocarstw przyłączenie do już odrodzonej Rzeczypospolitej, perspektywa i znaczenie walk powstańczych na Górnym Śląsku stają się inne”.

Postulat przyłączenia Górnego Śląska do Polski jako pierwszy – 25 października 1918 r. – jasno sformułował podczas obrad Reichstagu polski poseł, prawnik pochodzący z siemianowickiej rodziny górniczej Wojciech Korfanty. Na początku grudnia – już po kapitulacji Niemiec – jako przedstawiciel Śląska wszedł on w skład Naczelnej Rady Ludowej powołanej w Poznaniu przez Polski Sejm Dzielnicowy reprezentujący rodaków ze wszystkich ziem zaboru pruskiego. Wyrazili oni wolę połączenia z jednoczącą się po rozbiorach Polską. Rychło rozgorzało powstanie wielkopolskie, które dowiodło, że bez walki zbrojnej z Niemcami się nie obędzie, ale też, że może ona prowadzić do sukcesu, zwłaszcza przy skutecznym nacisku Francji, którym w lutym 1919 r. była interwencja marsz. Ferdinanda Focha, zapobiegająca potężnej kontrofensywie armii niemieckiej.

Na Górnym Śląsku – z jego składem etnicznym, kopalniami i fabrykami w rękach niemieckich oraz ze znaczeniem gospodarczym o wymiarze europejskim – nie było to takie proste. Ostatni przed pierwszą wojną światową spis powszechny odnotował 53 proc. mieszkańców posługujących się głównie językiem polskim (zwykle był to dialekt

1919–1921 / Trzy razy próbowali...

Górnośląska droga do Polski



Maciej Rosalak

100 lat temu – pod koniec czerwca 1921 r. – zakończyło się III powstanie, które dało odrodzonej Rzeczypospolitej dostęp do bogactw Górnego Śląska. Jak do tego doszło?

Maj 1936 r., Katowice,
obchody 15. rocznicy wybuchu
III powstania śląskiego FOT. NAC

śląski), a tylko 40 proc. – niemieckim. Nie oznaczało to jednak jeszcze przewagi potencjału politycznego żywiołu polskiego, gdyż wielu mieszkańców uczęszczających na msze święte po polsku było lojalnych wobec państwa pruskiego.

Trzy razy próbowano...

Pierwszy zbrojny zryw propolskich Górnoślązaków był odruchem rozpacz. Już w grudniu Niemcy rozlokowują tu – jako rzekomą Straż Graniczną – 117. Dywizję Piechoty i na początku stycznia 1919 r. wprowadzają stan oblężenia. W odpowiedzi kilka dni później powstaje Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska. Przykład walczącej Wielkopolski działa na wyobraźnię, ale manifestowanie polskości jest tłumione, a ludzi się prześladowa. Polskie nadzieje pobudza decyzja alianckiej Rady Najwyższej z 4 czerwca o przeprowadzeniu plebiscytu wśród ludności śląskiej, potwierdzona 28 czerwca 88. artykułem traktatu wersalskiego. Niemcy to ignorują. Nadal brutalnie tępią propolską agitację i pozbawiają pracy polskich robotników. Czarę goryczy przelewa 15 sierpnia masakra górników, którzy z żonami i dziećmi przyszli w Mysłowicach po zaległą wypłatę. Strzały Grenzschtzu zabiły 10 osób, w tym dwie kobiety i chłopca. W tych okolicznościach między 17 a 26 sierpnia 1919 r. trwa I powstanie śląskie. Nierówne walki toczą się w powiatach pszczyńskim, rybnickim i katowickim, ale słabe oddziały powstańcze przegrywają ze świetnie uzbrojonym oraz zorganizowanym wrogiem i uciekają do Polski.

Niemal dokładnie rok później wybuch II powstanie. Warunki bardziej nam sprzyjają. Od lutego Górny Śląsk stanowi obszar plebiscytowy nadzorowany przez Komisję Międzysojuszniczą z francuskim generałem Henri Le Rondem na czele oraz garnizony francuskie, brytyjskie i włoskie. Swoich komisarzy plebiscytowych mają Polacy (Korfanty) i Niemcy (Kurt Urbanek). Ale wiosną i latem 1920 r. w Opolu, Bytomiu, Gliwicach i innych miastach trwa kampania plebiscytowa, z krwawym terrorem niemieckich bojówek chronionych przez niemiecką nadal policję (Sicherheitspolizei – SiPo).

Polskie placówki i wiece osłania odrodzona POW górnośląska, co ocaliło przed zbrojnym, bandyckim atakiem m.in. siedzibę polskiego komitetu plebiscytowego w Bytomiu. W połowie 1920 r., gdy wojska sowieckie zbliżają się do Warszawy, Niemcy dokonują dalszych prób przejęcia Górnego Śląska bez plebiscytu. W odpowiedzi POW spontanicznie rusza 18 sierpnia do powstania, zaskakując wrogów liczbą i uzbrojeniem (dzięki kadrowej i materialnej pomocy Wojska Polskiego) oraz organizacją (utworzono dziewięć okręgów i sztab – Dowództwo Obrony Plebiscytu). Błyskawicznie opanowuje cały górnośląski okręg przemysłowy, poza miastami z garnizonami wojsk alianckich. Zawarte po tygodniu walk porozumienie zatwierdziło likwidację zniechęconej SiPo i wprowadziło tzw. Policję Plebiscytową (Abstimmungspolizei – APO), złożoną z Polaków i Niemców po połowie, spełniając główne żądanie strony polskiej.

Świadectwa

Trzecie powstanie stało się ostateczną próbą zachowania niezbędnego dla Polski stanu posiadania na Górnym Śląsku, po niekorzystnych dla nas wynikach plebiscytu, który odbył się 20 marca 1921 r. Wzięło w nim udział 1 190 637 osób (97,5 proc. uprawnionych), w tym 191 308 (19,3 proc.) emigrantów, spośród których ogromna większość (182 tys.) opowiedziała się za Niemcami. Ogółem kartkę z dwujęzycznym napisem „Niemcy/Deutschland” wrzuciło do urny 707 393 (59,4 proc.) głosujących, a z napisem „Polska/Polen” – 479 365 (40,3 proc.).

Brytyjczycy i Włosi zaproponowali paryskiej Konferencji Ambasadorów pozostawienie Polsce tylko powiatów rybnickiego i pszczyńskiego, stanowiących zaledwie czwartą część powierzchni i piątą część ludności obszaru plebiscytowego. Bardziej dla nas korzystny projekt francuski został odrzucony.

Ponieważ niebezpieczeństwo faktycznej utraty Górnego Śląska stawało się realne, Wojciech Korfanty zatwierdził rozkaz wszczęcia przygotowań do kolejnego, trzeciego już postania śląskiego, którego celem było osiągnięcie linii granicznej zwanej jego imieniem. Biegła od dawnej granicy Rzeszy na północy przez Olesno do Opola, a potem dalej na południe do Raciborza w kierunku granicy



niemiecko-czeskiej. Jakimi żołnierzami byli powstańcy? Na jaką ocenę zasłużyli?

Odpowiedzi szukałem u znaczących postaci tamtych dni. Autorów dzieli pozycja, z której czynili obserwacje i formułowali opinie, ale ich zestawienie tym bardziej daje do myślenia. Poniżej – fragmenty dokumentów tego wielkiego wydarzenia historycznego...

Zauważmy, że dyktator powstania **Wojciech Korfanty** w swej odezwie z 3 maja 1921 r. nie konkretyzował politycznego celu walki – postulując taki czy inny kształt ustrojowy lub państwowy – bo mógłby zrazić niektórych dotychczasowych zwolenników. Natomiast piękne ogólnikowe hasła „prawa i wolności Górnego Śląska” czy „zrzucenia z siebie wszelkich śladów jarzma prusko-niemieckiego” budziły powszechny aplauz. Zauważmy też, jak mocno akcentuje zakaz „wszelkich gwałtów, grabieży, znęcania się nad ludźmi bez względu na ich język, wiarę lub pochodzenie”. Wygląda na to, że bardzo się takich nadużyć obawiał. Pobrzmiewa to również w tekście powstańczego dowódcy wojskowego – „Nowiny-Doliwy”.

Oto odezwa powstańcza Wojciecha Korfantego do Polaków z 3 maja 1921 r.: „Rodacy! Rząd Polski odwołał mnie ze stanowiska komisarza plebiscytowego, ponieważ niezdolny byłem przeszkodzić wybuchowi ruchu zbrojnego. Nie jestem już komisarzem plebiscytowym, ale jestem krwią z krwi, kością z kości Waszej, synem biednego ludu górnośląskiego, który od 20 lat cieszy się Waszym zaufaniem, który przez lat 20 walczy razem z Wami za prawa i wolność Górnego Śląska. Jako Wasz brat, zawezwany przez walczących powstańców, strajkujących robotników i w porozumieniu się z naszymi partiami politycznymi, staję na czele naszego ruchu. Czynień to dlatego, aby ruch ten szlachetny przez zbrodnicze jednostki nie został zamieniony na anarchię, by nie działał się zbrodnie i przestępstwa, by normalny bieg życia czym prędzej został przywrócony. Musimy zrzucić z siebie wszelkie ślady jarzma prusko-niemieckiego. Zwycięstwo osiągniemy za wszelką cenę i nie ma takiego mocarza na świecie, który by nas mógł okuć ponownie w kajdany germańskie. Celem ujęcia żywiołowego ruchu zbrojnego w ramy organizacyjne mianuję niniejszym głównym dowódcą hufców powstańczych powstańca Doliwę



[ppłk. Mielżyńskiego – przyp. red.], któremu wszyscy komendanci, dowódcy i powstańcy winni bezwzględne posłuszeństwo. Od tej chwili jesteście żołnierzami, postępujcie tak, jak honor żołnierski nakazuje. Zakazuję wszelkich gwałtów, grabieży, znęcania się nad ludźmi bez względu na ich język, wiarę lub pochodzenie. Zachowanie się powstańców powinno być wzorowe, mienia, życia i zdrowia bezbronnym ludzi naruszać nikomu nie wolno [...]”.

Maciej Mielżyński ps. Nowina-Doliwa (1869–1944), podpułkownik kawalerii Wojska Polskiego, którego z początkiem maja powołano na dowódcę wojskowego powstania, po 10 latach opublikował „Wspomnienia i przyczynki do historii III-go powstania górnośląskiego”, w których bardzo wysoko oceniał walory żołnierskie i morale powstańców. Zauważył jednak, że w jakimś stopniu podnosiło to w oczach czytelnika ocenę samego Mielżyńskiego...

„Dopiero po zapoznaniu się z tym ludem, staje się zrozumiałem, że ten górnośląski lud roboczy mógł dokonać czynów wprawiających w zdumienie nawet starych doświadczonych żołnierzy. Bo też każdy z tych »Pieronów« – jak się sami mianują – jest urodzonym żołnierzem. W tej twardej rasie, wytrzymalej na wszelkie trudy i mozoły wojenne, odżywa tężyzna i buta żołnierska dawnych polskich rycerzy. Na pozór niesforny, nieraz i gwałtowny a skłonny do »wybitki i wypitki« Górnoślązak nabiera, gdy go powołują do boju, wzorowego moderażu żołnierskiego. Nie ma on może tego rodzaju rozpędu junacko-zawadjackiego, który się spotyka zwłaszcza na naszych kresach, przybrał on z czasem nawet pewną ociężałość po panujących nad nim Niemcach, od nich także – przyznajmy to bez ogródki – odziedziczył zmysł praktyczny i ścisłość w interesach, stąd zarzut chciwości i materializmu głoszony

przez Niemców. Lecz zapominają Niemcy, że u Górnoślązaków nad wszystkim góruje tak gorąca miłość Ojczyzny i tak wspaniały zapal bojowy, że lepszych żołnierzy od nich żaden wódz życzyć sobie nie może.

Wrogowie nasi, chcąc zożydzić przed światem cały ruch powstańczy, rozpisują się o rzekomej chciwości i okrucieństwach powstańców. Jako wódz powstania i naoczny świadek jak najkategoryczniej tym fałszywym opisom kłam zadać muszę! Wojna nie jest zabawką, wzbudza ona zawsze u walczących pewne dzikie instynkty i nigdy wojny bez żadnych nadużyć i gwałtów nie było! Zatem i podczas powstania górnośląskiego gdy walczyły masy, zdenerwowane beznadziejną walką podczas pierwszych powstań, rozjuszony gwałtami popełnianymi przez śmiertelnego wroga, zdemoralizowane bezprawiem, które siłą rzeczy panowało w okresie przedplebiscytowym, zdarzyły się nadużycia i po naszej stronie, ale jako stary żołnierz, który walczył w trzech wojnach, zaręczyć mogę, że właśnie powstanie górnośląskie tem się odznaczało, że czyni karygodne, jak rabunki i znęcanie się nad wrogiem oraz niesubordynacja itp., zdarzały się bardzo sporadycznie i należały do wyjątków. Wszelkie gwałtowne rekwizycje były ostro zakazane i nigdy ludność Górnego Śląska nie skarżyła się na gwałty i swawole naszych żołnierzy. Powstańcy bili się nieraz o głódzie i o chłodzie – ale nie rabowali! Nawet zamki niemieckich magnatów były wolne od gwałtów i rekwizycji”.

Wspomniane „nadużycia” miały jednak miejsce zarówno podczas polskich zwycięstw pierwszej dekady maja 1921 r., jak i porażek przełomu maja i czerwca. Dochodziło jednak częściej do rabunków niż poniewierania ludzi. Odwet teutoński na jeńcach i mieszkańcach podejrzewanych o współpracę z powstańcami był bez porównania bardziej okrutny. Przykładem niech będą torturowane przed śmiercią ciała odkryte w odbitym z rąk polskich Kędzierzynie. Prasa niemiecka natychmiast tę zbrodnię przypisała Polakom, a na publikowanych fotografiach „rozpoznała” Niemców. Kłamstwo szybko zostało ujawnione i udowodnione...

Leopoldyna Stawecka (1896–1933) – późniejsza serafitka Maria Eligia – ruszyła do III powstania śląskiego z porywu serca pielęgniarki, łączniczki, a wreszcie

porucznika Legionów Polskich i obrońcy Lwowa, stojącej tam nawet na czele Ochotniczej Legii Kobiet (po ppłk Aleksandrze Zagórskiej). W cytowanych fragmentach jej pamiętnika przewijają się patriotyczne idealizowanie walk lwowskich oraz odraza do przypadków pazerności i prostactwa, z jakimi zetknęła się na Górnym Śląsku. Cóż, śląski zryw widziała w jego końcowej fazie, kiedy porażki i straty oraz zmęczenie i bieda, które cierpieli wraz z rodzinami bezrobotni polscy żołnierze robotnicy, wpływały na ich postawę. Oto urywki pamiętnika.

„Obrona Lwowa to jeden święty poryw, jedno bohaterskie ramie [...], wszystkie warstwy związane razem, bez szemrania, o głodzie, zimnie walczyły, mimo zmęczenia szły naprzód, bo w ich piersiach tliła się wielka miłość Ojczyzny! [...] Trzecie powstanie górnośląskie – nie można zwać powstaniem, bo zwąc tak, przynosimy ujmę powstańcom z 63 r. i [walk o] Lwów. [...] Tak, to było powstanie dla tych, co go nie widzieli, i dla zagranicy. Ale dla świadków naocznych, których serca płoną wielką miłością ku Ojczyźnie, to nie było powstanie, raczej awantura pieniężna [...], dokąd mu suto płacono, to był w formacji, a jak mu tylko pieniędzy nie dano, to brał karabin i szedł do »muter« i w »hauzie« wolał siedzieć lub rabować po okolicy. Był to żołnierz, który ani odrobiny dyscypliny nie posiadał. Przełożony to jego »kamerat« i musiał się z nim obchodzić jak z jajkiem, inaczej zaraz by go nabili. Często opici niemożliwie, a nawet i dowództwo, bo samo czasem, to tak, to towarzysko, było zalane, że nie wiedzieli, jak i kiedy prusacy zbliżyli się pod kwaterę. [...] W walce tchórze straszne. Kiedy odstępowali spod Tarnowskich Gór, to 14 prusaków goniło 40 powstańców, a ci uciekali, co im tylko tchu starczyło, a kiedy jeden z dowódców chciał ich rewolwerem zatrzymać i zmusić do obrony, to go zastrzelić chcieli. Czy tam był patriotyzm? Płacono im, tj. żołnierz szereg, otrzymywał 20 marek niemieckich dziennie, co się równało sześciuset polskich, podporucznik otrzymywał cztery tysiące marek niem. miesięcznie. Patriotci nie lada. Byli i tacy panowie oficerowie przybyli z Polski (naturalnie wszystko to po cywilnemu ubrane), co mieli

stopień podporucznika, a podawali się za poruczników, aby jak najwięcej mareczek niemieckich ściągnąć do kieszeni. Pokradli mnóstwo aut, koni i powywozili do swoich rodzin. [...] Starszy lud górnośląski ogromnie mi się podobał. Wszędzie okazywano nam serce, gościnność, dzieciaki witały nas owacyjnie, ale co do młodzieży, to ta ogromnie zdemoralizowana. Znać tu należy wpływ pruski. Chłopak 13-letni pijany idzie, ale jak, ulicą, pali papierosa, śpiewa nieprzyzwoitą piosenkę na pół polską, na pół niemiecką. Boże, to syn tego zacnego ludu? Przykro, ale coż mogę pomóc [...]”.

Jakże inny obraz wyłania się ze wspomnień **Rudolfa Kornkego** (1884–1958) – górnika, a w II RP podporucznika rezerwy WP, przedsiębiorcy oraz posła na Sejm Śląski i senatora, prezesa Związku Powstańców Śląskich... W I powstaniu walczył w rejonie Piekar. W II powstaniu był już komendantem VIII Okręgu „Bytom”, a w III pełnił funkcję inspektora Szefa Sztabu Grupy „Wschód”. Oto urywki jego wspomnień:

„Przygotowania do tajnej mobilizacji dobiegały końca. Wszystkie oddziały powstańcze były już zaprzysiężone i na ich czele stali doświadczeni dowódcy. Pod względem wyekwipowania i uzbro-

jenia uczyniono wszystko, co tylko w tych warunkach uczynić było można; w godzinach wieczornych dnia 2-go maja oddziały łączności czekały jako pierwsze na swoje przeznaczenie. O godzinie 10-tej wieczorem rozpoczęła się nareszcie ich działalność. W nieprawdopodobnie krótkim czasie zostały wszelkie połączenia telefoniczne z wszystkimi centralami zerwane, a na ich miejsce zakładano sieci polowe, które miały łączyć poszczególne placówki miejscowe z komendami powiatowymi. [...] W kierunku Piekar i Szarleja, polami i drogami, zdążyły najpierw setki, a potem tysiące skupionych w sobie mężczyzn, spieszących na przeznaczone dla nich miejsca alarmowe. Około godziny 11-tej rozpoczęto uzbrajać przybyłe oddziały. Wszystko działo się według z góry postanowionego planu; pluton za plutonem otrzymywał swoją broń i amunicję i powracał do szeregów. [...] Nareszcie! Około godziny pierwszej ciszę nocną przerwały krótkie i ostre jak stal rozkazy, a ziemia zadudniła pod tupotem tysięcy ciężkich nóg maszerujących w nieznaną przyszłość powstańców śląskich. Jako pierwszy wyruszył baon Lorca, następnie baon Paula, a za nim, przez Kocie Górki, kopalnię Nowy Dwór, wyznaczonymi szlakami zdążył do Bytomia baon Barona. Po pewnej chwili ruszył również baon szturmowy Ziarnka. Maszerujące oddziały omijały ze względów strategicznych główne trakty i posuwały się naprzód, przeważnie drogami bocznymi, z zamiarem zaskoczenia wroga przez ujawnienie swych sił dopiero w samej akcji nad ranem. W owej pamiętnej nocy mieszkańcy miejscowości, przez które przemaszerowały oddziały powstańcze, do rana nie zmrzyli oka, gdyż widok tajemniczych batalionów, wyłaniających się z mroków nocy, spłoszył sen z ich oczu i owładnął nimi całkowicie, wywołując u jednych bezgraniczne przygnębienie, u drugich niepewność, a u trzecich cichy i rzewny entuzjazm. Pierwsze wynurzające się na wschodzie promienie słońca dnia tego były zarazem pierwszymi zwiastunami wolności dla setek tysięcy Górnoślązaków. Krainę śląską objął w swoje władcze panowanie Trybunał Krwi i Żelaza”.



Maciej Mielżyński, komendant wojsk III powstania FOT. WIKIPEDIA

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Stańczyk

/ Walczył z Niemcami o Górny Śląsk, w II Rzeczypospolitej trafił do więzienia

Wojciecha Korfantego, urodzonego w 1873 r. niedaleko Siemianowic na Górnym Śląsku w rodzinie górniczej, ukształtowała niemiecka szkoła. „Zasługę mojego uświadomienia narodowego przypisać muszę moim hakatystycznym profesorom w gimnazjum w Katowicach, którzy zohydzaniem wszystkiego, co polskie i co katolickie, wzbudzili we mnie ciekawość do książki polskiej, z której chciałem się dowiedzieć, czym jest ten łżony i poniżany naród, którego językiem w mojej rodzinie mówiłem” [za: Jan F. Lewandowski, „Wojciech Korfanty”].

Z powodu swojej polskiej postawy został wyrzucony z gimnazjum, maturę zdał eksternistycznie. Rozpoczął studia na politechnice w Charlottenburgu, potem na uniwersytecie we Wrocławiu. W czasach studenckich wstąpił do Zetu – Związku Młodzieży Polskiej, a później, w latach 1901–1902 związał się z Ligą Narodową (kilka lat później zerwał z endecją, ponieważ nie akceptował jej ugodowej postawy wobec Rosji).

Rozpoczął pracę polityczną na Górnym Śląsku. Założył gazetę „Górnoślązak”. W wydanej w 1901 r. broszurze „Precz z Centrum” pisał: „Ruch wszechpolski jest dla nas zaciętą i świętą wojną o język, wiarę, obyczaje odziedziczone po przodkach naszych, o te wszystkie łączniki, które wiążą nas z resztą naszych braci ze wszystkich zaborów, walczących wszystkimi siłami przeciw germanizacji lub rusyfikacji”.

Broszura była atakiem na niemiecką partię Centrum i związanych z nią księży na Górnym Śląsku, którym zarzucał germanizowanie Polaków, m.in. przez rugowanie pieśni polskich z kościołów, zakazywanie czytania polskich gazet. W 1902 r. walczący o prawa Polaków Korfanty stanął przed sądem, oskarżony o podburzanie przeciw Niemcom.

FOT. WAC

1873–1939 / Wojciech Korfanty

Śląski przywódca i jego wrogowie



Czteromiesięczne więzienie przyczyniło się do wzrostu jego popularności, co zdyskontował podczas wyborów do Reichstagu w 1903 r. Podczas kampanii wyborczej był niezwykle aktywny, przemawiał sugestywnie, w mocnych słowach, zwalczając swoich przeciwników z partii Centrum i socjalistów. Mandat uzyskał, pokonując kandydata partii Centrum.

W tym czasie zamierzał ożenić się z Elżbietą Szprot (Sprot), jednak księża niemieccy zgodzili się na udzielenie ślubu jedynie pod warunkiem, że przeprosi za ataki na nich, dokonywane także na łamach „Górnoślązaka”. Korfanty odmówił, zgoda na to przekreśliłaby jego pozycję polityczną. Ostatecznie ślub zawarł w Krakowie.

W 1904 r. Korfanty zdobył też mandat do sejmiku pruskiego. Jako poseł występował w Berlinie przeciw polityce dyskryminacji i germanizacji Polaków, oskarżając przy okazji Niemców o kradzież ziem polskich podczas zaborów. Polemizując z oskarżeniami jednego z oficerów niemieckich o rzekome przygotowywanie powstania przez Polaków, ironizował: „Chciałbym z tego miejsca poinformować pana pułkownika, że wyćwiczyliśmy również polskie bociany i daliśmy im zadanie, by w przypadku wojny zniszczyły niemieckie zeppelin” [za: Jan F. Lewandowski, dz. cyt.].

Jako polski działacz, a zarazem wydawca gazet, Korfanty rywalizował na Górnym Śląsku o rząd dusz z Adamem Napieralskim, wydawcą „Katolika”. Tę rywalizację przegrał. Napieralski odkupił od Korfante go jego tytuły prasowe, dając mu jednak stanowisko redaktora z dużą samodzielnością. Nastąpiło pozorne pojednanie. Niedługo jednak Napieralski pozbył się z Górnego Śląska faktycznie pokonanego rywala, który musiał przyjąć od niego propozycję objęcia kierownictwa Wschodniej Agencji Telegraficznej z siedzibą w Berlinie.

Podczas pierwszej wojny światowej Korfanty zakładał zwycięstwo państw centralnych. Uważał, że lojalna postawa Polaków wobec Berlina będzie zauwa-

POSŁOWIE WIELKOPOLSKI.



Korfanty wśród posłów do parlamentu w Berlinie. FOT. NAC

żona i wynagrodzona rozszerzeniem praw narodowych. W ostatnich dniach października 1918 r. wygłosił mowę parlamentarną, domagając się zjednoczenia ziem polskich, w których skład miały wejść polskie powiaty Górnego Śląska, Poznania, polskiej części Prus Zachodnich i Prus Wschodnich.

12 listopada przyjechał do Poznania, wszedł w skład komitetu wykonawczego Naczelnej Rady Ludowej i pojechał do Warszawy na rokowania w sprawie utworzenia rządu. Był zdecydowanym przeciwnikiem desygnowania na premiera socjalisty Ignacego Daszyńskiego przez Piłsudskiego – tymczasowego Naczelnika Państwa. Korfanty straszył widmem bolszewizmu, choć chyba musiał zdawać sobie sprawę, że właśnie socjalistyczne oblicze rządu jest szczepionką przeciw komunistycznej agitacji i demagogii.

Piłsudski wymienił Daszyńskiego na bardziej strawnego dla prawicy Jędrzeja Moraczewskiego, ale rozmowy w sprawie utworzenia rządu szerokiej koalicji zakończyły się fiaskiem. Doszło do ostrych polemik między Piłsudskim i Korfantym. „W ferworze dyskusji Kor-

fanty określił Piłsudskiego jako bohatera dzieci i rozhisteryzowanych kobiet. Odważajmiono mu się epitetem ulicznego agitatora, pozbawionego politycznej odpowiedzialności” [J. Przewłocki, „Wojciech Korfanty. Polityka, wzloty i niepowodzenia”].

Plebiscyt i powstanie

Piłsudskiego i Korfante go łączyło jednak przekonanie, że w sprawie granic zachodnich Polska jest zdana na decyzje zwycięskich mocarstw. Korfanty był przeciwnikiem powstania w Wielkopolsce, gdy jednak wybuchło, starał się je wykorzystywać jako argument w rozmowach politycznych z Niemcami. Podobną postawę reprezentował na Górnym Śląsku. Popierał zbrojne organizowanie się Polaków, ale tylko w celu ochrony polskich działaczy, wieców, redakcji,

placówek społecznych i kulturalnych przed niemieckim terrorem. W 1919 r. usiłował nie dopuścić do wybuchu powstania i nawet wymógł na Polskiej Organizacji Wojskowej odwołanie decyzji, nie wszędzie jednak rozkazy odwołujące doszły i rozpoczęły się walki.

Korfantemu udało się w końcu przejąć kontrolę nad POW, jednak hamowanie przez niego dążenia do zbrojnego przejęcia Górnego Śląska przysporzyło mu wielu przeciwników. Młodzi Polacy rwali się bowiem do walki. Tymczasem Korfanty liczył na korzystne rozstrzygnięcia konferencji pokojowej. Jednak zarządzone plebiscyt nie był tym, o czym marzył.

Na początku 1920 r. Wojciech Korfanty, nominowany przez władze polskie, stanął na czele Polskiego Komitetu Plebiscytowego. Był to oczywisty wybór – w popularności nikt nie dorównywał Korfantemu na Górnym Śląsku. „Jako komisarz plebiscytowy Korfanty potrafił z niezwykłą energią zespolić siły polskie do pracy w jednym kierunku, a jego rolę przywódczą uznały wszystkie polskie stronnictwa polityczne” – ocenił Jan F. Lewandowski. Korfanty był przekonany, że opcja polska odniesie podczas

■ plebiscytu bezapelacyjny sukces, tym bardziej więc był przeciwny planom powstańczym.

W plebiscycie w marcu 1921 r. 60 proc. głosujących opowiedziało się za Niemcami, 40 proc. za Polską. Aliancka Komisja Międzysojusznicza nie mogła dojść do porozumienia w sprawie podziału Górnego Śląska. Korfanty zaproponował linię, od której na wschód znalazłaby się zdecydowana większość powiatów głosujących za Polską. Zdawał sobie jednak sprawę, że może zapaść decyzja o bardzo niesprawiedliwym podziale (forsowanym przez Brytyjczyków), nawet takim, który pozbawiałby Polskę znakomitej większości kopalń i innych zakładów przemysłowych. Dlatego też dopuszczał możliwość akcji zbrojnej jako demonstracji i środka nacisku na decydujących o podziale delegatów mocarstw.

Francuski gen. Henri Le Rond – jak pisał Jan F. Lewandowski – „miał ostrzec Korfantego, że Francuzi nie przeforsują swej wersji podziału, lecz nawet sugerować wywołanie strajku. Przyjął do wiadomości informację o szykowaniu powstania [...]. Realista Korfanty nie wywołałby powstania, nie mając aprobaty Le Ronda i francuskiej pomocy, a przynajmniej życzliwej neutralności”.

Rząd Wincentego Witosa komunikował Korfantemu, że jest zdecydowanie przeciwny wywoływaniu powstania. Korfanty odpowiedział, że wybuch jest nieunikniony, a on rezygnuje ze stanowi-

ska komisarza plebiscytowego. Oświadczył też, że spodziewana „horrendalna” propozycja podziału Śląska jest nie do przyjęcia i stanowi prowokację wobec ludności polskiej, która musi zareagować.

Korfanty ogłosił się dyktatorem powstania rozpoczętego 3 maja 1921 r. Walkę zbrojną uważał, jak zresztą zawsze, za instrument polityki, formę nacisku na zaakceptowanie korzystnego dla Polski podziału Górnego Śląska. Toteż gdy powstańcy doszli prawie wszędzie do linii wyznaczonej przez Korfantego, uważał, że należy zakończyć akcję zbrojną i przystąpić do działań dyplomatycznych. Swoją drogą polski rząd silnie naciskał na Korfantego, by zakończył powstanie, grożąc nawet wstrzymaniem pomocy finansowej i materiałowej dla powstańców. Dyktator był z drugiej strony pod presją radykalnych zwolenników kontynuowania walk, w tym piłsudczyków z POW. Ostatecznie zdecydował o zakończeniu powstania.

W II Rzeczypospolitej

Chociaż Polska otrzymała dużo mniejszą część Górnego Śląska, niż chciał Korfanty, to jednak rok 1922, gdy ją objęła, był momentem triumfu Korfantego. Miał wielkie ambicje odegrania ważnej roli już nie tylko na Śląsku, lecz także w całej

Polsce. Wydawało się, że jest blisko celu. Sejm, niewielką większością głosów, powierzył mu misję stworzenia rządu. Za Korfantym opowiedzieli się chadecy i endecy. Zdecydowanie sprzeciwiali się mu socjaliści i piłsudczycy. Straszyli, że rządy Korfantego będą rządami kapitalistów i obszarników, oskarżali go o dyktatorskie zapędy, „pruskie metody” (!), brak zasad i skrupułów. Namiętności były tak wielkie, że – jak oceniał Marian Orzechowski, biograf Korfantego – przez dwa tygodnie Polska stała niemal na progu wojny domowej.

Misja formowania rządu zakończyła się niepowodzeniem, gdyż Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa odmówił podpisania nominacji dla Korfantego, szantażując zresztą Sejm groźbą podania się do dymisji.

Korfanty musiał ograniczyć swe ambicje do Górnego Śląska i do przewożenia chadecji. Jako polityk kierujący się rozsądkiem i realizmem starał się o łagodzenie napięć polsko-niemieckich w regionie, stworzenie dobrych warunków dla przemysłu śląskiego, bez dyskryminowania niemieckich właścicieli. Po zamachu majowym wojewodą śląskim został Michał Grażyński, z którym, jako szefem sztabu Grupy Wschód, skonfliktował się Korfanty podczas III powstania śląskiego.

Ważniejsze było to jednak, że Grażyński prowadził politykę forsownej polonizacji na Górnym Śląsku, czemu sprzeciwiał się Korfanty. Uważał, że nie można używać metod administracyjnych i przymusu. Doskonale wiedział, na własnym przykładzie, jakie skutki – odwrotne do zamierzonych – przyniosła germanizacja. Oczywiście powstaje pytanie, czy liberalna polityka wobec mniejszości niemieckiej nie oznaczałaby niebezpieczeństwa wzmocnienia jej tożsamości narodowej i dążeń do przyłączenia Górnego Śląska do Niemiec.

Przeciwnicy polityczni Korfantego próbowali zniszczyć jego autorytet i zdyskredytować go, zarzucając mu, że jest skorumpowany przez niemieckich przedsiębiorców, kryje nadużycia, dokonuje oszustw i wyłudzeń finansowych, także w sprawach podatkowych. Z oskarżenia jednego z posłów stanął w 1927 r. przed Sądem Marszałkowskim. Werdykt sądu głosił, że Korfanty ani nie uchylił się od zapłacenia podatku w wysokości 2 mln zł, ani nie brał pieniędzy



Członkowie Polskiego Komisariatu Plebiscytowego

FOT. MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH

od państwa niemieckiego. Jednocześnie stwierdzono, że korzystanie przez Korfante go z subwencji otrzymywanych przez przemysłowców górnośląskich na potrzeby jego wydawnictwa prasowego (gazeta „Polonia”) nie licowało z godnością posła i publicysty, a jego postępowanie jako prezesa rady nadzorczej Banku Śląskiego nie było zgodne z przepisami prawa i dobrymi obyczajami kupieckimi, choć wyjaśniali, że kredyt wzięty z tego banku Korfanty już w większości spłacił. Faktycznie nie wszystko w rozliczeniach finansowych i interesach Korfante go było jasne i prawidłowe. Jednak „przewinienia Korfante go nie należały do takich, które mogłyby zdyskredytować go moralnie i politycznie, jak tego chcieli jego przeciwnicy z wojewodą Grażyńskim na czele” – oceniał Jan F. Lewandowski.

Trzy lata później, w 1930 r., Korfanty został aresztowany pod zarzutem machinacji finansowych i oszustw w Banku Śląskim. Oskarżenie znów miało bardzo wątpliwie podstawy. Stanowiło jednak pretekst do politycznej rozprawy z Korfantym i z pozostałymi liderami opozycji. Świadczy o tym też to, że rządzący piłsudczycy umieścili rzekomego oszusta finansowego Korfante go w twierdzy brzeskiej, razem z uwięzionymi polityka-



Wojciech Korfanty jako świadek w procesie brzeskim

FOT. NAC

mi Centrolewu, którym zarzucano próbę obalenia legalnych władz. Korfanty był, podobnie jak oni, traktowany w Brześciu brutalnie, znieważany, odzierany z godności.

Korfante go wypuszczono po kilku miesiącach, przed sądem nie stanął, gdyż chronił go immunitet poselski. Brześć jednak zmienił Korfante go, nie był już tak silny fizycznie i psychicznie, jak wcześniej, obawiał się nawet zamachu na swoje życie, stał się jeszcze bardziej religijny. Jako publicysta ostro krytykował rządy obozu Józefa Piłsudskiego.

Wiedział, że nie poniechano ze strony władz zamiaru zniszczenia go. Miał pełne prawo obawiać się, że gdy zakończy się kadencja Sejmu i straci immunitet, zostanie oskarżony i aresztowany. Dlatego też wyjechał w 1935 r. z Polski. Gdy wiosną 1939 r. delegacja profesorów rozmawiała z prezydentem Ignacym Mościckim o amnestii dla emigrantów politycznych i gdy padło nazwisko Korfante go, Mościcki wyraził w sposób zdumiewający i oburzający: „Korfanty – nie, dla niego palcem nie ruszę, bo on nigdy Polski nie kochał”.

Wojciech Korfanty wrócił do kraju w kwietniu 1939 r. i... został aresztowany. W więzieniu spędził trzy miesiące, podczas których jego stan zdrowia niespodziewanie się bardzo pogorszył. Mimo operacji zmarł 17 sierpnia 1939 r.

Według dr. Bolesława Szareckiego, który operował Korfante go, chora wątroba pacjenta wyglądała na tyle nietypowo, że zamierzał dokonać analizy jej wycinków. Nie wiadomo, czy to zrobił. Zwolennicy Korfante go uważali, że do uszkodzenia wątroby i śmierci doszło w wyniku trucia go arsenikiem podczas pobytu w celi.

Dziesięć dni przed wybuchem drugiej wojny światowej odbył się pogrzeb Wojciecha Korfante go. Nie dożył na szczęście wkroczenia Niemców na Górny Śląsk.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Saga

ZAKŁADNICY WOLNOŚCI

PRAWDZIWA HISTORIA

Stanowisko powstańczego ckm-u

FOT. NAC

Maj-czerwiec 1921 r. / Wielki górnośląski czyn zbrojny

Powstanie po raz trzeci



Maciej Rosalak

/ Na Górze św. Anny niektórzy powstańcy opuszczali szeregi, ale inni walczyli do końca, również bagnietem, twarzą w twarz z wrogiem...

Powstańcy ruszyli do boju nocą z 2 na 3 maja 1921 r. – dokładnie w 130. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Po tygodniu zwycięskich walk z oddziałami niemieckiej samoobrony i policjantami niemieckimi dotarli do „linii Korfante-go” i wstrzymali działania zbrojne na mocy porozumienia zawartego z Francuzami. Zgodnie z przewidywaniami Naczelnej Komendy Wojsk Polskich

(powstańczych) Niemcy z tym stanem faktycznym się nie pogodzili i szykowali kontrofensywę...

Błyskotliwe zwycięstwo w pierwszej dekadzie maja powstańcy – w liczbie ponad 30 tys. – zawdzięczali przede wszystkim ogromnej woli walki górnośląskich ochotników, ich żołnierskiej sprawności i (w tym okresie) subordynacji. Oddziały miały organizację wojskową, a dowodzili nimi zaprawieni już w bojach Ślązacy, ale też oficerowie WP, ochotnicy, którzy w liczbie stu kilkudziesięciu zameldowali się w dowództwie powstania. Działająca od przeszło dwóch lat POW GŚ potrafiła zgromadzić ponad 30 tys. karabinów, kilkaset karabinów maszynowych i granatników, ponad 3 tys. pistoletów i tysiące granatów. Do tego doszły broń zdobytą już na Niemcach i wielkie dostawy od Wojska Polskiego, dzięki czemu powstańcy dysponowali z czasem kilkoma dziesiątkami dział. Wśród kilku nastu pociągów pancernych kilka z nich zbudowali i wyposażyli sami. Podobnie było z najeżonym ckm-ami samochodem pancernym „Wojciech Korfanty”.

W pierwszej dekadzie maja przeciwnikiem powstańców była głównie Kamporganisation Oberschlesien-Selbstschutz (pol.: bojowa organizacja górnośląska – samoobrona) powstała w 1920 r. po wycofaniu wojsk niemieckich z obszaru plebiscytowego. Wedle rozeznania POW liczyła ona w przededniu III powstania do 25 tys. zbrojnych. Składała się z ochotników, przy czym na terenach z większością polską byli to rodowici Niemcy, natomiast na obszarach z przewagą niemiecką przyjmowano też zgermanizowanych Ślązaków o polskim rodowodzie. Po polskiej ofensywie majowej oddziały Selbstschutzu odbudowano po lewej stronie Odry. Polakom przyszło walczyć także ze zniemczonymi oddziałami APO (policji plebiscytowej), ochroną urzędów i fabryk.

Polskimi siłami powstańczymi dowodził były oficer kawalerii niemieckiej, a od 1920 r. polskiej – ppłk Maciej Mielżyński ps. Nowina-Doliwa. Pochodził z wielkopolskiej rodziny ziemiańskiej, a związał się politycznie z endecją. W kwietniu 1921 r. postawiono go na czele Dowództwa Obrony Plebiscytu, od

początku walk przekształconego w Naczelną Komendę Wojsk Powstańczych (Korfanty mianował się – na wzór wielkich powstań narodowych – dyktatorem).

Wojska powstańcze były podzielone na trzy grupy operacyjne. Grupą „Północ” liczącą ok. 10 tys. zbrojnych w 16 batalionach dowodził kpt. Alojzy Nowak ps. Neugebauer. Wielkopolanin, były podporucznik armii niemieckiej, zasłużony w powstaniu wielkopolskim oraz w wojnie z bolszewikami. Na Śląsk został skierowany w 1921 r.

Grupą „Wschód” dowodził również były podporucznik niemiecki, Ślązak z pochodzenia kpt. Karol Grzesik, uczestnik obu poprzednich powstań śląskich. Od kwietnia do czerwca 1921 r. – poza dowodzeniem najsilniejszą z grup, liczącą 16 tys. ludzi w 34 batalionach – był też szefem Głównego Inspektoratu DOP. Najsilniejszą formacją była 1. Dywizja Powstańcza, złożona z pułków: katowickiego, zabrzańskiego i pszczyńskiego oraz kompanii saperów, plutonu łączności, kompanii zwiadu, pociągu pancernego „Nowina-Doliwa” oraz samodzielnego oddziału szturmowego 60 marynarzy pod dowództwem kpt. Roberta Oszka. Tą pierwszą i jedyną dywizją dowodził syn górnika spod Bytomia – mjr Jan Ludyg-Laskowski (drugi człon nazwiska to pseudonim w armii gen. Hallera we Francji, do której uciekł z armii niemieckiej), z Wojska Polskiego został skierowany do walk w II i III powstaniu.

Dowódcą Grupy „Południe”, liczącą w 12 batalionach ok. 10 tys. powstańców, mianowano ppłk. Bronisława Sikorskiego, Wielkopolanina, oficera, który po pierwszej wojnie światowej w szeregach armii niemieckiej miał duże zasługi w powstaniu wielkopolskim i organizowaniu Wojska Polskiego, a na Górnym Śląsku trafił jako ochotnik. Jego grupa zwyciężyła w bitwie pod Olzą, odpierając 23 maja atak na Wodzisław Śląski, będący próbą przełamania frontu polskiego od południa.

Majowa jutrzeńka

Majowe sukcesy nie byłyby możliwe bez przeprowadzenia nocą z 2 na 3 maja wielkiej i skutecznej akcji dywersyjnej



Most na Odrze wysadzony przez Grupę „Wawelberga” FOT. ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

„Mosty” na szlaki komunikacyjne wiodące z lewej strony Odry. Dowodził tą akcją kpt. Tadeusz Puszczyński ps. Konrad Wawelberg, który od grudnia 1920 r. tworzył i szkolił grupy do działań specjalnych. Ów legionista, oficer WP w wojnie z bolszewikami, uczestniczył też we wszystkich powstaniach śląskich. W I powstaniu jako obserwator WP, w II powstaniu jako dowódca lotnych patroli, w III powstaniu jako szef Referatu Destrukcyjnego DOP dokonał czynu niezwykłego...

Na czele Grupy „Wawelberga”, składającej się z kilku zespołów sabotażowych, uniemożliwił na początku maja dotarcie odsieczy niemieckiej z zachodu. Ładunki odpalane pod filarami mostów i torami kolejowymi zniszczyły bądź poważnie uszkodziły pamiętnej nocy aż sześć mostów i dwa dalsze odcinki torów. Dzień później zablokowano szlak kolejowy z Kluczborka do Opola. To poważnie zdeorganizowało komunikację na niewralgicznych odcinkach: Kędzierzyn-Nysa, Kędzierzyn-Prudnik i Wrocław-

Działo polowe w rękach polskich Górnoszlązaków FOT. NAC



Opole-Kluczbork. A kapitan osobiście dowodził zniszczeniem podpory potężnego mostu na Odrze w Szczepanowicach koło Opola. Kiedy się okazało, że lont był niewłaściwie przechowywany, pomogło dwóch powstańców górników, którzy znali się na materiałach wybu-

chowych. Dzięki nim za pomocą krótkiego lontu bezpiecznie i nader skutecznie odpalono ładunek pod jednym z filarów. Grupa „Wawelberga” działała w dorzeczu Odry również w następnych tygodniach.

Niemcy zostali zaskoczeni także wręcz popisową, prowadzoną tajemnie mobilizacją tysięcy ochotników, wyposażeniem ich w broń, a następnie zsynchronizowanym wedle ogólnego planu nocnym marszem na pozycje wyjściowe do ataku i uderzeniem z nadejściem świtu. Znakomicie opisał to Rudolf Kornke, szef sztabu Grupy „Wschód”, przedstawiając powstańczy atak na Bytom na samym początku powstania. Niemców rozbito wtedy błyskawicznie, ale francuska załoga oczywiście nie zamierzała się poddać i doszło nawet do wymiany ognia. Dowództwo powstania zakazało następnie atakowania Francuzów – jedynych sojuszników na tym terenie. W tej sytuacji powstańcy zajmowali całe powiaty, blokując ośrodki miejskie z garnizonami alianckimi. Generalnie Francuzi sprzyjali Polakom, natomiast Brytyjczycy i Włosi – Niemcom. Zdarzało się, że alianci walczyli z bronią w ręku po tej stronie, którą wspierali politycznie.

Do oblężonego Lublińca na północy frontu Niemcy wysłali na odsiecz wzmocnioną kompanię z Dobrodzienia (niem. Guttentag), gdzie ulokowali bazę zbrojnych wypadów Selbstschutzu na sąsiednie powiaty polskie. Stąd od 1920 r. wysyłano karne ekspedycje stosstruplerów – rodzaju pruskich szwadronów śmierci. Jak pisze Leszek Kania („Góra św. Anny – Kędzierzyn 1921”): „Niemcy, mając jeszcze w pamięci poprzednie zrywy powstańcze, nie spodziewali się spotkać w polu równorzędnego przeciwnika. [...] nikt nie miał pojęcia, że Polacy w ciągu jednej nocy uzbili i sformowali kilka batalionów liczących razem ok. 1,5 tys. ludzi. Kompania Selbstschutzu nie miała szans w otwartej walce. Została doszczętnie rozbita w Krupskim Młynie. Na placu boju zostało kilkunastu

■ zabitych Niemców i tyleż samo ciężko rannych. Powstańcy też ponieśli straty. Zdobyto kilka karabinów maszynowych i wiele sztuk broni". A sam Dobrodzień powstańcy zaatakowali wieczorem 5 maja, całą noc nękali załogę ostrzałem, a 6 maja walcząc od świtu do południa, pokonali ją, zdobywając kilkanaście ckm-ów i kilkaset karabinów.

Spośród dziesiątek zwycięskich starć przypomnijmy koniecznie zdobycie Kędzierzyna i portu rzecznego w Koźlu, które ukoronowało „majową jutrzenkę” górnośląskich Polaków. Ta największa batalia pierwszej fazy III powstania miała opanować cały wschodni brzeg Odry od Raciborza na południu do Zdzieszowic na północy. Wzięło w niej udział 4 tys. powstańców podgrup Walentego Fojkisa i Pawła Cymśa (z Grupy „Wschód” plus batalion z Grupy „Północ”) i do 3 tys. członków Selbstschutzu, ale na dobrze rozmieszczonych i umocnionych pozycjach. To już nie był marsz triumfalny, lecz zacięte walki, które trwały od 7 do 10 maja, kiedy porażki przeplatały się z sukcesami, a zabici i ranni padali gęściej niż dotąd. Po zdobyciu 8 maja Kędzierzyna powstańców ogarnęło groźne dla nich samych, ale i dla mieszkańców, rozprężenie. Zamęt opanował dopiero mążny i spokojny kpt. Ludyga-Laskowski.

Po południu 9 maja – jak pisał prof. Mieczysław Wrzosek – „pododdziały Cymśa natrafiły pod Starym Koźlem na poważny opór nieprzyjaciela wspieranego ogniem broni maszynowej, głównie z wieży kościelnej. Opór ten został jednak przewyższony po wkroczeniu do akcji działka kalibru 37 mm, przeprowadzonego wraz z pięcioposobową załogą przez porucznika Jana Surzyckiego z Krakowa, który bez wiedzy przełożonych przedostał się na Górny Śląsk”. Gdy bataliony ruszyły na Brzeście, znowu utknęły pod ogniem nieprzyjaciela. Działko znowu pomogło, ale por. Surzycki poległ, ściany serią ckm-u.

Ceną polskiego zwycięstwa było 40 poległych i ok. 100 rannych Polaków oraz ok. 150 zabitych i kilkuset rannych Niemców. W węźle kędzierzyńskim zdobyto 49 paro-



Pododdział powstańczy po mobilizacji i pobraniu broni

FOT. NAC

wozów i ok. 2,3 tys. wagonów towarowych, a w porcie kozielskim – setki ton żywności.

Odwet Teutonów

Do sporadycznych bojów dochodziło nadal między 10 a 20 maja, ale potężna kontrofensywa niemiecka nastąpiła z początkiem trzeciej dekady majowej. Jej celem było zdobycie Gliwic, a następnie całego centrum przemysłowego Górnego Śląska. Rygiel do Gliwic stanowił grzbiet Chelma z najwyższym wzniesieniem – Górą św. Anny – na którym znajdowało się słynne sanktuarium darzone kultem Górnoślązaków obu nacji.

Naczelną dowódcą sił niemieckich – działających pod nazwą Samoobrona Górnego Śląska (Selbstschutz Oberschlesiens) – gen. Karl Hoefer podzielił je na dwie grupy operacyjne: „Gruppe Süd” i „Gruppe Nord”. Każda z nich składała się z kilku samodzielnych pododdziałów w sile mniej więcej batalionu. Reichswehra przekazała 30 dział, sześć pociągów pancernych i oddziały kawalerii. Oprócz ochotników górnośląskich i regularnego wojska do walk przystąpili ochotnicy z głębi Rzeszy tworzący Freikorpsy.

W sile pułku wystąpił oddział ochotników bawarskich Oberland, którego dowódcą był mjr Ernst Horadam, a szefem sztabu Joseph „Beppo” Römer (późniejszy hitlerowski zbir, szef SA).

Polska obrona okolic Góry św. Anny składała się z oddziałów 1. Dywizji Powstańczej

i tzw. Podgrupy „Bogdan” kpt. Wincentego Mendoszewskiego z Grupy „Północ”. Oficjalny stan oddziałów wynosił prawie 6,5 tys. ludzi, ale po ogłoszeniu rozejmu ich wartość bojowa bardzo zmalała. Część powstańców po prostu poszła do domu, a i wielu pozostałym nie w głowie już była wojaczka. Broń strzelecka, kilkanaście granatników, a nawet trzy samochody pancerne i ewentualne wsparcie pociągów pancernych nie równoważyły sił głównego uderzenia niemieckiego.

Siły te liczyły od 12 do 13 tys. żołnierzy wspartych 16 działami, kilkoma pociągami pancernymi oraz pojazdami pancernymi. Z ich lewego skrzydła natarła nocą 21 maja grupa mjr. Horadama z Bawarczykami Freikorpsu Oberland, a z prawej strony – trzybatalionowa grupa Niemców Górnośląskich mjr. Chapuisa. Dążyły one do oskrzydlenia, otoczenia i rozbicia oddziałów powstańczych oraz połączenia się na równinie, z której prosta droga wiodła ku okręgowi przemysłowemu.

Już przed południem 21 maja załamała się obrona 8. Pułku Pszczyńskiego Franciszka Rataja, a po południu – 1. Pułku Katowickiego Walentego Fojkisa, wzmocnionego rozbitekami oddziałów pszczyńskich. Niektórzy powstańcy uciekali z szeregów, ale inni walczyli do końca, również bagnietem, twarzą w twarz z wrogiem. Nie pomogły nikłe odwody i po południu 21 maja mjr Ludyga-Laskowski wydał rozkaz opuszczenia Góry św. Anny. Na polu walki zostało ok. 100 zabitych i rannych Polaków oraz prawie pół tysiąca Niemców (dane z nasłuchu).

Kontratak polski 23 maja Podgrupy „Bogdan” i 1. Dywizji na rozkaz komendanta Mielżyńskiego, a wbrew opinii mjr. Ludygi-Laskowskiego, był za słaby. Atakujący cofali się na pozycje wyjścio-



we, opuszczając odbite miejscowości. Brakowało odwodów, amunicji, zaopatrzenia i wsparcia artylerii, współdziałanie oraz dowodzenie szwankowały, animusz bojowy jednych przeplatał się z brakiem wiary w zwycięstwo innych. Ale Niemcom – choć wykazali wysoką sprawność bojową i przełamali ryglującą pozycję polską – zabrakło sił na dalszy atak ku Gliwicom. Nastąpił pat polityczny i militarny. Obie strony pod naciskiem aliantów rozpoczęły rozmowy o rozejmie, lecz wówczas były one skazane na niepowodzenie. Korfanty nie zamierzał cofnąć się z zajętych terenów przemysłowych, a Hoefler rezygnować z pozycji wyjściowych dogodnych do dalszego ataku.

Do dalszej agresji i odebrania Polsce siłą Górnego Śląska parli oficerowie niemieccy, a w ich imieniu gen. Hülsen przekazał gen. Hoeflerowi plan oskrzydlenia i całkowitego zniszczenia 1. Dywizji Powstańczej. Zgodnie z tym planem Niemcy ruszyli 4 czerwca od masywu chełmskiego na północy oraz od Koźła na Ujazd, Sławięcice i Kędzierzyn na południowym zachodzie.

Bawarczycy z marszu zajęli Sławięcice, ale ich dalszy atak

doliną rzeki Kłodnica uniemożliwiła rozpaczliwa obrona oddziałów 3. Pułku Katowickiego i 2. Pułku Zaborskiego. Dramatyczną obronę podjął też 4. Pułk z Królewskiej Huty na drodze do Kędzierzyna. Znowu, tak jak przed miesiącem toczyły się tu ciężkie, pięciodniowe tym razem walki o kędzierzyński węzeł kolejowy. Wygrali Niemcy. Tylko taktycznie: mimo zajęcia Góry św. Anny i Kędzierzyna nie osiągnęli strategicznego celu – odzyskania wschodniej, przemysłowej części Górnego Śląska.

14 czerwca pod presją zbrojnej interwencji sił alianckich zgodzili się na zawieszenie broni oraz oddanie Lidze Narodów decyzji o przyszłości Górnego Śląska. 26 czerwca 1921 r. Korfanty i Hoefler podpisali porozumienie o wycofaniu sił obu stron z zajmowanych terytoriów.



Odnazka na czapkę Oddziałów Szturmowych z 1921 r.

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Śląsk i stereotypy



Maciej Rosalak

Wielka polska demonstracja zbrojna, jaką było trzecie powstanie śląskie, spełniła swoje zadanie. Podjęta 20 października 1921 r. przez Radę Ambasadorów Ligi Narodów decyzja o podziale terenu plebiscytowego oznaczała zakończenie czteroletniego polsko-niemieckiego konfliktu o Górny Śląsk. Dopiero jednak po podpisaniu 15 maja 1922 r. polsko-niemieckiej konwencji górnośląskiej, regulującej dwustronne stosunki i gwarantującej prawa mniejszości narodowych, Wojsko Polskie mogło uroczystie wkroczyć na przyznaną Polsce część Górnego Śląska. Obejmowała ona 3214 km kw. (29 proc. obszaru plebiscytowego) i 996,5 tys. mieszkańców (46 proc.). Spośród 67 kopalni węgla kamiennego Polska otrzymała 53, ponadto przypadły jej wszystkie kopalnie rud żelaza, dwie trzecie kopalń rud cynku i ołowiu, a także większość przemysłu hutniczego. Było to znacznie korzystniejsze rozstrzygnięcie niż w kwietniu 1921 r.

Z pewnością nie byłoby to możliwe bez konsekwentnego wsparcia ze strony Francji, która – po upadku carskiej Rosji – potrzebowała na wschodzie cywilizowanego sojusznika przeciw Niemcom. Dlatego w połowie lutego 1919 r. uchroniła Wielkopolan przed kontrofensywą armii niemieckiej. Ich powstanie także zakończyło się powodzeniem. A dlaczego Francja i Anglia nie udzieliły takiej pomocy powstańcom listopadowym, których nawet nie uznały za stronę w konflikcie z Mikołajem I? Nie miały w tym interesu oczywiście. Dlaczego, również wbrew obietnicom, pozostawiły samych sobie powstańców styczniowych? Czytaj – jak wyżej. To abecadło polityki. Dziwi teza, że Piłsudski źle zrobił, nie wspierając w drugiej połowie 1919 r. Denikina. Gdyby ten carski generał pokonał bolszewików i odbudował przedrewolucyjną Rosję, Polska stałaby się Francji niepotrzebna. Straciłaby nie tylko ziemie za Bugiem, lecz także właśnie Górny Śląsk. Francuzi zyskaliby na wschodzie znacznie większego sojusznika, a przy okazji śląski węgiel dawałby większe gwarancje spłaty przez Niemcy odszkodowań wojennych.

I jeszcze jedna sprawa. W ustaleniach historyków powstań nie ma – w przeciwieństwie do stereotypów o naturze propagandowej – wątpliwości w sprawie pomocy, którą polska ojczyzna udzieliła górnośląskim powstańcom. Na przykład Wacław Ryżewski (1925–1996), długoletni badacz powstań śląskich w WIH, ustalił wielkość uzbrojenia przekazanego armii powstańczej przez Wojsko Polskie. Na jego ustalenia powoływali się zarówno prof. Mieczysław Wrzosek (1930–2015), jak i profesorowie Ryszard Kaczmarek czy Leszek Kania. Otóż łączna pomoc, którą otrzymali od Rzeczypospolitej powstańcy, liczyła ok. 40 tys. karabinów, ok. 700 karabinów maszynowych, siedem pociągów pancernych, 50 dział polowych, 160 ciężarówek, 50 motocykli, 250 rowerów, kilkanaście milionów naboju, 25 tys. granatów, kilka tysięcy pistoletów, ok. 1,7 tys. koni taborowych oraz kilkaset wagonów z żywnością, ze sprzętem saperskim i środkami opatrunkowymi. Władze Rzeczypospolitej, tak surowo później oskarżane o porzucenie Ślązaków na pastwę Niemiec, tuż po zakończeniu rujnujących wojen wydały na armię powstańczą ok. 200 mln marek niemieckich. Tę pomoc Polacy z całej ojczyzny traktowali jako narodowy obowiązek. Cóż, inna sprawa, że się opłaciło... ©©

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karabiny dla powstania



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Uzbrojenie uczestników III powstania śląskiego stanowiło podobną mozaikę, co polskich żołnierzy walczących z bolszewikami

Pomimo imponującej pracy włożonej w proces wprowadzenia wojskowej organizacji i nadania jednolitej struktury armia powstańcza z 1921 r. pozostała formacją nieregularną, w znacznym stopniu improwizowaną, tworzoną w szczególnych warunkach konspiracji. Sytuacja ta kontrastuje ze zrywem Wielkopolan, którzy stworzyli regularną, w miarę jednolicie ubraną i uzbrojoną armię. Najlicniejszym rodzajem powstańczego wojska była piechota uzbrojona w karabiny powtarzalne.

Ocenia się, że w przededniu wybuchu pierwszego powstania Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska posiadała blisko 4 tys. karabinów i karabinków. Tuż przed trzecim stan ten zwiększył się

wielokrotnie, na co miały wpływ zaangażowanie strony polskiej i samodzielnie podejmowane akcje zaopatrzeniowe przez ochotników z zagranicy. Dokładna liczba zgromadzonej broni pozostaje nie do ustalenia, ale przypuszczalnie oscylowała w granicach 25–30 tys. sztuk. Niejasno przedstawia się też kwestia pochodzenia broni, tzn. kiedy i ile sprzętu dostarczono z magazynów Związku Przyjaciół Górnego Śląska, a ile udało się pozyskać bezpośrednio w terenie przez Dowództwo Obrony Plebiscytu. W tym pierwszym wypadku spotyka się liczby od 10 nawet do 30 tys. Można więc założyć, że w chwili wybuchu walk w maju 1921 r. powstańcza piechota była dość dobrze uzbrojona.

W początkowej fazie walk uzupełnienie stanowiła też niemała zdobycz

na Niemczech. Gros karabinów to broń niemiecka (głównie karabiny systemu Mausera wz. 1898, ale także starsze wzory), co – biorąc pod uwagę obszar, na którym toczyły się walki – jest zupełnie oczywiste. Część mogła stanowić własność Ślązaków – byłych żołnierzy armii niemieckiej, którzy wróciwszy z frontu skorzystali z powojennej zawieruchy i po prostu broni nie zdali. Znaczny procent stanowiły karabiny kupione na czarnym rynku, przejęte w magazynach, wreszcie zdobyte już w trakcie walki.

Poza konstrukcjami niemieckimi spotykane są także inne, przy czym wydaje się, że najliczniej reprezentowane są karabiny austriackie systemu Mannlichera. Możemy zakładać, że większość z nich pochodziła z zasobów Wojska Polskiego, w którym za podstawę uzbrojenia strzeleckiego uznano karabiny francuskie i niemieckie. Łatwiej wobec tego przyszło „pozbyć” się broni niestandardowej, którą w perspektywie miano wycofać z uzbrojenia. Ślązacy używali także rosyjskich mosinów. Wydaje się, że była to głównie zdobycz z lat 1914–1917 – karabiny pierwotnie strzelające amunicją kal. 7,62 mm, ale przerobione w Niemczech do standardowych naboji kal. 7,92 mm. Fotografie przedstawiające powstańcze oddziały z 1921 r. potwierdzają również fakt użycia karabinów włoskich i francuskich. Źródłem mogły być oddziały rozjemcze stacjonujące na Śląsku. Zwłaszcza Włosi, którzy aktywnie zaangażowali się w wydarzenia na Śląsku i stoczyli z powstańcami krwawe walki, mogli być źródłem pozyskania broni. Mogła być także dostarczona z Polski. Broń francuska i włoska wykorzystywana była incydentalnie.

Jeśli chodzi o broń maszynową, to ocenia się, że potencjał bojowy sięgał ponad 600 ciężkich i lekkich karabinów maszynowych. Gros z nich znajdowało się w położonych w Polsce magazynach Związku Przyjaciół Górnego Śląska, ale opierając się na danych dotyczących połowy maja, możemy zakładać, że większość tej broni dostarczono na obszar plebiscytowy. Na archiwalnych fotografiach widać głównie niemieckie maximy wz. 08 i wz. 08/15, ale w użyciu były również austriackie cekaemy Schwarze wz. 07/12. Trafiała się także broń francuska (cekaemy Hotchkiss wz. 1914 i erkaemy Chauchat wz. 1915) oraz angielska (elkaemy Lewis wz. 1915). ©



Armaty na Śląsku

W chwili wybuchu walk w maju 1921 r. Ślązacy mogli dysponować najwyżej kilkoma lekkimi armatami, które pozostawały w gestii Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych i były używane stosownie do sytuacji na froncie. Liczba zwiększyła się w połowie maja dzięki dostawom z Polski, a pod koniec czerwca strzelało przeszło 60 lekkich dział polowych różnych wzorów. Wśród przekazanego sprzętu znalazły się szybkostrzelne rosyjskie i austriackie armaty polowe, których używano zarówno w pociągach pancernych, jak i w polu. Te pierwsze, wz. 1902 kal. 7,62 mm, stanowiły podstawowe uzbrojenie baterii lekkich armii carskiej i Armii Czerwonej. Znaczna liczba tych dział – zdobytych na bolszewikach – znalazła się w Wojsku Polskim. Była to jedna z lepszych armat epoki. Natomiast jej austriacki odpowiednik to wz. 1905/08 kal.

76,5 mm: dział o zbliżonej konstrukcji i parametrach, ale z lufą wykonaną nie ze stali, lecz z kutego brązu.

Poza nowoczesnymi wz. 1905/08 używano także przestarzałych austriackich armat wz. 1875/96 kal. 90 mm o łożach sprężystych (tzn. bez oporopowrotników), zmodyfikowanych pod koniec XIX w., o niewielkiej szybkostrzelności i donośności. Wcześniej armaty te znajdowały się na uzbrojeniu Legionów Polskich. Ich przydatność na ówczesnym polu walki była znikoma. Ciekawostką jest to, że armaty te zaopatrzone są w tarcze ochronne (o czym świadczą zachowane zdjęcia), których pierwotnie nie miały. Najpewniej zastosowano je już w trakcie pierwszej wojny światowej lub zrobiono to w powstańczych warsztatach. Z innych wymienić należy francuskie armaty górskie wz. 1906 kal. 65 mm (na zdjęciu) i włoskie armaty polowe wz. 1906 kal. 75 mm. ©©

Auta pancerne

Improwizowane pojazdy pancerne – choć nieliczne – zapewniały efektywne wsparcie. Do najślawniejszych należał „Korfanty” zbudowany w Sosnowcu i obsadzony załogą złożoną z polskich marynarzy ochotników. Obudowano go stalowymi blachami przygotowanymi w Hucie Katarzyna i uzbrojono w kilka maximów. Innym znanym samochodem pancernym był „Powstaniec”, zbudowany także w Sosnowcu i podobnie jak „Korfanty” uzbrojony. Również on wchodził w skład grupy Oszka. Jeszcze jednym był „Zabrski Powstaniec”.

Erhardt wz. 1917 – niemiecki samochód pancerny produkowany seryjnie pod koniec pierwszej wojny światowej. W zakładach Heinrich Erhardt Automobilwerke AG w Zella-Mehlis powstało ich w sumie kilkadziesiąt. Jeden został zdobyty przez powstańców wielkopolskich w 1919 r., a w roku 1921 trafił wraz z załogą na Górny Śląsk (zdjęcie). Dowodził nim ochotnik z Alzacji, a wóz ochrzczono nazwą „Górny Śląsk-Alzacja”. ©©



Pociągi pancerne



Dobrze rozwinięta sieć kolei nadawała się doskonale do użycia pociągów pancernych. W większości uzbrojenie było improwizowane, tworzone ad hoc już podczas trwania

walk. Budowały je lub przystosowywały do warunków bojowych warsztaty w Zawadzkim i Szopienicach. Polscy Ślązacy wykorzystali w walce nieustaloną dokładnie liczbę pociągów pancernych i drezyn opancerzonych. Z nazw znanych jest 16, ale liczba mogła dochodzić do 20, przy czym nie działały one na froncie jednocześnie, a niektóre w ogóle nie wzięły udziału w walce.

Zachowało się co najmniej kilkanaście fotografii, które ukazują pociągi pancerne powstańców, m.in. „Kabciza” (na zdjęciu), „Ludygę”, „Nowaka”, „Piasta”, „Pierona”, „Testarta” i „Ślązaka”. To w większości

zdjęcia pamiątkowe, wraz z załogami, ale niektóre są na tyle dokładne, że można rozpoznać uzbrojenie artyleryjskie i szczegóły konstrukcji parowozów oraz wagonów. Na fotografiach przedstawiających „Pierona” widać np. wylot lufy francuskiej armaty górskiej 65 mm o nazwie własnej „Kalina”; opancerzenie wagonu artyleryjskiego zbudowane było z płyt stalowych oraz podkładów kolejowych. Podobne ujęcie obrazuje wagon artyleryjski „Nowaka”, w tym wypadku uzbrojenie stanowi również francuska „sześćdziesiątka piątka”. „Pieron” miał jedną taką armatę, „Nowak” i „Zygmunt Powstaniec” po dwie. ©©



Piotr Zychowicz

/ Zwycięstwo nad imperium Stalina leżało w zasięgu ręki. III Rzesza poniosła klęskę w wyniku fatalnych błędów Führera

Komunistyczna propaganda przez lata trąbiła, że zwycięstwo Związku Sowieckiego nad III Rzeszą było czymś nieuchronnym i z góry przesądzonym.

Wynikało to oczywiście z wyższości systemu komunistycznego nad „paskudnym faszyzmem”. Zatrudnieni na państwowych uniwersytetach historycy posłusznie wyliczali przyczyny zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej: „Wytrzymałość i wielkie zalety społecznego i państwowego ustroju socjalistycznego, przyjaźń ludów ZSRS, radziecki patriotyzm i proletariacki internacjonalizm, niepodzielne zwierzchnictwo partii komunistycznej”. No i – dodajmy – geniusz dowódcy towarzysza Stalina i jego marszałków.

Wszystko to oczywiście stek bzdur. To nie Związek Sowiecki wygrał wojnę z III Rzeszą. To III Rzesza – na własne życzenie – przegrała wojnę ze Związkiem Sowieckim. W pasjonujący sposób pisze o tym w swojej nowej książce „Jak Związek Sowiecki wygrał wojnę” Mark Sołomin, jeden z najważniejszych, niezależnych rosyjskich badaczy zajmujących się operacją „Barbarossa” i – szerzej – wojną totalną między Hitlerem a Stalinem.

Zdaniem Sołomina wojskowa, technologiczna i przemysłowa przewaga Niemców nad Sowietami była miażdżąca. Naprawdę niewiele zabrakło, aby historia potoczyła się zupełnie innym torem. Niemcy byli dosłownie o włos od zwycięstwa na froncie wschodnim i zniszczenia bolszewizmu. Stalinowi w 1941 r. właściwie udało się uciec spod gilotyny.

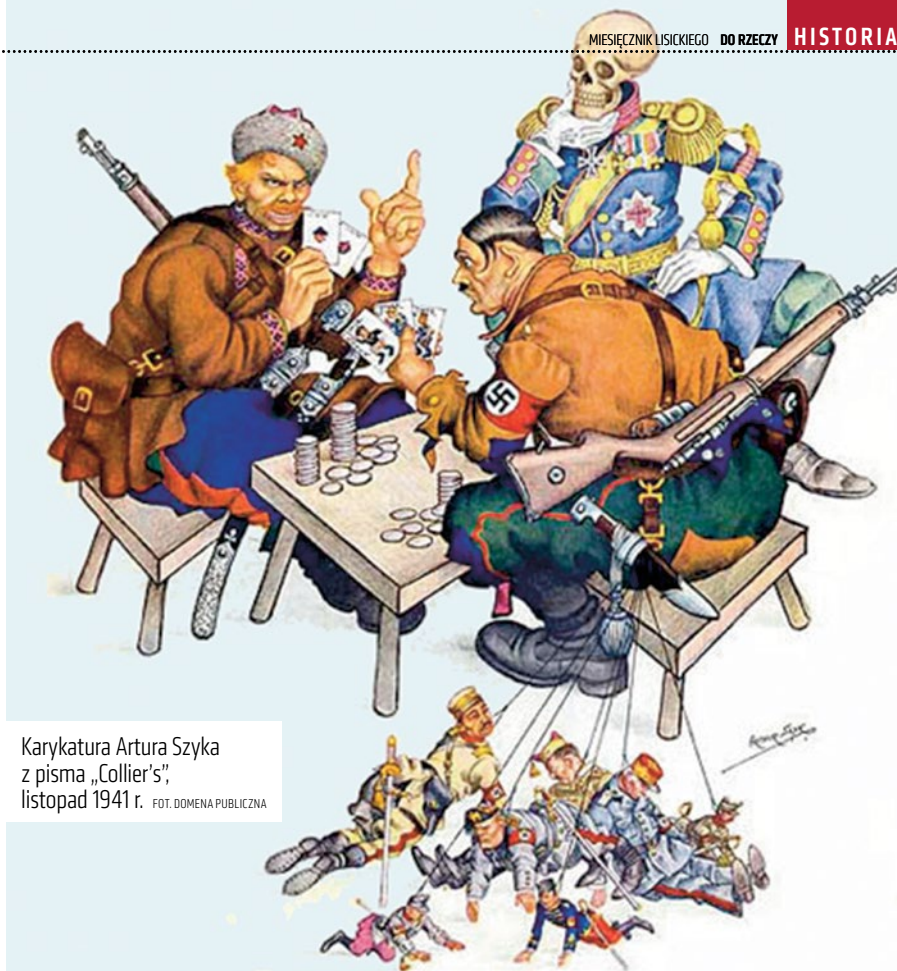
Początkowe zawrotne sukcesy Wehrmachtu wskazywały na to, że kampania w Związku Sowieckim będzie kolejnym spektakularnym blitzkriegoem. Sołomin

Front wschodni / Katastrofa na własne życzenie

Jak Hitler przegrał wojnę

Niemieckie oddziały
przekraczają granicę
niemiecko-sowiecką

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/JOHANNES HAHLE



Karykatura Artura Szyka
z pisma „Collier's”,
listopad 1941 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

w swojej książce skrupulatnie wylicza niemieckie osiągnięcia w pierwszych dniach i tygodniach wojny. Kilkanaście tysięcy sowieckich samolotów zniszczonych na pasach startowych, tysiące rozbitych, porzuconych czołgów. Całe fronty rozbite w drobny mak i rozpędzone po lasach. Setki tysięcy jeńców.

Po trzech tygodniach od rozpoczęcia operacji – pisze rosyjski historyk – niemieccy generałowie mogli stwierdzić, że pierwsze zadanie powierzone im zgodnie z planem „Barbarossa” („Główne siły radzieckich wojsk lądowych znajdujące się w zachodniej Rosji powinny zostać zniszczone w zdecydowanych operacjach poprzez głębokie, szybkie ataki klinów pancernych”), zostało już w zasadzie wykonane. Wojna, która rozpoczęła się w taki sposób, zakończyła się w Berlinie. Pierwszym autorem „wielkiego przełomu” został Adolf Hitler. Największy zbrodniarz i potwór nie wydawał się być klinicznym idiotą, ale listą szaleńczych błędów, które popełnił w 1941 r., nie przestaje zadziwiać.

Tak, wielkim paradoksem historii jest to, że prawdziwym ojcem sowieckiego zwycięstwa nie był wcale Józef Stalin, który 22 czerwca 1941 r. dostał załamania nerwowego i schował się w swojej daczce. Jego prawdziwym autorem był Adolf Hitler. Człowiek, który sukces miał w kieszeni, ale zmarnował szansę, którą dała mu

Opatrzność. Użyte przez Marka Sołonina wobec Hitlera określenie „kliniczny idiota” to naprawdę mało powiedziane.

Na Moskwę!

Pierwszym koszmarnym błędem Hitlera było opóźnienie decydującego ataku na Moskwę. Już w połowie lipca 1941 r. – po trzech tygodniach operacji „Barbarossa” – niemieckie jednostki pancerne pokonały ok. dwóch trzecich odległości do Moskwy.

Po zdobyciu Smoleńska – podkreśla Sołonin – trzeba było, nie bacząc na zagrożenia ze strony skrzydeł, iść, przedzierać się, rwać do Moskwy. Taka decyzja nie jest kwestią sztuki operacyjnej. Jest to główna filozofia wojny, czynnik ludzki, który taki mistrz manipulowania tłumem jak Hitler powinien był zrozumieć. Utrata stolicy, symbolu władzy i potęgi kraju miesiąc po rozpoczęciu działań bojowych nie mogła nie wywrzeć piorunującego wrażenia na armii i obywatelach. Z bar dziej przyziemnego punktu widzenia zdobycie Moskwy wielokrotnie zwiększało współczynnik sprzężenia zwrotnego („wojna już jest przegrana, w imię czego mam poświęcić moje jedyne życie”, i armia zmienia się w rozpierzchający się tłum, co dodatkowo przyspiesza postępy nieprzyjaciela).



Niemieccy żołnierze na froncie wschodnim

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

■ W grę wchodził czynnik psychologiczny, ale nie tylko. Moskwa była kluczowym węzłem komunikacyjnym, przecinały się w niej najważniejsze szosy i magistrale kolejowe Związku Sowieckiego. Zajęcie tego węzła przez Niemców całkowicie zdeorganizowałoby i sparaliżowało Armię Czerwoną. Mało tego, Moskwa była ważnym centrum przemysłowym. Znajdujące się w niej fabryki miały olbrzymie znaczenie dla wysiłku wojennego bolszewików.

Wydawało się więc, że wszystko przemawia za tym, żeby jak najszybciej – jeszcze przed jesiennymi opadami deszczu – zająć sowiecką stolicę. To byłby cios, po którym Związek Sowiecki już by się nie podniósł. Nawiasem mówiąc, podobnego zdania był sam Józef Stalin, który w ostatnim momencie odmówił ewakuowania się ze stolicy. Rozumiał bowiem, że po upadku Moskwy bolszewizm najprawdopodobniej przestanie istnieć i wojna będzie przegrana.

Na kluczowe znaczenie sowieckiej stolicy wskazywali niemal wszyscy najwybitniejsi niemieccy marszałkowie i generałowie. Zarówno ci pracujący za biurkami – jak Szef Sztabu Generalnego Franz Halder – jak i dowódcy frontowi, tacy jak Heinz Guderian. Byli to znawcy fachowcy, prawdziwi zawodowcy, którzy doskonale znali się na swoim rzemiośle.

Kapral Adolf Hitler miał jednak inną koncepcję. Wierząc święcie w swoją „szczęśliwą gwiazdę” i „nieomylny instynkt”, kazał zatrzymać dalszy marsz na Moskwę. Część pancernych grup uderzeniowych została skierowana na północ, część na południe – na Ukrainę.

W efekcie natarcie na Moskwę zostało wznowione dopiero 30 września. Jak podkreśla Sołonin, „dwa i pół miesiąca bez sensu zmarnowano”.

A w tym przypadku czas miał kapitalne znaczenie. Powtarza się bowiem często, że potęgę Wehrmachtu skruszyła „sowiecka zima”. Mróz i śnieg. To nieprawda – armię III Rzeszy zatrzymała sowiecka jesień. A konkretnie – błoto. Gdy wreszcie rozpoczęła się operacja „Tajfun”, której celem było zajęcie Moskwy, było już po pierwszych jesiennych deszczach. Efekt? Wystarczy zajrzeć do dowolnych wspomnień niemieckich żołnierzy z frontu wschodniego. Kolumny pancerne zaczęły grzęznąć w straszliwych błotach. Dalsze posuwanie się na wschód szybko stało się prawdziwą męką.

Ach, ten optymizm

Drugim poważnym błędem Hitlera było zlekceważenie przeciwnika. Z góry uznał on, że Związek Sowiecki jest kółem na glinianych nogach. I nie zapewnił siłom pancernym biorącym udział w operacji „Barbarossa” odpowiednich rezerw. Silniki czołgów tymczasem się zużywały, maszyny się psuły lub ulegały zniszczeniu. Aby kontynuować natarcie z dotychczasowym impetem, jednostki te potrzebowały uzupełnień w ludziach i sprzęcie.

Niestety, uzupełnienia przychodziły w znikomej – w stosunku do potrzeb – ilości. W ciągu pierwszych dwóch i pół miesiąca wojny front wschodni otrzymał zaledwie... 89 czołgów. Było to po prostu śmieszne. W efekcie im bardziej szpice

pancerne wbijały się w sowieckie terytorium, tym bardziej się stępiały. A co za tym idzie, natarcie wytracało tempo i dynamikę.

Ktoś może oczywiście powiedzieć, że Niemcy walczyli tym, czym mogli. Zaangażowani na innych frontach mieli ograniczoną ilość sprzętu. Nic z tych rzeczy – zbija ten argument Sołonin. Niemcy w 1941 r. produkowali bowiem... 250 czołgów miesięcznie. Sprzęt schodzący z taśm produkcyjnych po prostu nie trafiał na front wschodni.

W czasie, gdy smoleńskie zgromadzenie Wehrmachtu nie miało czym rozwijać ofensywy na Moskwę – wylicza Sołonin – 45 dywizji piechoty i dwie dywizje pancerne stały beczynnie we Francji i na Bałkanach, osiem dywizji piechoty przygotowywało się do odparcia mitycznego lądowania Brytyjczyków w Norwegii. Na etapie przygotowań do wojny z ZSRR (od zakończenia kampanii francuskiej i do kwietnia 1941 r.) z Wehrmachtu zdemobilizowano (!) 500 tys. osób, a tych żołnierzy wystarczyłoby do sformowania 30 dywizji piechoty... Podobne działania można by długo wymieniać, ale ostatecznie wszystkie świadczą o jednym – o bardzo ryzykownym niedoszacowaniu możliwości nieprzyjaciela.

Optymizm jest bez wątpienia cechą bardzo pozytywną. Ale nie na wojnie! Na wojnie trzeba szykować się na najgorszy możliwy scenariusz. Tymczasem Hitler przygotował się na scenariusz najlepszy. Był przekonany, że nawet bez totalnej mobilizacji sił uda mu się powalić Związek Sowiecki „w trakcie krótkiej kampanii”. Nie wziął pod uwagę oporu Armii Czerwonej, olbrzymich sowieckich przestrzeni i – co musi zdumiewać – kwestii meteorologicznych.

Ufny w szybkie zwycięstwo blitzkriegu Hitler nie zatroszczył się o tak podstawowe sprawy jak ciepła odzież dla wojska i odpowiednie zaopatrzenie na surowy sowiecki klimat. W efekcie, gdy jesienią 1941 r. niemiecka ofensywa ugrzęzła pod Moskwą, żołnierze w letnich mundurach marzli na kość przy kilkudziesięciostopniowym mrozie. Wybuchł potworny kryzys aprowizacyjny. Wehrmacht nie był przygotowany na zimowanie w Sowietach.

Jeden element rozumowania Hitlera był bez wątpienia słuszny. Wojnę ze Związkiem Sowieckim można było wygrać wyłącznie w wyniku błyskawicznej kampanii, która wywołałaby szok i powaliła czerwonego kolosa na deski. Należało to załatwić w kilka tygodni. W momencie, gdy blitzkrieg zamienił się w kilkuletnią, krwawą wojnę totalną na



MARK SOŁOMIN „JAK ZWIĄZEK RADZIECKI WYGRAŁ WOJNĘ”

REBIS

wyniszczenie, Niemcy byli skazani na klęskę.

Nie chodziło nawet o rzekome cudowne zdolności do regeneracji sowieckiej armii i sowieckiego przemysłu. Te bajki zostawmy komunistycznej propagandzie. Kluczowym czynnikiem zwycięstwa Sowietów była amerykańska pomoc, która od 1942 r. zaczęła napływać gigantycznym strumieniem do Związku Sowieckiego w ramach programu Lend Lease.

Dziadowska sowiecka gospodarka centralnie planowana nigdy nie byłaby w stanie wyprodukować tyle broni, sprzętu i zaopatrzenia, żeby sprostać Niemcom. Armia Czerwona pokonała Wehrmacht dzięki amerykańskim jeepom, czołgom, samolotom, butom i konserwom. Oto kilka przykładów z zestawienia przedstawionego przez Marka Sołomina:

18 tys. samolotów bojowych,

12 tys. czołgów i dział samobieżnych,

7 tys. transporterów opancerzonych,

520 okrętów różnych klas,

375 tys. ciężarówek,

50 tys. wilysów z napędem na cztery koła i 35 tys.

motocykli,

2 tys. lokomotyw, 11 tys. wagonów i 620 tys. ton

szyn kolejowych,

619 tys. aparatów telefonicznych i 2 mln km przewodów telefonicznych (można nimi 48 razy owinąć Ziemię wzdłuż równika),

903 tys. detonatorów różnych typów,

603 mln naboju karabinowych,

13 mln par skórzanych butów wojskowych...

Wymieniać można by tak jeszcze długo. Otrzymałszy tyle sprzętu, Armia Czerwona musiała w końcu osiągnąć przewagę nad Wehrmachtem i wkroczyć do Berlina.

Niemcy mogli więc wygrać wojnę wyłącznie wtedy, gdyby szybko zajęli Moskwę i pobili bolszewików, zanim strumień amerykańskiej pomocy nie zaczął napływać do Związku Sowieckiego. Paradoxem historii jest to, że tego celu nie udało się osiągnąć za sprawą Hitlera.

Polityka, głupcze!

To tyle, jeżeli chodzi o główne militarne błędy niemieckiego dyktatora. Teraz pora na błąd najpoważniejszy. Był to błąd polityczny. Chodzi oczywiście o kwestię, o której pisałem na łamach „Historii Do Rzeczy” wielokrotnie. Chodzi o niewykorzystanie antysowieckich nastrojów Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i innych

narodów uciemiężonych przez bolszewików.

Jak wiadomo, w trakcie operacji „Barbarossa” Niemcy byli witani przez ludność cywilną jak wyzwolicieli. Na ich stronę przeszły setki tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie mieli najmniejszej ochoty walczyć za znienawidzony system sowiecki. System, który gnębił ich w straszliwy sposób przez blisko ćwierć wieku. Całe sowieckie jednostki wyżyły swoich oficerów politycznych i poddawały się Niemcom.

Hitler odrzucił jednak wyciągniętą ku niemu dłoń. Na Wschód nie przyszedł jako wyzwoliciel, ale jako ciemiężyciel. Oszołomiony pierwszymi zwycięstwami postanowił zrealizować rasistowską, obłądną koncepcję Lebensraum. Jeńców z Armii Czerwonej zamknął w straszliwych obozach śmierci,



Czerwonoarmiści wzięci do niewoli FOT. BUNDESARCHIV BILD

nie zlikwidował kołchozów, nie zgodził się na stworzenie niepodległych państw bałtyckich i Ukrainy. Terror NKWD zastąpił terrorem SS i gestapo. W efekcie nastroje ludności odwróciły się. A Armia Czerwona zaczęła się bić.

Hitler – podkreśla skusznie Sołomin – nie zrozumiał, że nie da się rozgromić Związku Sowieckiego tylko za pomocą wojska i „głębokie ataki klinów pancernych” mają sens wyłącznie jako DETONATOR zewnętrzny, inicjujący wewnętrzną polityczną eksplozję. Żeby osiągnąć ten najważniejszy cel, nie zrobiono nic – nawet Hitler bez trudu mógł odnieść zwycięstwo nad imperium stalinowskim.

Na krańcach ZSRS (kraje bałtyckie, zachodnia Ukraina, później – Kaukaz Północny i Kuban) wybuchły zbrojne powstania narodowe. Pod koniec lata 1941 r. Niemcy przetrzymywali w niewoli 1,5 mln byłych żołnierzy Armii Czerwonej, we wrześniu i październiku 1941 r. ta liczba się podwoiła. W rzeczywistości był to ogromny kontyngent poborowy, z gotowym dowództwem, wojskowymi specjalistami wszelkiego rodzaju oraz olbrzymimi stertami amunicji i broni – od karabinów do czołgów włącznie – które przecież nie wyparowały bez śladu, a zostały na terytorium kontrolowanym przez Wehrmacht.

Generałowie Wehrmachtu, którzy widzieli sytuację w Armii Czerwonej i w obozach jenieckich z bliska, wielokrotnie zwracali się do Hitlera z propozycją, aby wykorzystać tę wyjątkową sytuację. Całkowicie możliwe było powtórzenie sytuacji z 1918 r., gdy wspierający zmianę władzy w Rosji Niemcy zawarli z nowym rządem traktat brzeski, w ten sposób zapewniając sobie wolną rękę do ofensywy na froncie zachodnim.

Trudno w dziejach świata znaleźć drugi przykład przywódcy, który popełniłby tak fatalne błędy i doprowadził własną ojczyznę do tak potwornej katastrofy. A wraz z nią pół kontynentu. Skutki polityki Hitlera były bowiem dokładnie odwrotne do zamierzonych.

Chciał uczynić Niemcy wielkimi, a na koniec wojny Niemcy leżały w gruzach.

Chciał odepchnąć bolszewizm za Ural, a na koniec wojny bolszewizm rozlał się na całą Europę Środkowo-Wschodnią.

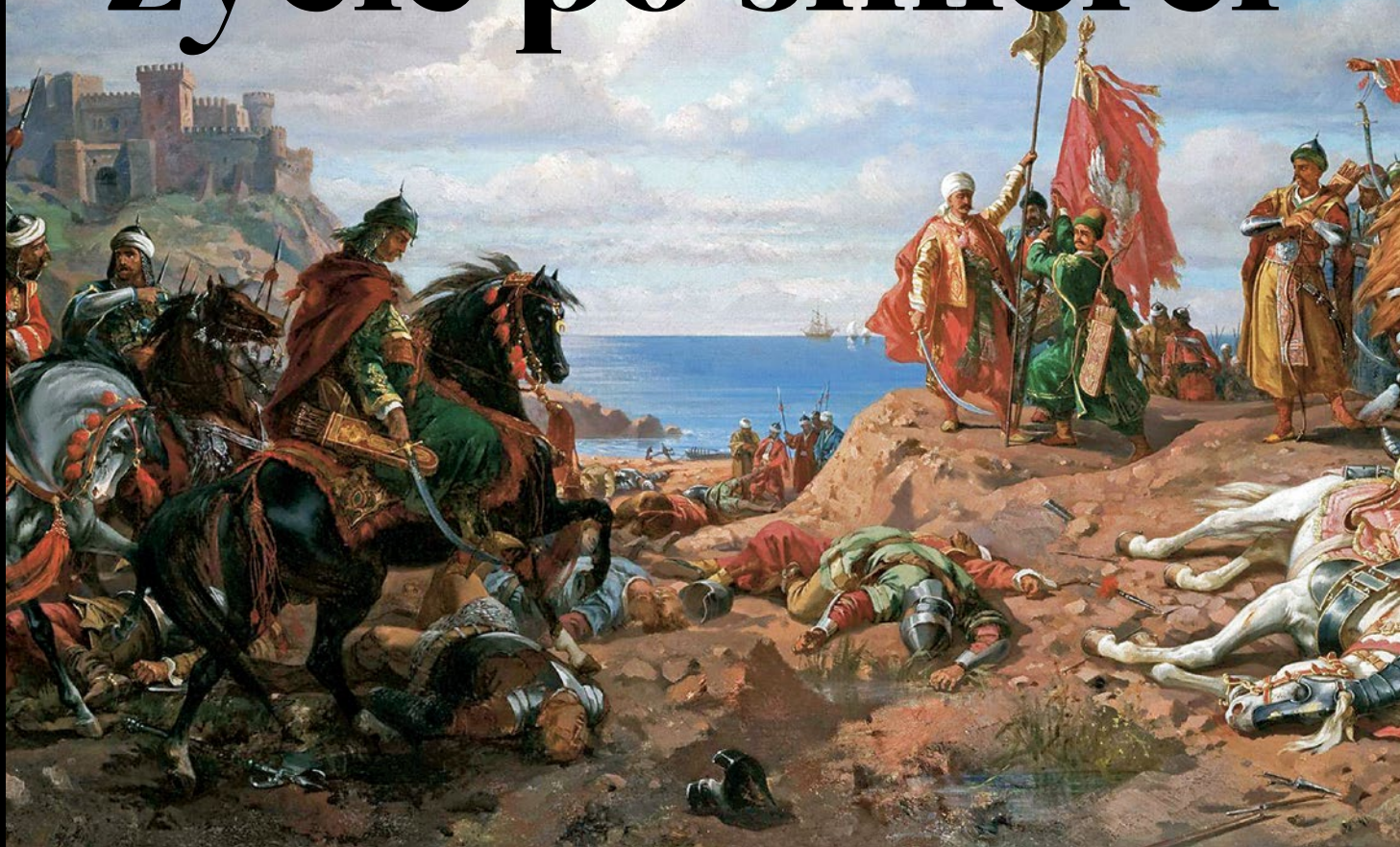
Stało się tak w wyniku zadufania i ideologicznego zaślepienia wodza III Rzeszy.

Nie mam żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla takiej autodestrukcyjnej głupoty – puentuje Sołomin. – Pozostaje tylko przypomnieć wypowiedzianą przez niezującego już Igora Bunicza myśl o pewnym tajemniczym „samolikwidatorze”, który Los wbudowuje w mechanizm totalitarnej dyktatury.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1424–1444? / Zagadka losu króla Polski i Węgier

Warneńczyka życie po śmierci



Wprawdzie Osmanowie w końcowej fazie starcia obnosili po placu boju królewską głowę zatknętą na pikę, ale nie wiadomo, czy faktycznie posłużyli się „oryginałem”. Odpowiedniego „materiału” nie brakowało przecież na polu bitwy. Islamskie kroniki podawały, że władca został zwalony z konia, a janczar Khizr



Sławomir Koper

/ Oficjalnie król zginął 10 listopada 1444 r., walcząc z Turkami pod Warną. Nikt jednak z chrześcijan nie widział śmierci władcy, co stało się przyczyną hipotezy, że Jagiellon przeżył bitwę

Stanisław Chlebowski „Śmierć Władysława Jagiellończyka pod Warną”
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Kodza odrąbał mu głowę, którą następnie zaniesiono sułtanowi. Ten polecił ją zidentyfikować polskim jeńcom i dopiero wówczas trafiła na pierwszą linię. Cała historia wygląda jednak na konfabulację. Czy bowiem szeregowy janczar mógł wiedzieć, jak wyglądał król Węgier i Polski? Wątpliwe też, by rozpoznał jego herb, zresztą w zamieszaniu bitewnym było to raczej niemożliwe. Tarcze zwalonych z koni wojowników

leżały w nieładzie i nie było wiadomo, która należała do króla.

Sami Turcy mieli poważne wątpliwości. Po bitwie zwrócili się do dowódcy floty weneckiej stacjonującej w cieśninach czarnomorskich z prośbą o przysłanie człowieka, który mógłby zidentyfikować upiorne trofeum. Wenecjaninowi pokazano głowę o długich, jasnych włosach, a przecież król był brunetem. Podobno zmianę koloru czupryny spowodowała

jednak konserwacja w miodzie, a Osmanowie dodatkowo się tłumaczyli, że włosy ufarbowano (!) w celach estetycznych. Jeżeli jednak Turkom zależało na identyfikacji, to podobne zabiegi wydają się absurdem.

Nie znaleziono też ciała królewskiego, chociaż podobno Władysław miał mieć sześć palców u stóp. Inna sprawa, że trupy chrześcijańskie zostały odarte do naga przez zwycięzców, a miejscami leżały ich całe stopy. Nikt zresztą specjalnie się nie rozglądał za zwłokami Władysława, gdyż uważano go za wiarołomcę, który zerwał świeżo zaprzysiężony traktat.

Skoro jednak nikt z chrześcijan nie widział zabitego Warneńczyka, a trofeum tureckie budziło wątpliwości, to pojawiły się podejrzenia, że król przeżył bitwę. Jeśli jednak nie dostał się do niewoli, to uznano, że załamany klęską ukrył się przed światem. Dlatego też brat monarchy, wielki książę litewski Kazimierz, nie spieszył się z wysunięciem swojej kandydatury do polskiego tronu. „Wielu poważnych ludzi upewniało w listach – potwierdzał Długosz – że Władysław udał się to do Konstantynopola, to do Wenecji, to na Wołoszczyznę, do Siedmiogrodu, a na koniec do Albanii i Raszki [Serbii], a im pożądanse były te wieści, tym łatwiej zyskiwały wiarę”.

Jeszcze ponad 20 lat po bitwie miano zidentyfikować króla w osobie jakiegoś hiszpańskiego pustelnika. Człowiek ten miał mieć po sześć palców u stóp i pokutował za sprowadzenie klęski na swoją armię. Był z nim jednak pewien problem, wyglądał na dobre 30 lat więcej, niż miał by wówczas Warneńczyk.

Dwa lata po bitwie pod Warną papież Eugeniusz uważał Władysława za żyjącego, a władze Florencji i król Neapolu gratulowali mu zwycięskiej (!) bitwy z niewiernymi. Pojawiały się też informacje, że Warneńczyk przebywał na jakiejś portugalskiej wyspie, co miało mieć w przyszłości pewne konsekwencje.

Natomiast w Polsce nie wierzono w ocalenie króla, chociaż rok po bitwie wysłano dwóch rycerzy w celu oględzin pola bitwy i potwierdzenia śmierci władcy. Oczywiście nic nie znaleziono, a rozmowy z okoliczną ludnością też nie przyniosły efektów. Czas mijał i wreszcie Kazimierz Jagiellończyk zdecydował się wysunąć swoją kandydaturę do tronu polskiego. Zaczynał się spieszyć,

■ bezkrólewie w Polsce trwało już trzeci rok, a zainteresowanie koroną wyrażali książęta mazowieccy.

Brak wiarygodnej relacji o śmierci Warneńczyka spowodował, że zaczęli pojawiać się samozwańcy opowiadający o swoim cudownym ocaleniu pod Warną. Niejaki Jan z Wilczyny wyjechał do Niemiec, gdzie ogłosił się królem, ale po powrocie do kraju szybko go zdemaskowano. Inny oszust, szlachcic Michał Rychlik, pojawił się w Poznaniu 15 lat po śmierci Warneńczyka. Uznano go za szalbierza i skazano na śmierć, ale wyroku nie wykonano. Nałożono mu tylko na głowę papierową koronę, wychłostano przy przegięciu i na resztę życia wtrącono do więzienia.

Nie brakowało też autentycznych szaleńców. W Czechach pojawił się osobnik twierdzący, że jest Warneńczykiem, jednak czasami w zaufaniu opowiadał, że tak naprawdę jest legendarnym królem Arturem. Jego oczywiście nie potraktowano poważnie, uznając za człowieka chorego psychicznie.

Sprawa templariuszy

Kilka lat temu wiele zamieszania wywołała książka portugalskiego historyka Manuela da Silva Rosy. Zgodnie z tytułem („Kolumb. Historia nieznaną”) autor zajmował się głównie pochodzeniem i losami odkrywcy Ameryki, ale przy okazji ogłosił również hipotezę, że Krzysztof Kolumb był synem Władysława Warneńczyka. Książka Rosy była bardzo dobrze udokumentowana, chociaż czasami można było odnieść wrażenie, że autor wybierał z kronik i korespondencji tylko te fragmenty, które pasowały do jego koncepcji. Przejawiał również irytujące braki w wiedzy na temat sytuacji politycznej Polski i Węgier, a do tego okazał się zwolennikiem spiskowej teorii dziejów. Skoro jednak nie było jeszcze masonów czy różokrzyżowców, to główna rola sprawcza miała przypaść członkom rozbitego ponad sto lat wcześniej zakonu templariuszy.

Inna sprawa, że templariuszy faktycznie łączyły wyjątkowe więzy z władcami Portugalii. Po oficjalnej kasacji ich zgromadzenia niemal natychmiast nad Tagiem powołano zakon Rycerzy Chry-



Władysław III Warneńczyk

FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI

stusa, który przejął majątek poprzedników. Należeli do niego również przedstawiciele panującej dynastii, a większość członków stanowili dawni templariusze. Zakon ten odegrał ogromną rolę w wielkich odkryciach geograficznych i ekspansji kolonialnej Portugalii.

Autor potrzebował także wyjaśnienia, skąd pochodził Kolumb. Znalazł zatem rozwiązanie i z odkrywcy Ameryki zrobił syna Warneńczyka. Wykorzystał jedną z legend na temat pobitewnych losów króla, która mówiła, że były monarcha osiadł na jakiejś portugalskiej wyspie. Pomocny okazał się również fakt, że 140 lat po Warnie potomkowie admirała twierdzili, że pochodzą z „rodu królów polskich”.

Warto się jednak przyjrzeć bliżej błyskotliwej konstrukcji stworzonej przez Rosę. Wprawdzie czasami można odnieść wrażenie, że niektóre jej elementy zostały naciągnięte poza granice zdrowego rozsądku, ale i tak jest ona interesująca. Władysław miał zostać pod Warną ranny, ale przeżył bitwę. Po klęsce postanowił odrzucić swoją królewską godność i udać się incognito do Ziemi Świętej, a potem osiadł w klasztorze św. Katarzyny na Synaju. Przed mnichami odkrył swoją prawdziwą tożsamość i został pasowany na rycerza zakonu św. Katarzyny.

Trzy lata po bitwie był król w towarzystwie jakiegoś księdza pojawił się w Portugalii. Podobno przez jakiś czas walczył z niewiernymi pod Ceutą, a później wyjawiał swoje prawdziwe imię Henrykowi Żeglarszowi. Ten niezwykle prominentny przedstawiciel miejscowej dynastii i twórca portugalskiego imperium kolonialnego był jednocze-

śnie wielkim mistrzem zakonu Rycerzy Chrystusa. Dzięki jego protekcji rzekomy Warneńczyk ożenił się z zamożną szlachcianką z Algavre i otrzymał posiadłość ziemską na Maderze. Początkowo nazywano go tam rycerzem św. Katarzyny, a następnie Henrykiem Niemcem. Imię miał przybrać na cześć swojego protektora, a przydomek nadała mu okoliczna ludność, gdyż mówił z bardzo ciężkim, obcym akcentem. Za Niemca uważano zresztą wówczas w Portugalii każdego obcokrajowca pochodzącego z ziem położonych na wschód od Renu i Alp. Szybko jednak pojawiły się pogłoski, że był królem Polski, a pochodzenie z wielkiego rodu potwierdzały regularne kontakty z królewskim dworem w Lizbonie.

Informacje o tym, że Warneńczyk przebywa na Maderze, dotarły do Habsburgów, którzy wysłali na rozpoznanie dwóch polskich księży. Obaj mieli rozpoznać w Henryku Niemcu Władysława, gdyż widywali go przed laty na Wawelu. Warto jednak w tym miejscu zauważyć, że Warneńczyk był po raz ostatni w Krakowie w 1440 r. i miał wówczas 16 lat. W tej sytuacji identyfikacja wydaje się niewiele warta, chyba żeby mniś widzieli słynne sześć palców u stóp, co jednak było bardzo wątpliwe. Zresztą sam zainteresowany wyparł się jakichkolwiek związków z dynastią Jagiellonów.

Dalej Rosa popisał się – delikatnie mówiąc – dużą dozą fantazji, a może po prostu brakiem wiedzy. Władysław miał bowiem zdawać sobie sprawę z faktu, że powinien wrócić na tron w Krakowie (Portugalczyk w ogóle nie wspomina o węgierskim), ale przecież na nim zasiadał już jego brat. Poza tym nie chciał mieć nic więcej wspólnego z polityką, gdyż na Maderze prowadził dostatnie i spokojne życie. W tej sytuacji miał sfingować własną śmierć od uderzenia skały spadającej z klifu, gdy przepływał w jego pobliżu statkiem. W tym miejscu można zgodzić się z portugalskim historykiem, że podobny wypadek był raczej niemożliwy, gdyż jednostki morskie ze względu na pływaczny omijały klify dużym łukiem. Natomiast Warneńczyk miał wykorzystać fakt, że został oficjalnie pochowany, i zaszył się jako pustelnik gdzieś na Półwyspie Iberyjskim. Tam jednak został ponownie rozpoznany z powodu nieszczęsnych sześciu palców u stóp. Oczywiście nie zgadzał się wiek,

ale przecież można było uznać, że życie pustelnika raczej go nie rozpieszczęło.

Kolumb Jagiellonem?

Po sfigowanej śmierci Henryka Niemca przyszedł czas na jego syna, Zygmunta Henryka, który miał zostać przygnieciony masztami na statku i pochowany na morzu (co za pechowa rodzina!). W rzeczywistości ten Zygmunt Henryk miał być Krzysztofem Kolumbem, który ze zmienioną tożsamością rozpoczął nowe życie. Dowodem jego królewskiego pochodzenia miało być pierwotne imię, bardzo popularne wśród potomków Jagiełły.

Pochodzenie od Warneńczyka miało potwierdzać nietypowy jak na południowca wygląd. Był bowiem rudawym blondynem o niebieskich oczach i jasnej karnacji. Tylko że Warneńczyk był brunetem, podobnie jak jego przodkowie. Natomiast można przyznać Rosie rację, że na portretach Henryka Niemca i Krzysztofa Kolumba można zauważyć niezwykle podobieństwo, tak że faktycznie prezentują się jak ojciec i syn. Można tylko żałować, że nie zachował się żaden wizerunek Warneńczyka powstały za życia króla.

Chociaż należy zgodzić się z portugalskim historykiem, że odkrywca Ameryki na pewno nie był synem tkacza z Genui, ale stwarzanie na siłę jego koligacji z Jagiellonami wydaje się absurdem. Tak samo jak nonsensem jest twierdzenie, że podobno wszyscy na europejskich dworach wiedzieli o pochodzeniu Kolumba, ale solidarnie milczeli. Tylko dlaczego? Obawiali się templariuszy? Czy też jakiejś innej średnio-wiecznej mafii?

Poza tym portugalski historyk sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, że tron w Krakowie nie był dziedziczny. Owszem, wybierano przedstawicieli tej samej rodziny, ale tylko dlatego, że lepszych kandydatów nie

było. Podobna zresztą sytuacja panowała na Węgrzech, gdzie co chwilę zmieniali się rodziny panujące. W obu państwach uznanie króla za zmarłego automatycznie powodowało elekcję i nowy władca obejmował rządy.

Humorystyczna jest też dokładna analiza zachowanych relacji o potomkach Kolumba pod kątem sygnałów mających świadczyć o ich pochodzeniu od polskiego króla. A to jakiś ptak (prawdopodobnie kogut), w którym Rosa widział orła, a to iniciał S wpisany w jakiś znak (od Sigismondo). Przecież podobno chciano zachować ścisłą tajemnicę, by – broń Boże – nikomu z potomków admirała nie groził tron na Wawelu, ale jednocześnie usiłowano pokazać światu prawdę o korzeniach rodu.

Moim zdaniem portugalski historyk wykonał naprawdę benedyktyńską pracę (podobno zajęła mu 21 lat!), by udowodnić, że Krzysztof Kolumb nie pochodził z nizin społecznych w Genui. W pełni też uzasadniona wydaje się jego teoria, że pojawił się na hiszpańskim dworze jako wysłannik władców Portugalii. Nie ma jednak żadnego sensownego dowodu, by twierdzić, że był synem Władysława

Warneńczyka, i nic zatem dziwnego, że Paweł Sanguszko, ostatni potomek rodu wywodzącego się od stryja króla, odmówił badań genetycznych. Później Rosa chciał pobrać DNA z sarkofagu jego ojca, Władysława Jagiełły, by porównać je z próbkami pochodzącymi ze szczątków Kolumba lub jego synów. Nie uzyskał na to zgody, czemu zresztą trudno się dziwić.

Puste grobowce

W latach 30. ubiegłego wieku wzniesiono w pobliżu pola bitwy pod Warną pomnik-mauzoleum polskiego króla. Powstał on w wyniku przebudowy trzech trackich kurhanów grobowych, a wewnątrz zlokalizowano niewielkie muzeum. Znajduje się tam również symboliczny grób króla Polski i Węgier.

Nie jest to jedyne tego rodzaju miejsce pochówku Jagiellona. Drugie znajduje się w katedrze wawelskiej, gdzie w 1906 r. odsłonięto nagrobek na jego cześć. Powstał w stylu historyzującym, podkreślającym cnoty Warneńczyka jako rycerza i krzyżowca, co miało być

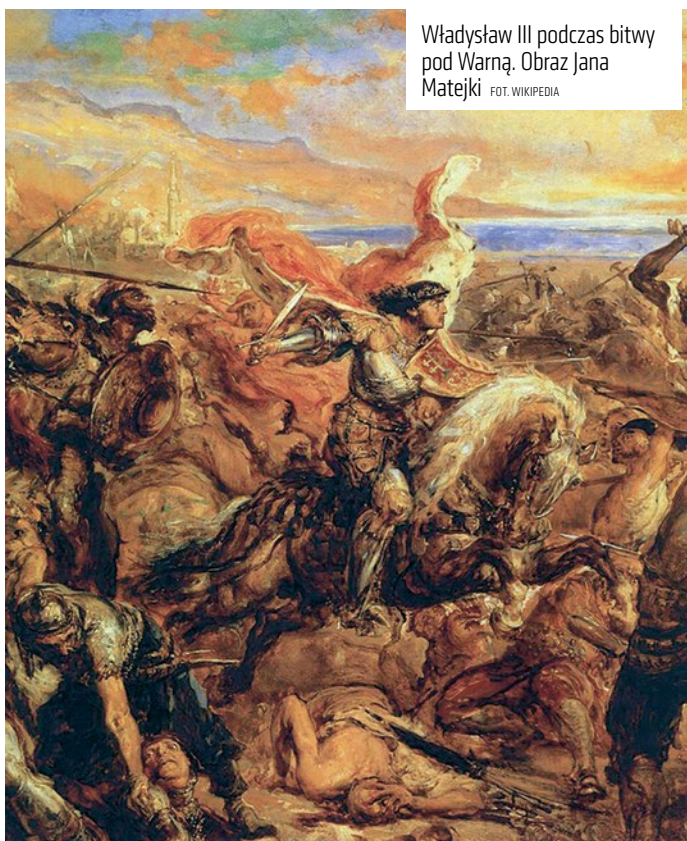
elementem bohaterskiej legendy młodego króla.

Z czasem pojawiły się jednak informacje, że figura władcy na nagrobku miała czasami oddychać, a nawet cicho pojękiwać. Był to rzekomo dowód, że dusza monarchy wciąż pokutowała za wiarołomne złamanie zaprzysiężonego traktatu z sułtanem. Najwyraźniej śmierć w walce z poganami nie wydała się twórcom legendy wystarczającym odkupieniem. Inna sprawa, że Wawel od stuleci jest miejscem, gdzie dzieją się sprawy, których czasami nie można jednoznacznie wyjaśnić...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Za: T. Rajek, „XIII tajemnic historii”, Warszawa 1989; M. da Silva Rosa, „Kolumb. Historia nieznaną”, przekład Marta Szafrńska-Brandt, Poznań 2012.

Fragment książki „Z historycznego archiwum X. Tajemnicze zgony znanych Polaków” (Frona)



Władysław III podczas bitwy pod Warną. Obraz Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA



1995 r.

Walki etniczne podczas rozpadu Jugosławii

Trumny ofiar masakry w Srebrenicy

FOT. MARKO DJURICA/REUTERS/FORUM



Holenderski wstyd: Srebrenica



Jakub Ostromięcki

/ Na oczach holenderskich żołnierzy ONZ Serbowie mordowali Bośniaków i gwałcili Bośniaczki

– Napijesz się Pan piwa?

– Chętnie, ale wie Pan, sam nie pozwalam moim ludziom pić, więc... to byłby oczywiście zaszczyt... ale nie mogę.

– Czyli pijesz Pan.

To nie było spotkanie dwóch zawodowych wojskowych, ale negocjacje herszta bandy złodziei z intelektualistą pragnącym odzyskać skradziony namiot. Scena

ta rozgrywała się wieczorem 11 lipca 1995 r. w Bratunacu w Republice Bośni i Hercegowiny w hotelu Fontana. Pułkownik Karremans, dowódca holenderskiego batalionu ONZ, przybył właśnie na rozmowy z Ratko Mladićem. Radzono na temat losów ludności cywilnej zamkniętej w enklawie wokół Srebrenicy. Piwa w hotelu nie było, zaserwowano więc wino i wodę mineralną. Owe negocjacje stały się w oczach świata symbolem hańby i nieudolności ONZ, a sam Karremans uosobieniem europejskiego fajtlapy w mundurze.

Ratko Mladić w jednej sekundzie potrafił zrzucić maskę jowialnego wuja i odsłonić swoją prawdziwą twarz: „Tylko ma mi tu nie latać żaden wasz samolot. Chyba chcesz Pan zobaczyć jeszcze swoje dzieci?”. Karremans, choć dzieci nie miał, natychmiast przytaknął. Kilkudziesięciu Holendrów pozostawało wciąż zakładnikami u okolicznych bośniackich Serbów. Karremans zamienił z nimi kilka słów.

Ledwo odjechał do bazy w Potoczarach, a Mladić kazał na oczach zakładników zarząć świnię, aby przypadkiem nie poculi się zbyt pewnie. Wysłanników ONZ zapewniał, że bośniackim cywilom nic się nie stanie, a w tym samym momencie jednemu ze swoich siepaczy wydawał już straszny rozkaz, chwytając za element wojskowego oporządkania: „Wszystkich powyżej tego pasa, rozumiesz!”.

„To zemsta na Turkach” – mawiał potem rzeźnik Srebrenicy mediom. Przeciętyny Serb ze wschodniej Bośni nie potrzebował średniowiecznych resentymentów. Na początku 1993 r. we wsiach Skelani i Krawica leżących niedaleko Srebrenicy bojownicy muzułmańscy wymordowali kilkudziesięciu serbskich cywilów. Teraz w ramach zemsty Serbowie tłumaczyli sobie, że muszą pozbyć się całej męskiej populacji okolicznych muzułmanów w odwecie za Skelani i Krawicę. O tym, że w innych rejonach Bośni sami byli inicjatorami rzezi, pamiętać nie chcieli.



Ludobójstwo w Srebrenicy dokonało się na oczach żołnierzy holenderskiego batalionu, zwanego – od numeru kolejnej zmiany żołnierzy – w skrócie Dutchbat III. Czy była to wina nieudolności i tchórzostwa Holendrów czy może całego ONZ?

W kwietniu 1993 r. Rada Bezpieczeństwa ONZ, chcąc uchronić cywilów od straszliwych skutków wojny domowej, wydała słynną rezolucję 819. Dokument zakładał, że głównym sprawcą cierpień ludności cywilnej Bośni i Hercegowiny są wojska bośniackich Serbów. Biorąc pod uwagę liczbę pomordowanych, jest to prawda, ale pamiętać należy, że Serbowie, Chorwaci i Bośniacy weszli niemal jednocześnie na ścieżkę zbrodni.

Rezolucja mówiła, że Srebrenica i otaczające ją tereny stają się strefą bezpieczeństwa. Wojska bośniackich Serbów musiały trzymać się od niej z daleka. Srebrenica stała się strefą „wolną od działań zbrojnych i aktów wrogości”, toteż przebywający w jej obrębie żołnierze bośniaccy powinni oddać broń do depozytów ONZ. Za wykonanie rezolucji odpowiadali żołnierze błękitnych hełmów.

Dutchbat III

Holenderski kontyngent ONZ wystawiła 11. Brygada Aeromobilna. Każda zmiana, w sile batalionu, liczyła ok. 500 żołnierzy. Wbrew obiegowym opiniom nie byli to poborowi, ale zawodowcy. Tak jak wszyscy żołnierze kontyngentów ONZ skrupowani byli Zasadami Użycia Siły (Rules of Engagement). Holendrzy mogli strzelać do przeciwnika tylko w samoobronie, gdyby zostali bezpośrednio zaatakowani. Do dyspozycji mieli broń piechoty i transportery opancerzone z wyrzutniami przeciwpancernymi TOW. Bośniaccy Serbowie dysponowali dla odmiany ciężką artylerią i czołgami. Aby zniwelować dysproporcję, dowództwo misji ONZ zapewniło Karremansa, że w razie niebezpieczeństwa może liczyć na samoloty NATO.

Morale Dutchbatu III od wiosny 1995 r. zaczęło gwałtownie pikować. Serbowie odcięli drogi zaopatrzenia dla Sre-

brenicy. Nie przepuszczali holenderskich żołnierzy wracających z urlopu i z ponad 500 żołnierzy zrobiło się w ciągu kilku miesięcy ok. 300. Wodę i żywność trzeba było racjonować. Była to sytuacja i tak lepsza od tej, w której znaleźli się przymierający głodem cywile. Bardzo złe wrażenie na żołnierzach wywarła wizyta gen. Warclichta, który zażyczył sobie ciepłego prysznica i sutego obiadu, podczas gdy zwykłemu żołnierzowi przysługiwał jeden prysznic na tydzień, i to zbiorowy, po którym zadowalał się ogrzewaną konserwą z racji osobistych.

Holendrom mówiono na szkoleniach, że strefa bezpieczeństwa, której mają strzec, będzie azylem dla cywilów. Okazało się jednak, że nikt w Bośni nie zamierza przestrzegać ONZ-owskiej rezolucji, łącznie z Bośniakami, którzy wykorzystywali enklawę Srebrenicy do kontrataków na Serbów zakładając, że błękitne hełmy przyjechały po to, by walczyć po ich stronie. Przeciętny holenderski żołnierz miał świadomość, że uczestniczy w bezsensownej misji. W czerwcu 1995 r. było wiadomo, że

prostyтуują, by zdobyć środki do życia. Porucznik Groen opisywał: „Przyjechałeś tu, myśląc, że będziesz ratował ludzi. Po czym okazuje się, że mużulmanie myszkują w twoich rzeczach osobistych, że z bazy znikają sprzęt i kanistry z paliwem, że zatrudnione praczki przerzucają twoje spodnie przez płot, żeby któryś z ich krewnych je sobie wzięł. Zdarzenia takie powodują, że zaczynasz na ten konflikt patrzeć z innej perspektywy”. Wzajemną niechęć zwiększył incydent w jednym z tartaków leżących poza strefą bezpieczeństwa na terytorium serbskim, skąd mużulmanie kradli drewno. Jeden z holenderskich oficerów nie wytrzymał i pobił złodzieja.

Rychło kilku żołnierzy holenderskich zaczęło stroić sobie obrzydliwe żarty, zającąc się ostentacyjnie batonikami na oczach dzieci czy drażniąc Bośniaków wykonywaniem serbskiego gestu zwycięstwa. Jeden z żołnierzy przemycił do bazy koszulkę z kreskówką przedstawiającą żebrzące bośniackie dziecko i żołnierza ONZ, który odpowiada: „Nie ma!”. Niesławna grafika na murze bazy



Holenderscy żołnierze ONZ w Srebrenicy

FOT. MINISTERSTWO OBRONY HOLANDII

Bośniacy nie zamierzają oddać broni do ONZ-owskich depozytów, co było jednym z elementów realizacji rezolucji 819.

Holenderscy żołnierze po przylocie do Bośni doznali szoku kulturowego. Zobaczyli bowiem, jak w europejskim państwie głodujące wieśniaki podchodzą pod wojskowe posterunki i grzebią w śmieciach w poszukiwaniu resztek jedzenia, umorusani chłopcy wystają pod bramami bazy w oczekiwaniu na słodycze, zaś ich nastoletnie siostry się

w Potoczarach głoszą: „Bez zębów? Z wąsami? Cuchnie jak gówno? Bośniacka dziewczyna” była zwińczeniem owej frustracji. Były to zachowania skrajne, przejawiała je tylko część żołnierzy, ale większość batalionu po kilku raptem miesiącach miała dosyć „tego kraju”.

Inni żołnierze, zwłaszcza ci stacjonujący dłużej w punktach obserwacyjnych, wchodzili w bliskie relacje z miejscowymi wieśniakami, oferując często pomoc medyczną. Takie fraternizowanie się

■ z kolei było zakazane przez holenderskie MON, ponieważ „mogło prowadzić do faworyzowania jednej ze stron”.

6 lipca 1995 r. Serbowie w ramach operacji „Krivaja 95” rozpoczęli szturm Srebrenicy. Atakowali od południa, zmuszając cywilów do ucieczki jedyną drogą do leżących 10 km na północ Potoczar, gdzie znajdowała się baza wojsk ONZ.

„Dawaj broń!”

Górowali nad Bośniakami pod względem wyposażenia i wyszkolenia. Wiedzieli też, że zadawanie strat Holendrom może ściągnąć na atakujących samoloty NATO. Woleli brać Holendrów jako zakładników. Jak to jednak możliwe, że żołnierze elitarniej jednostki dawali się pojmować jak amatorzy, bez jednego wystrzału?

Są dwie przyczyny takiego kuriozum. Otóż Holendrzy nie wiedzieli zwyczajnie, jak się zachować. Zasady Użycia Siły mówiły o odparciu wrogiego ataku skierowanego bezpośrednio na nich, nie wyjaśniały jednak, co zrobić w sytuacji, gdy posterunek ONZ zostaje otoczony przez przeważające siły przeciwnika, który najwyczejniej w świecie żąda wydania broni i mundurów. „Serbowie podkradali się do ciebie znieacka, gdy zajmowałeś się uchodźcami. Przytykali ci kałasznikowa do brzucha i szeptali: „Oddawaj kamizelkę” – wspominał jeden z żołnierzy. Członkowie organizacji Lekarzy bez Granic relacjonowali, że Serbowie niejednokrotnie puszczali Holendrów boso i w samych majtkach, przywłaszczając sobie dobrej jakości mundury i buty. Zdobyli też holenderski transporter wraz załogą – wyczekali chwili, gdy jego operator wyszedł z maszyny za potrzebą. Widząc, że Dutchbat nie kwapi się do walki, żołnierze bośniaccy zaczęli grozić Holendrom bronią i ustawiać zasieki oraz barykady na drogach cofających się transporterów i celując do nich z granatników przeciwpancernych.

8 lipca doszło do tragedii. Jeden z Bośniaków, sfrustrowany wycofywaniem się Holendrów, rzucił granatem w transporter. Odłamki trafiły najwyższego z żołnierzy, który chował się za jego pancernem. Była to jedyna ofiara śmiertelna Dutchbatu III, jak na ironię z rąk obroń-



Żołnierze batalionu holenderskiego sił ONZ podczas Dnia Weterana, 2014 r. FOT. WIKIPEDIA

ców Srebrenicy. Dowództwo batalionu przekazało wtedy jasno: „Jeśli macie do wyboru śmierć z rąk armii bośniackiej lub bycie zakładnikiem u Serbów, to wybierzcie to drugie”. Karremans liczył już jedynie na wsparcie lotnicze.

Bareja na straszno. Tak można w skrócie opisać udzielanie wsparcia lotniczego otoczonemu Dutchbatowi. 11 lipca rano zastępca Karremansa poprosił drogą radiową o wsparcie lotnicze, podając pozycję artylerii serbskiej na północ od Potoczar i czołgów na południe od Srebrenicy. W dowództwie sektora wojsk ONZ w Tuzli przełączano go od kapitana, przez majora do szefa sekcji tylko po to, aby poinformować, że „żądanie wsparcia lotniczego ma być przesłane faksem na specjalnym formularzu”. Wściekli Holendrzy wypełnili świstek, jednak oficer z Tuzli, tym razem Pakistańczyk, stwierdził, że w formularzu wypełniono jedynie 10 rubryk, a powinno być 15, i że procedur trzeba się trzymać. Wysłano więc drugi faks, a tymczasem Serbowie szykowali się już do egzekucji na zdobytych terenach wokół miasta. Jeden z Holendrów wzięty do niewoli przez Serbów 8 lipca słyszał w okolicy swojego punktu obserwacyjnego krzyki kobiet. Zapytał Serba, co z nimi zrobić. Tamten rzekł: „Najpierw zgwałcimy, potem poderżniemy gardła”.

Mijały godziny. Pierwsze bomby z samolotów F-16 spadły na pozycje serbskie o godz. 14.42. Ponad cztery godziny od żądania. Zniszczone zostały jeden serbski czołg, działo oraz bunkier. Zawinił holenderski oficer odpowiedzialny za naprowadzanie (Forward Air Controller): „Nie potrzebujemy więcej wsparcia”. Jego sygnał nie był podyktowany głupotą. Mładić zagroził bowiem zamordowaniem zakładników w Bratunacu. Po południu triumfujący Serb wjechał zatem do Srebrenicy, a wieczorem tego samego dnia besztął już Karremansa w hotelu Fontana.

W tym samym momencie ponad 20 tys. muzułmańskich cywilów uciekło do Potoczar i ukryło się w holenderskiej bazie i okolicznych fabrykach, bez jedzenia, wody, lekarstw. Podczas ewakuacji kompania B Dutchbatu robiła, co mogła,

by cywile wydostali się ze Srebrenicy. Ci, którzy starali się przedrzeć do Tuzli, byli masakrowani przez Serbów w zasadzkach lub w wyniku ostrzału artyleryjskiego.

Niemi świadkowie

Tymczasem w bazie ONZ w Potoczarach oraz w pobliskiej fabryce rozpoczął się ostatni, najbardziej ponury akt dramatu. 12 lipca na oczach żołnierzy Dutchbatu Serbowie zaczęli oddzielać mężczyzn od kobiet i dzieci. „Mężczyźni muszą być przesłuchani w związku ze zbrodniami, jakie popełniła armia Bośni i Hercegowiny” – zapewniał Mładić. Jego celem nie były jednak żadne procesy sądowe.

Miesiącami i latami żołnierze holenderscy milczeli na temat tego, czego byli świadkami. Później przyznawali, że często widzieli, jak Serbowie wyprowadzają mężczyzn do okolicznych opuszczonych zagrod i baraków. Słyszał było strzały, po czym zza budynków wychodzili już tylko serbscy żołnierze lub członkowie oddziałów paramilitarnych – Wilków Driny, Białych Orłów czy niesławnych Tygrysów Arkana. Często jednak zamiast kuli używano noża. Wiele przesłuchiwanych potem Bośniaczek mówiło, że Serbowie podrzynali gardła ich ojcom, mężom i synom.

Żołnierze byli również świadkami gwałtów – wiadomo, że przynajmniej jeden udaremnił. „Batalion był kompletnie bierny” – wspominał por. Rutten. Jeden z żołnierzy mówił potem wprost: „Nie dałem znać, że to widziałem, bo bałem się armii serbskiej”. Rzeko, w wyniku których zamordowano ok. 8 tys. ludzi, trwały kilka dni. Matki, siostry i żony zamordowanych tłoczone w autobusach dotarły w pobliże muzułmańskiej Tuzli. 16 lipca Mładić łaskawie pozwolił Holendrom opuścić Potoczary. Oczywiście bez pojazdów. W 2019 r. Holenderski Sąd Najwyższy orzekł, że Holandia ponosi częściową odpowiedzialność za ową zbrodnię, ale dodał, że żołnierze Dutchbatu zostali porzuceni przez ONZ.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał m.in. dzięki rozmowie z dr Marzeną Żakowską z Akademii Sztuki Wojennej.

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
JACEK KOMUDA „WIZNA”**

TRAGICZNY WRZESIEŃ 1939 ROKU.

Niemiecki korpus pancerny generała Heinza Guderiana uderza z całą mocą, usiłując zamknąć kleszcze wokół wycofujących się spod Warszawy polskich armii. Zakładano, że jego sukces przyniesie klęskę stronie polskiej po zaledwie dziesięciu dniach oporu. Jednak na drodze pancernych zagonów staje polska załoga odcinka Wizna. Dwie kompanie piechoty ukryte w kilku betonowych schronach nad Narwią wsparte sześcioma działami. Mniej niż 700 żołnierzy przeciwko 40 tysiącom.

40 do 1.

Tak rozpoczyna się desperacka walka kapitana Władysława Raginisa. Bój do ostatniej krwi, naboju i samobójczej śmierci dowódcy, który przysiągł, że żywy swej pozycji nie opuści. Dziś epizod ten znany jest jako legendarna obrona Wizny.

96 zł

oszczędność 68 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

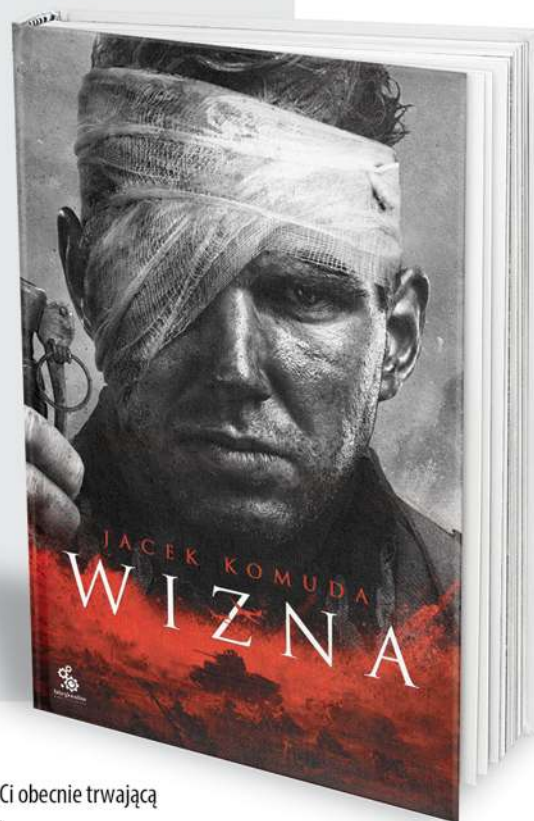
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.



Świadek / Mówi córka uwięzionego przez gestapo małżeństwa



rozmawia Piotr Włoczyk

Urodziłam się na Pawiaku

Niemcy bez zmruczenia oka mordowali ciężarne kobiety, chociaż narodziny dziecka były jednak swego rodzaju tarczą dla matki...

PIOTR WŁOCZYK: Przez lata w pani dokumentach widniała informacja, że urodziła się pani w Sierakowicach Prawych pod Skierniewicami...

ANNA CZUBATKA: Ale już od 20 lat jestem oficjalnie urodzona w Warszawie, na Pawiaku. Zmieniłam to, kiedy zaczęłam się starać o przyznanie uprawnień kombatanckich. Mama chciała, żeby w oficjalnych dokumentach nie było Warszawy, tylko właśnie Sierakowice. Chciała się odciąć od tamtego okresu. I taką wersję zgodnie potwierdzili świadkowie, a wszystko „przyklepał” ksiądz proboszcz, który oczywiście doskonale wiedział, jaka była prawda.

Również na Pawiaku została pani ochrzczona.

Tak, ksiądz nie miał tam wstępu, więc był to „chrzest z wody”, co Kościół katolicki przewiduje w wyjątkowych okolicznościach. Mam z tego dnia piękną pamiątkę – obrazek z Matką Boską Cy-

gańską z moim imieniem i datą dzienną tego wydarzenia.

Pani mama, Marianna Tartanus, trafiła na Pawiak w czasie tzw. czarnej nocy. Co się wówczas działo w powiecie łowickim?

Nocą z 12 na 13 grudnia 1943 r. Niemcy przeprowadzili obławę na żołnierzy AK. Gestapo razem z dwoma konfidentami krążyło po tym terenie i wyciągało z domów członków polskiego podziemia. Ci konfidenti to Marian P. i Franciszek K. Zostali oni aresztowani prawdopodobnie za handel i postanowili iść na współpracę z Niemcami, wydając im m.in. mojego ojca, choć u mnie w rodzinie niemal wszyscy dorośli mężczyźni byli zaangażowani w konspirację.

Gestapowcy najpierw pojechali do Bełchowa, do domu mojej babci ze strony ojca. Zabrali stamtąd stryja Franciszka. Mój dziadek Władysław zdołał uciec.

Następnie Niemcy przyjechali do Sierakowic Prawych, gdzie moi rodzice mieszkali od pół roku, odkąd wzięli ślub. Był to dom moich dziadków ze strony mamy. Mój ojciec Mieczysław wiedział już od jakiegoś czasu, że Niemcy depczą po piętach bełchowskiej Armii Krajowej, i zaczął się ukrywać na terenie gospodarstwa. Przygotował dla siebie zmyślną skrytkę w oborze. Była to niewielka pustka między ścianami. Ojciec spędzał tam noce. Kilka godzin przed najściem gestapowców mama odprowadziła go do obory, pożegnała się na noc i wróciła do domu.

Niemcy domagali się, by domownicy wydali ojca. Bili mamę, złamali jej palce, ale ona oczywiście nie zdradziła kryjówki męża.

Widzieli, że jest w stanie błogosławionym?

To była połowa ciąży, więc jej stan mógł się jeszcze nie rzucać w oczy, ale



Anna Czubatka wraz ze swoją mamą tuż po wyjściu z Pawiaka

FOT. ARCHIWUM ANNY CZUBATKI

Musimy w tym miejscu wspomnieć o Helenie Danielewicz.

To była nasza dobrodziejka, członkini organizacji „Patronat”, czyli Towarzystwa Opieki nad Więźniami. Pani Danielewicz przynosiła do celi matek z noworodkami plakaty z krasnalami i muchomorami, żeby dzieci widziały coś wesołego, a nie tylko te straszne bure ściany. Pan Bóg jeden tylko wie, ile ona cygar i koniaków dała Niemcom, żeby ratować kobiety z Pawiaka i ich dzieci.

Co pojawienie się dziecka zmieniało w sytuacji więźniarki Pawiaka?

Niemcy bez zmruczenia oka mordowali ciężarne kobiety, ale jednak narodziny dziecka były swego rodzaju tarczą dla matki. Wielki udział w tym mieli lekarze więzieni. Używali oni argumentu, że nowo narodzone dziecko koniecznie potrzebuje matki. Patronat starał się organizować w celi dla matek coś w rodzaju azylu, często uciekając się do przekupywania niemieckich funkcjonariuszy, by choć odrobinę po ludzku traktowali oni więźniarki.

Co wtedy, zimą i wiosną 1944 r., działo się z pani ojcem?

Ukrywał się. Ponieważ prężnie działająca przed 12 grudnia 1943 r. bełchowska AK została właściwie rozbita, tata przeniósł się do placówki AK w Chlebowie niedaleko Lipiec Reymontowskich. Raz na jakiś czas pojawiał się jednak u teściowej. Podczas odwiedzin 5 maja wpadł w Bełchowie na swojego dobrego znajomego. Potem okazało się, że ten mężczyzna najprawdopodobniej donosił Niemcom.

Kim był ten człowiek?

Nie jesteśmy w stu procentach pewni, że to właśnie on wydał mojego ojca, więc nie będę podawała jego imienia i nazwiska. Tyle lat już minęło, sama jestem już u kresu życia, więc zostawiam to Bogu. Żał miałam tylko o to, że nigdy nie zaznałam, co to znaczy mieć ojca. Zawsze zazdrościłam innym dzieciom, że mają swoich tatusiów.

Po powrocie do domu ojciec powiedział babci, że wpadł przypadkiem na tego człowieka. Babcia, jak mi potem

przecież dziecko pod sercem w niczym im nie przeszkadzało. Gestapo nie miało problemu z dokonywaniem egzekucji na kobietach w zaawansowanej ciąży. Niemcy nie zamierzali wyjechać z gospodarstwa dziadków z pustymi rękoma, więc skoro nie udało im się złapać mojego ojca, to zabrali mamę. Wsadzili ją do „budy”, w której siedzieli sami mężczyźni. W środku był już m.in. jej szwagier Franciszek, który został aresztowany w Bełchowie. Wszystkich tych więźniów Niemcy rozstrzelali tydzień później. Tylko mama przeżyła.

Następnego dnia, 13 grudnia 1943 r., pani mama była już na Pawiaku.

Mama trafiła do tego potwornego więzienia z krótkim przystankiem w siedzibie gestapo w Łowiczu. Niemcy przesłuchiwali ją na Pawiaku tylko dwa razy i nie bili już jej. Mama początkowo nie zdawała sobie sprawy z powagi

sytuacji, myślała, że szybko wyjdzie na wolność, skoro ona sama nie była przecież członkiem konspiracji, a poza tym była w zaawansowanej ciąży. Dosić szybko zorientowała się jednak, że może się z nią stać dosłownie wszystko. Słyszała krzyki katowanych, widziała, że ludzie znikają i nie wracają do cel, docierały do niej przerażające informacje na temat losu więźniów Pawiaka. Mama cały czas się modliła, licząc, że Bóg nas ocali.

Aż przyszedł 20 kwietnia 1944 r.

Koleżanki mamy z 40-osobowej celi na Serbii – żeńskiej części Pawiaka – zaczęły walić w drzwi, krzycząc do wachmajsterki, że jedna z nich właśnie zaczęła rodzić. Ja jednak najwyraźniej nie śpieszyłam się z przyjściem na świat w takich okolicznościach i całą noc męczyłam mamę.

opowiadała, bardzo się tym zmartwiła i powiedziała: „Oj, Mietek, nie podoba mi się, że widzisz się z ludźmi”.

Niemcy przyszedli ok. 4 nad ranem. Kilka lat temu rozmawiałam z 90-letnią sąsiadką babci, która powiedziała mi, że widziała, jak Niemcy wyprowadzają mojego ojca.

Gmach Serbii – oddziału kobiecego więzienia Pawiak
FOT. WIKIPEDIA



W ten sposób 23-letni Mieczysław Tartanus trafił tam, gdzie gestapo więziło jego żonę...

Rodzice byli w jednym więzieniu, choć oczywiście przetrzymywano ich w różnych częściach. Ojciec wiedział, że mama jest tam więziona, ale mama była cały czas przekonana, że po wyjściu spotka się z mężem. Z ich wspólnym pobytem na Pawiaku wiąza się dwie bardzo wzruszające dla mnie historie.

Któregoś dnia mama szła podwórzem Serbii na męski Pawiak po jedzenie, ponieważ to tam mieściła się więzienna kuchnia. W pewnym momencie usłyszała, jak ktoś krzyczy: „Marysiunia!”. Nie wolno było się rozglądać, mama szła pod eskortą, a poza tym myślała, że chodzi o strażniczkę Marię, która miała na Pawiaku niemieckiego kochanka. Potem jednak mama doszła do przekonania, że to był głos jej męża.

Kolejna historia zdarzyła się krótko po moich narodzinach, najprawdopodobniej był to już czerwiec. Koleżanki mamy z celi dla matek z dziećmi opowiedziały jej później, że w pewnym momencie na salę weszło kilku więźniów robotników z brygady hydraulicznej. Jeden z nich rozglądał się po sali i patrzył na dzieci. Traf chciał, że mama zeszła akurat na dół, aby uprać moje ciuszki. Wychodząc z sali, jeden z mężczyzn powiedział do kobiet: „Ukłony dla matki Tartanus”. To zdanie nie pozostawiało wątpliwości – to był mój ojciec. Czyli najprawdopodobniej widział mnie. Wiedział, że jestem już na świecie, i starał się jakoś do mnie dotrzeć. Nie wiem, czy przy moim łóżeczku była karteczka, ale patrząc na wszystkie dzieci, na pewno mnie widział.

W lipcu Niemcy pośpiesznie ewakuowali Pawiak. Jak ten okres wspominała pani mama?

Lipiec 1944 r. był koszmarny. Do ostatniego dnia matki nie wiedziały, czy zostaną rozstrzelane, wywiezione do obo-

zu czy zwolnione. Mama opowiadała, że z dziedzinka dochodził cały czas harmider. Słychać było krzyki i tupot. Jako dziecko z niedowierzaniem słuchałam dramatycznych wspomnień mamy: „Każdego dnia podczas kąpeli zalewałam się łzami, myśląc, że już ostatni raz trzymam cię w ramionach, że za chwilę nas rozdzieli”.

Ostatniego dnia lipca wciąż nie było wiadomo, co Niemcy zrobią z matkami i ich niemowlakami. W końcu na dziedziniec Serbii wjechał wóz-platforma. Niemcy kazali się matkom pakować. Co to oznaczało? Wywózkę na śmierć czy jednak uwolnienie? Wraz z mamą na sali dla matek z dziećmi przebywała wówczas Maria Rutkiewicz, działaczka komunistyczna, która urodziła na Pawiaku bliźniaki. Mama wspominała, że pani Rutkiewicz dostała wtedy dla swoich dzieci wózek. Dwanaście kobiet z niemowlakami wsiadło na wóz, lekarze szli obok. Wokół fruwały płonące dokumenty – Niemcy próbowali zatrzeć ślady swojej działalności na Pawiaku.

Wóz zatrzymał się niedaleko od murów Pawiaka przed sklepikiem. W środku było mnóstwo kobiet, które tylko czekały na ten transport więźniarek. To Patronat zorganizował tę pomoc. Mama dostała 100 zł i mogła wziąć w sklepiku, co tylko chciała. Oczywiście wybrała mleko w proszku.

Następnego dnia miało wybuchnąć Powstanie Warszawskie...

Maria Rutkiewicz namawiała mamę, żeby została u niej w domu na noc. Mama jednak podziękowała za tę propozycję i powiedziała, że z przyjemnością przyjedzie w odwiedziny do Warszawy za kilka tygodni, ale na razie pędzi do domu, do Sierakowic. I tak zrobiła.

Tymczasem dzień wcześniej na stacji kolejowej w Skierniewicach Niemcy spalili wagon pełen więźniów Pawiaka wysłanych z Warszawy do obozu w Gross-Ro-

sen. Świadkowie mówili o płaczu dzieci... Wieści o tej tragedii szybko dotarły do Sierakowic i moja babcia była przekonana, że mama i ja zginęłyśmy w tamtym wagonie. Jakże więc musiała się ucieszyć, gdy zobaczyła, jak moja mama wchodzi z zawniętym na rękach przez furtkę gospodarstwa!

Pani ojciec trafił do obozu Gross-Rosen, jednego z najcięższych w całej niemieckiej machinie zagłady.

Tata był przetrzymywany na Pawiaku do 1 lipca. Wywieźli go stamtąd prosto do obozu. Jednak pociąg przejeżdżał przez stację w Skierniewicach, czyli po sąsiedzku z rodzinnymi Sierakowicami Prawymi. Ojciec wyrzucił na stacji kawałek papieru ze słowami:

Warszawa, 1 lipca.

Kochana Mamusiu, wyjeżdżam do obozu, czuję się bardzo dobrze. Znalazę proszę o łaskawe doręczenie.

Dalej był podany adres. Ktoś życzliwy przekazał wiadomość tam, gdzie trzeba. Ta karteczka to dla mnie istna relikwia. Ślad po moim ojcu urywa się w styczniu 1945 r., gdy Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu. Najprawdopodobniej tata zginął w czasie marszu śmierci.

Pani mama nie wyszła ponownie za mąż.

Nie mogła zrobić inaczej, bo to była jedna miłość na całe życie.

Pani mama szczęśliwie nie posłuchała nalegań Marii Rutkiewicz i wróciła do domu tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego, ale większość zwolnionych wówczas kobiet z Pawiaka została w stolicy...

Trudno to sobie wyobrazić – po Pawiaku trafić w piekło powstania z małym dzieckiem na ręku. Jedną z tych kobiet, pani Felicja Bernacka, była pędzona wraz z dzieckiem przed niemieckimi czołgami jako żywa tarcza. Trzy koleżanki mamy z Pawiaka, w tym pani Bernacka, cudem przetrwały trzy pierwsze tygodnie powstania i trafiły do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd wyjechały do Sierakowic, do domu mamy, gdzie zatrzymały się na kilka miesięcy. Wspólna niedola matek więźniarek z Pawiaka bardzo je do siebie zbliżyła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

POLITYCZNE



PODSUMOWANIE

TYGODNIA

sobota
10:00

zaprasza **Adrian Stankowski**

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 6ab728377c



Arkadiusz Karbowski

/ Wbrew oskarżeniom podczas najgorszych dni rzezi – od 5 do 7 sierpnia 1944 r. – muzułmańskich esesmanów jeszcze nie było na Woli...

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w środowiskach emigrantów pochodzących z Zakaukazia czy Azji Środkowej wywołał nadzieję na możliwość odbudowania państw narodowych na gruzach bolszewickiego imperium. Jednym z działaczy, który postanowił wykorzystać nadarzającą się okazję i podjąć w tym celu współpracę z Niemcami, był pochodzący z arystokratycznego rodu, były prezydent Tymczasowego Rządu Autonomicznego Turkiestanu i jednocześnie działacz ruchu prometejskiego Mustafa Czokaj. Zanim do niej doszło, 22 czerwca 1941 r., a więc w dniu inwazji III Rzeszy na ZSRS, Czokaj został aresztowany przez gestapo. Dopiero interwencja prof. Gerharda von Mendego, dyrektora jednego z departamentów w Reichsministerium für die besetzten Ostgebiete (Ministerstwa Rzeszy ds. Okupowanych Terytoriów Wschodnich), doprowadziła do zwolnienia go z aresztu.

Możliwości oddziaływania emigracyjnego Turkiestańskiego Zjednoczenia Narodowego, którym Czokaj kierował, na rodaków mieszkających w okupowanych przez bolszewików obszarach Turkiestanu były ze względu na położenie geograficzne bardzo ograniczone. Inaczej rzecz wyglądała z kilkuset tysięcy rzeszą jeńców sowieckich pochodzących z republik środkowoazjatyckich, którzy w pierwszych miesiącach kampanii wschodniej znaleźli się w rękach niemieckich (Azję Środkową zamieszkiwali Turkmeni, Kazachowie, Kirgizi, Tadźycy i Uzbecy). Czokaj wierzył, że można w nich wzbudzić chęć do walki z bolszewikami o niepodległość Turkiestanu. Niestety, jego antybolszewickie inicjaty-



Turkmeni w niemieckiej armii FOT. BUNDESARCHIV BILD

1941–1945 / Żołnierze ze Środkowego Wschodu u boku Niemców

Azjatyccy żołnierze Hitlera

wy nie były zbieżne z poglądami kancle-
rza III Rzeszy, który wprawdzie dostrze-
gał potrzeby skorzystania z pomocy
narodów wschodnich czy azjatyckich
w walce z ZSRS, ale był zdecydowanie
przeciwny koncepcji odbudowania na
okupowanych obszarach ZSRS państw
narodowych.

Führer modyfikował nieco swoje
stanowisko w tej sprawie w związku
z potrzebą utrzymywania dobrych relacji
z Turcją. Władze w Ankarze pretendo-
wały do roli patrona mieszkających na
terenie ZSRS narodów turkofońskich.
W pewnej mierze owa troska była
jednym z powodów wizyty na froncie

wschodnim oraz w Kwa-
terze Głównej Hitlera
tureckich generałów

Alego Fuata Erdena
i Hüseyina Hüsnü

Emira Erkileta.

Ten ostatni był
reprezentantem
turkmeńsko-tatar-
skich środowisk
emigracyjnych. Obaj
dowódcy w trak-
cie prowadzonych
rozmów zapropono-
wali stworzenie po-
litycznej reprezentacji
muzułmanów w postaci
komitetu narodowego oraz
utworzenie turecko-muzuł-
mańskiego legionu.

Ta propozycja zbiegła się z wnioskiem
Ostministerium do Oberkommando
der Wehrmacht (Naczelne Dowództwo
Wehrmachtu) o wydzielenie dla poszcze-
gólnych grup narodowych osobnych
obozów jenieckich. Zgodnie z dyrekty-
wą OKW z 8 października 1941 r. jeńcy
w obozach mieli być grupowani według
kategorii politycznie niepożądanych,
politycznie nieszkodliwych oraz poli-
tycznie użytecznych i godnych zaufania.
Jeńców z trzeciej kategorii można było
wykorzystywać do służby na zapleczu
frontu. Do selekcji jeńców utworzono
specjalne komisje. Do pracy w nich został
zaproszony Czokaj wraz ze swym naj-
bliższym współpracownikiem, Uzbekiem
z pochodzenia, Walim Kajumem Chanem.
Efektem pracy komisji było utworzenie
do końca listopada 15 obozów jenieckich
dla jeńców turkmeńskich i kaukaskich.
Udział w tym przedsięwzięciu zakończył
się dla Czokaja tragicznie. Podczas jednej



Żołnierze Legionu Turkiestańskiego

FOT. BUNDESARCHIV BILD

z wizyt w obozie zaraził się on tyfusem
i wkrótce zmarł.

W mundurach feldgrau

Przywódcą środowisk turkmeńskich został Walim Kajum Chan. W tym samym czasie zaczęto tworzyć z jeń-
ców pierwszą turkmeńską jednostkę
wojskową – czterokompanijnny batalion
podporządkowany 444. Dywizji Zabez-
pieczenia. Jego zadaniem była ochrona
obszarów znajdujących się na zapleczu
Grupy Armii „Południe” stacjonującej
w okolicach ujścia Dniepru i Perekopu.
W grudniu 1941 r. minister ds. obszarów
wschodnich Alfred Rosenberg przedsta-
wił Hitlerowi memorandum zawierające
propozycję utworzenia Legionu Turk-
meńskiego oraz Legionu Kaukaskiego.
Hitler zaakceptował tę koncepcję i w ślad
za tym od 13 stycznia 1942 r. w Legio-
nie rozpoczęło się formowanie dowódz-
twa Legionu Turkmeńsko-Kaukasko
Mahometańskiego. Na jego czele stanął
oficer Abwehry, mjr Andreas Meyer-Ma-
der, weteran pierwszej wojny w latach
30., doradca wojskowy gen. Czang Kaj-
szeka w Chinach. Jednostkę podporząd-
kowano Sztabowi Formowania Legio-
nów Wschodnich (Aufstellungsstab der
Ostlegionen). Kierował nim od września
1942 r. gen. Ralph von Heyendorff.

Już w marcu 1942 r. legion podzie-
lono na dwie jednostki – Legion Turk-

meński przeniesiony do Skierniewic
i Kaukasko-Mahometański formowany
w Jedlni, a przemianowany później na
Legion Azerski. Pierwszym dowodził
wspomniany A. Meyer-Meder, a drugim
mjr Alfred Reidel. W Legionie Turkiestań-
skim mieli służyć – oprócz Turkmenów
– Kirgizi, Tadzycy, Uzbeki i Kazachowie.
Podstawową jednostką legionu był bato-
lion. W składzie każdego z nich znajdo-
wał się 60-osobowy personel niemiecki
(w rzeczywistości liczba Niemców wa-
hała się od 20 do 60). W sumie w trzech
falach rekrutacji na terenie GG powstało
21 batalionów turkmeńskich (według
innych danych – 14) o numerach 781–
794, 811, 839–841 i dziewięć azerskich
o numerach 804–807 i 817–821.

Część z utworzonych jednostek pozo-
stała na terenie GG (pomimo przepro-
wadzenia operacji „Panther” polegającej
na przeniesieniu Ostlegionów do krajów
Europy Zachodniej), wzmacniając sta-
cjonujące siły okupacyjne. Ostlegionowe
bataliony pełniły głównie funkcje war-
towniczo-ochronne, uczestnicząc także
w akcjach antypartyzanckich. W jednej
z nich, przeprowadzonej pod kryptonimem
Waldkäter na przełomie września
i października 1944 r. w lasach przysu-
skich, uczestniczyły dwie kompanie 790.
batalionu turkmeńskiego.

Pierwszą jednostką powstałą w ra-
mach legionu był 450. batalion piecho-
ty. Po zakończeniu procesu szkolenia
trafił on na kaukaski odcinek frontu
wschodniego. Toczone tam walki były
szczególnie ciężkie, co przekładało się

na ponoszone straty. Podczas bojów w sektorze astrachańskim batalion utracił 188 zabitych, rannych i zaginionych (20 proc. strat). Podobne, a czasami wyższe odsetki strat odnotowywały także inne bataliony turkmeńskie: 782 – 12 proc., 452 – 11 proc., 1/370 aż 50 proc. Nie tylko straty potwierdzały wysoką wartość bojową turkmeńskich batalionów. Czyniły to także niemieckie jednostki mające możliwość obserwowania Turkmenów w walce. Na przykład dowództwo 16. Dywizji Piechoty konstatowało, że żołnierze turkmeńskich batalionów 450, 782 i 811 mają „honorowe prawo nosić mundur niemiecki”.

Zdarzały się również ucieczki na stronę sowiecką. Przykładem jest dezercja 43 legionistów z 781. turkiestańskiego batalionu. Jak się okazało, był to tylko wstęp do masowej dezercji z tej jednostki do bolszewickiej partyzantki trzech w pełni uzbrojonych kompanii, które uciekły 13 września 1943 r., po uprzednim wymordowaniu niemieckiej kadry dowódczej. Po tym incydencie batalion został rozwiązany. W sumie podczas wojny do Sowietów zbiegło 1,5 proc turkmeńskich żołnierzy.

Okupowana Polska nie była jedynym miejscem tworzenia turkiestańskich legionów. Kolejnym ośrodkiem ich formowania była Ukraina, gdzie powstało dodatkowych 12 batalionów. Centrum szkoleniowym była 162. Dywizja Piechoty, którą na skutek poniesionych strat w walkach na froncie wschodnim wycofano na tyły. Przez dywizyjne ośrodki szkoleniowe przeszło 30 tys. legionistów z różnych Ostlegionów. 16 maja 1943 r. dywizję przekształcono w normalną jednostkę liniową. Miała ona mieszany skład narodowościowy. Połowę żołnierzy stanowili Niemcy i volksdeutsche, a resztę Turkiestańczycy i Azerowie. Dowódcą został pułkownik, a potem generał Oskar Niedermayer. Szkolenie dywizji odbywało się na poligonie w Świętoszowie (niem. Neuhammer am Queis).

Kiedy je zakończono, jednostkę w dniach 27–29 września 1943 r. przerzucono do Włoch, gdzie podporządkowano ją dowództwu Operation-szone Adriatisches Küstenland – Strefa Operacyjna Wybrzeża Adriatyckiego. Pierwsze zadanie – oczyszczenie Istrii z komunistycznych partyzantów – legioniści wypełnili bezbłędnie, zasługując na wdzięczność ze strony włoskich mieszkańców, poddanych po kapitulacji Włoch



Żołnierze turkmeńscy FOT. BUNDESARCHIV BILD

okrutnym represjom ze strony komunistycznych guerillasów. Potem dywizję dyslokowano na terytorium Słowenii.

9 grudnia 1943 r. do miasta Kočevje wkroczyły trzy brygady partyzanckie (1. „Tone Tomsic”, 2. „Ljubo Sercer” i 12. „Loska”) pod wodzą Mirko Bracica z 14. Dywizji NPOJ. Miasta bronił słaby garnizon złożony z 150 ludzi 2. kompanii I batalionu 19. pułku SS i Policji oraz 90 ludzi ze słoweńskiej Domobran. Partyzancki szturm doprowadził do opanowania wielu ważnych miejskich obiektów, ale atakującym nie udało się zdobyć starego zamku, w którym bronili się podkomendni austriackiego oficera, kpt. Fridolina Gutha. Kiedy wiadomość o ataku na miasto dotarła do dowództwa niemieckiego, natychmiast wysłana została odsiecz.

Jej trzonem był złożony przede wszystkim z Azerów 314. pułk piechoty z 162. Infanterie Division. Pułk wspierały także pododdziały 19. Pułku SS i Policji. Po ciężkich walkach Azerom i Niemcom udało się 12 grudnia 1943 r. odbić miasto i odblokować odcięty garnizon. Straty partyzantów wyniosły 97 zabitych i 40 wziętych do niewoli. Podczas walk substancja miejskich budynków uległa częściowemu zniszczeniu. 162. Dywizja Piechoty po raz kolejny wykonała swoje zadanie. Nieudana okazała się natomiast próba użycia dywizji na froncie. Wiosną 1944 r. przesunięto ją do Włoch, gdzie walczyła z komunistyczną partyzantką. Dywizja w maju 1945 r. poddała się Brytyjczykom.

W Waffen–SS

Obok Wehrmachtu jednostki turkiestańskie pragnęły stworzyć także

struktury SS. Człowiekiem, który zainicjował działania w tym kierunku, był mjr A. Meyer-Mader. Zainteresował on pomysłem powołania turkiestańskiej dywizji SS „Neue Turkestan” SS-Reichsführera H. Himmlera. Już podczas wstępnej fazy realizacji tego projektu pojawiły się poważne trudności. Związane one były z brakiem rekrutów, którzy mogliby służyć w Waffen-SS. Pod presją SS-Hauptamtu (Główny Urząd SS) OKW zezwoliło na rozwiązanie i wcielenie do Waffen-SS w grudniu 1943 r. trzech batalionów o numerach 450, 480, 1/94. Jednak pomimo tego kroku liczba wolontariuszy była wciąż niewielka. Dlatego ochotników wyszukiwano nielegalnie w obozach szkoleniowych Wehrmachtu. Te praktyki spotkały się ze zdecydowaną reakcją ze strony OKW, które nakazało dokonanie aresztowań werbowników. Skutkiem tych działań było zdjęcie, przez SS-Führungshauptamt (Główny Urząd Dowodzenia SS), ze stanowiska dotychczasowego dowódcy jednostki (przeniesiony został do SS-Sonderregiment Dirlewanger).

Zanim to nastąpiło, aby wzmocnić chęć Turkmenów do wstępowania do SS, Meyer-Mader spotkał się z Mufim Aminem Al-Husseinim, od którego uzyskał poparcie dla idei powołania nowo formowanej jednostki. W związku ze słabą rekrutacją dodatkowo wcielono do niej rozwiązany 818. batalion azerski i 831. Batalion Tatarów Nadwołżańskich. W rezultacie tych wszystkich zabiegów udało się stworzyć 1. Ostmuselmanisches SS-Regiment (1. Wschodniomuzułmański Pułk SS). Jego sztab mieścił się w Poniatowej, a szkolenie ochotników odbywało się w obozie w Trawninkach.

W lutym 1944 r. część turkmeńskich esesmanów skierowano do Juraciszek. Zaangażowano ich do działań antypartyzanckich. Tymczasem w jednostce doszło do rozluźnienia dyscypliny. Nowy dowódca SS-Hauptsturmführer Hans Billing nie bardzo umiał sobie z tym problemem poradzić. Co gorsza, swym zachowaniem wynikającym najprawdopodobniej z niezadowolenia z faktu przeniesienia go z Wehrmachtu do Waffen-SS prowokował różne sytuacje konfliktowe. W międzyczasie uciekło do partyzantów 48 esesmanów, potem zdezerterowało kolejnych 123. Billing wszczął śledztwo, w wyniku którego nakazał egzekucję 78 żołnierzy podejrzanych o pomoc de-

zerterom. Sytuacja w jednostce zaczęła wymykać się spod kontroli. Tym razem FHA-SS nie czekał już na kolejne posunięcia dowódcy i zdymisjonował go z pełnionej funkcji.

U Dirlewangera

27 kwietnia 1944 r. pojawił się jego następca SS-Hauptsturmführer Emil Herrmann. Nie pełnił on swych obowiązków zbyt długo, ponieważ już 11 lipca 1944 r. poległ. Nieco wcześniej, 30 czerwca, pułk podporządkowano SS-Sonderregiment Dirlewanger (Pułk Specjalny SS Dirlewanger). Liczył on wtedy ok. 800 żołnierzy. Pod koniec lipca dowodzenie objął SS-Sturmbannführer Franz Libermann.

1 sierpnia 1944 r. wybuchło w Warszawie zorganizowane przez KG AK powstanie. Ponieważ Niemcy z powodu trudnej sytuacji na froncie nie mieli na podorzędziu frontowych jednostek, które mogliby przeznaczyć do jego stłumienia, do Warszawy ściągnięto kilka dużych drugorzutowych jednostek antypartyzanckich. Jedną z nich był 1. Wschodniomuzułmański Pułk SS. Wbrew formułowanemu oskarżeniu pułk nie uczestniczył w mających miejsce w dniach 5–7 sierpnia 1944 r. masowych mordach na Woli. Dwa bataliony pułku dotarły do stolicy (do Warszawy skierowano tylko I i II batalion, III nie uczestniczył w walkach w Warszawie) 12 sierpnia. Turkiestańczyków podporządkowano Angriffsgruppe Dirlewanger (Grupie Uderzeniowej Dirlewanger). Sposób postępowania turkiestańskich esesmanów podczas walk w Warszawie zapewne nie odbiegał od zbrodniczych standardów przyjętych w Grupie Uderzeniowej. Podczas walk w Warszawie poległo 48 żołnierzy, 7 zaginęło, a 177 zostało rannych (w niemieckich opracowaniach podaje się, że straty te dotyczą tylko kadry niemieckiej, co wydaje się ze względu na ich wielkość mało prawdopodobne). Turkiestańscy esesmani walczyli m.in. na Starym Mieście i Czerniakowie. Niektórzy, jak np. Azer Waffen-Oberscharführer Michaił Abasskułujew, za udział w walkach otrzymali odznaczenia w postaci Krzyża Żelaznego I Klasy.

Po upadku powstania Turkmenów przerzucono 9–10 października 1944 r. na Słowację. Miejscem stacjonowania jed-

Sowiecki Środkowy Wschód



nostki była Myjawa. Tam jednostce nadano nową nazwę: Osttürkische Waffen-Verband der SS (Wschodnioturecki Związek Bojowy SS). Na jego czele stanął przyjęty do SS 24 sierpnia 1944 r. w stopniu SS-Sturmbannführera Wilhelm Hintersantz. Pracował on w SS-Hauptamt w referacie A, pełniąc jednocześnie funkcję oficera łącznikowego przy Wielkim Muftim Aminie Al-Husseinim. Nowy dowódca z pochodzenia był Austriakiem. Podczas pierwszej wojny był oficerem armii niemieckiej, a w 1917 r. został członkiem niemieckiej misji wojskowej w Turcji. Po powrocie do Niemiec wstąpił do Freikorpsu, a w 1919 r. przeszedł na islam, zmieniając nazwisko na Harun Al-Raszid Bej, i został doradcą gen. Envera Paszy. W czasie drugiej wojny światowej zaangażował się w działania na rzecz utworzenia muzułmańskich formacji walczących po stronie niemieckiej.

W okresie dowodzenia przez niego jednostką doszło w czasie świąt Bożego Narodzenia – nocą z 24 na 25 grudnia 1944 r. – do zbiorowej dezercji. Wtedy to dowodzona przez Waffen-Obersturmführera Gulima Alimowa 800-osobowa grupa zbiegła do sowieckich partyzantów (uciekierzyli zamordowali kilku niemieckich podoficerów). Po kilku dniach 300 z nich powróciło do jednostki, pozostali zostali rozdzieleni po partyzanckich brygadach. Alimow po wojnie nie uniknął kary i został skazany za zdradę na 25 lat łagru.

W lutym 1945 r. nastąpiła reorganizacja jednostki, którą podzielono na Osttürkische Waffen-Verband der SS i Kaukasische Waffen-Verband der SS. W strukturach tej pierwszej znalazły się trzy Waffen-Gruppe: Krym, Idel-Ural i Turkiestan. Do tej drugiej formacji przeniesiono część Azerów i Tatarów Nadwołżańskich. Obie jednostki przerzucono do Włoch. Żołnierze Osttürkische Waffen-Verband der SS nosili patki kołnierzo-we z głową białego wilka oraz opaskę z nazwą jednostki. Podporządkowano ich 48. Dywizji Piechoty. Turkmeni walczyli w okolicach Caprivi w prowincji Modena z włoską partyzantką komunistyczną.

26 kwietnia 1945 r. Waffen-Standartenführer Harun Al-Raszid podpisał z Włoskim Komitetem Wyzwolenia (CLN) umowę, w której zobowiązał się do nieatakowania partyzantów i pozostania w miejscu zakwaterowania aż do przybycia sił amerykańskich. Kiedy to nastąpiło, żołnierze Osttürkische Waffen-Verband der SS złożyli broń 1. Dywizji Pancernej US Army. W czasie drugiej wojny światowej w siłach zbrojnych armii niemieckiej służyło 180 tys. Turkmenów. Stanowili oni po Rosjanach i Ukraińcach największą grupę ochotników. Wiele z nich Amerykanie zdecydowali wydać w ręce bolszewików. Ci, którzy mieli szczęście, wyemigrowali do Turcji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura / 85. rocznica wydania powieści Margaret Mitchell

„Przeminęło z wiatrem” a sprawa polska



Piotr Zychowicz

/ Konfederaci święcie wierzyli, że dzięki swojemu mężnemu duchowi w kilka tygodni rozgromią wrednych Jankesów. Brzmi znajomo?

Malownicze dworki z białymi kolumnami położone na łagodnych, zielonych wzgórzach. Wokół piękne parki ze stuletnimi dębami i stawami, po których pływają stada kaczek. Dalej – ciągnące się po horyzont pola i pastwiska ze stadami bydła. Trwają zbiory, praca w majątkach wre.

Mędzy pracującymi przejeżdża ziemianin na pięknym rasowym koniu. Długie buty, bryczesy. Sumiasty wąs na ogorzałej od słońca i wiatru twarzy. Kobiety i mężczyźni pracujący w polu machają do niego życzliwie. Szlachcic jedzie w stronę dworku, gdzie na ganku czekają na niego piękna żona i trzy jeszcze piękniejsze córki.

Jakie masz pierwsze skojarzenie, drogi czytelniku? Tak. Wiem. Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej. Podole, Wołyń, żyzne ziemie ukraińskie. Utracona arkadia polskości. Kraina naszych przodków, do której wzdychamy z tęsknotą, czytając Mickiewicza i Sienkiewicza.

Nic bardziej mylnego! Opisana wyżej sceneria to tło, na którym rozgrywa się amerykańska powieść wszech czasów – „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell. Podobieństwo świata plantatorów bawełny z konfederackiego stanu Georgia do świata polskich ziemian jest uderzające.

Upředzając zarzut, od razu zaznaczam, że nie chodzi mi o kwestię Murzynów. Analogia historyczna zrównująca sytuację ruskich, białoruskich czy litewskich chłopów z czarnoskórymi niewolnikami z Południa jest – moim zdaniem – chybiona.

Chodzi o coś innego – o życie we dworach. Naszych ziemian, a także amerykańskich plantatorów łączył podobny styl

KADRY FILMU „PRZEMINĘŁO Z WIATREM”. FOT. WARNER BROS.

życia. Jedni i drudzy byli posiadaczami wielkiej własności ziemskiej. Budowali podobne domy, mieli podobną mentalność i wyznawali podobne wartości.

„Ziemia – mówi do Scarlett O'Hary jej ojciec – jest jedyną rzeczą na świecie, która jest coś warta. Bo to jest jedyna trwała rzecz na świecie! O tym nie zapominaj! To jedyna rzecz, dla której warto pracować, warto walczyć i warto umierać”.

Myślę, że pod tymi słowami podpisałby się każdy „kresowy” szlachcic. I nasi ziemianie, i plantatorzy z Południa mieli takie same namiętności, takie same rozrywki i zainteresowania. Z jednej strony maszyny rolnicze, nowoczesne metody uprawy, gospodarka rolą. Z drugiej – polowania, konie, wojna i kobiety. Karty, przyjęcia i bale. Stary wspaniały świat, nad którym unosi się widmo nadchodzącej zagłady.

Amerykański romantyzm

Polski czytelnik, czytając obecnie – 85 lat po pierwszym wydaniu – „Przeminęło z wiatrem”, zauważy jeszcze inną analogię z naszą własną tragiczną historią. Mowa o tym, w jaki sposób Margaret Mitchell przedstawiła nastroje panujące we dworach Południa w przededniu wybuchu wojny secesyjnej. Wojny tak straszliwie przegranej przez konfederatów.

Czytając te stronic książki, trudno myślać nie wracać ku naszym tragediom. Insurekcjom lat 1863 i 1944. A szczególnie katastrofie roku 1939. W przededniu drugiej wojny światowej naród polski ogarnęła zbiorowa hurraoptymistyczna histeria.

Niedorzeczne, propagandowe hasło „Silni, zwarci i gotowi” stało się wyznaniem patriotycznej wiary. Wierzono powszechnie, że nie tylko nie oddamy wrednym szkopom nawet guzika, lecz także że po miesiącu szwadrony polskiej kawalerii wjadą triumfalnie do Berlina. Czołgi Wehrmachtu, jak przekonywały rządowe gazety, miały być zrobione z zektury.

Oczywiście w 1939 r. byli ludzie rozsądni, którzy potrafili trafnie ocenić kolosalną różnicę potencjałów Polski i Niemiec. Ich racjonalne argumenty

i przestrogi padały jednak na jałowy grunt. Mało tego, traktowano ich jak „defetystów”, którzy „uprawiają czarnowidztwo” i „podkopują morale”. Odma- wiano im patriotyzmu, oskarżano ich o tchórzostwo i zdradę.

Okazuje się jednak, że – przytaczając tytuł słynnej książki braci Bocheńskich – nie tylko naród polski przejawiał w swojej historii „samobójcze tendencje”. Nie tylko naród polski mylił chęci z możliwościami. Przenieśmy się do stanu Georgia w roku Pańskim 1861. Przyjęcie zaręczynowe w jednym z dworów stało się okazją do wielkiej „narady wojennej” plantatorów z Południa. Oto, jakie rozlegały się tam głosy:

- *Do stu tysięcy par beczek, człowieku! Prosić o pokojowy układ z Jankesami? Południe bronić wykaże, że nie pozwoli się znieważać i że występuje z Unii nie z łaski Unii, ale w poczuciu swojej siły!*
- *Rozumie się, że będziemy walczyć.*
- *Złodziejce jankescy.*
- *Pobijemy ich za miesiąc.*
- *Przecież jeden południowiec da radę dwudziestu Jankesom.*
- *Damy im lekcję, której tak prędko nie zapomną.*

Obecni na przyjęciu panowie zbili się w zwarty krąg. Wyrażali pięściami znie- nawidzonym Jankesom, choć żadnego nie było jeszcze widać na horyzoncie. Prze- krzykiwali się i przebijali w bojowych i buńczucznych deklaracjach. Wojna, choć jeszcze się nie rozpoczęła, dla nich była już wygrana.

Ogólnemu entuzjazmowi nie podda- wał się tylko Rhett Butler. Przeciwnie, stał w pewnym oddaleniu od tłumu i przysłuchiwał się rozmowie z ironicznym, smutnym uśmiechem.

Śluchał spokojnie – píše Margaret Mitchell – dopóki Stuart Tarleton, ze zwirzonym włosiem i płonącymi oczyma, nie zaczął powtarzać:

– Jak to, pobijemy ich w miesiąc! Dżentelmeni zawsze się biją lepiej od hołoty. W miesiąc... co mówię – w ciągu jednej bitwy.

Cała grupa zwróciła się ku niemu z grzecznością zawsze należną obcemu.



MARGARET MITCHELL
„PRZEMINĘŁO Z WIATREM”
ALBATROS

– Czy ktokolwiek z was, panowie, pomyślał o tym, że na południe od linii Masona-Dixona nie ma ani jednej fabryki broni? Albo o tym, ile jest na Południu odlewni żelaza? Albo przędzalni wełny, bawełny i garbarni? Czy uświadomili sobie panowie, że nie mamy ani jednego okrętu wojennego i że flota Jankesów zamknie nam w ciągu tygodnia wszystkie porty, tak że nie będziemy mogli wywozić naszej bawełny za granicę? Oczywiście, pewien jestem, że panowie już o tym pomyśleli.

Niektórzy młodzi ludzie zaczęli srożyć się marsowo.

– Ostatnich kilka lat spędziłem na Północy. Widziałem wiele rzeczy, których nikt z państwa nie widział. Tysiące emigrantów, którzy z ochotą będą walczyć za Jankesów, za wikt i kilka dolarów, fabryki, odlewnie, stocznie, kopalnie żelaza i węgla. Wszystko to, czego my nie mamy. Bo my przecież mamy jedynie bawełnę, niewolników i pewność siebie. Nie my Jankesów, lecz Jankesi nas pokonają w miesiąc.

Przez długą chwilę panowało naprężone milczenie. Mimo że Scarlett czuła, iż gorąca krew oburzenia pali jej policzki, rozsądnie podchodząc do sprawy, musiała przyznać, że człowiek ten ma rację i że to, co mówi, brzmi sensownie. Nigdy w swoim życiu nie widziała fabryki ani nie znała nikogo, kto by miał fabrykę.

Choćby jednak słowa Butlera były prawdą – jako dżentelmen nie miał prawa wygłaszać podobnych poglądów, i to w dodatku w towarzystwie, kiedy każdy chciał się jak najlepiej bawić.

Stuart Tarleton namarszczywszy czoło, wysunął się naprzód, a tuż za nim Brent.

– Panie – rzekł Stuart z naciskiem – jak pan to rozumie?

Rhett popatrzył na niego uprzejmie, ale drwiąco.

– Rozumiem to – odrzekł – tak jak Napoleon, o którym pan może słyszał, a który kiedyś powiedział: „Bóg jest po stronie najsilniejszej armii!”.

Tak, Rhett Butler miał oczywiście rację. Bóg – jak głosi inna wersja tego powiedzenia – jest zawsze po stronie silniejszych batalionów. A nie tych, po których stronie są racje moralne. I nie tych, którzy mają większego ducha bojowego. Liczy się bowiem liczba karabinów i armat. A obecnie: dronów, myśliwców i rakiet.

Dlatego biedna, rolnicza Polska – mimo wielkiego poświęcenia i bohaterstwa swoich synów – nie mogła wygrać wojny z potężnymi uprzemysłowionymi Niemcami. A Konfederacja nie mogła pokonać Unii. Nowoczesna wojna to bowiem przede wszystkim zderzenie potencjałów gospodarczych.

Rhett Butler był jednym z niewielu, którzy potrafili twardo, po męsku spojrzeć w oczy rzeczywistości. Inni południowcy nad realizm przedkładali romantyzm. Tak jak dzielne, pełne nadziei kobiety Południa, których nastroje Margaret Mitchell przedstawiła w sposób następujący:

Kochały swoich mężczyzn, wierzyły w nich, ufały im do ostatniego tchnienia. Jakże mogła spać na nie kiedykolwiek klęska, gdy między nimi a Jankesami stał mocny jak stal mur szarych mundurów? Czy istnieli kiedykolwiek w historii dzielniejsi od nich mężczyźni, bardziej bohaterscy, rycerscy lub czuli? Cóż innego jak walne zwycięstwo mogło uwięzić Sprawę tak słuszną i tak sprawiedliwą? Sprawę, którą ukochały równie gorąco jak mężczyźni,

Sprawę, której oddały serca, pracę swych rąk, Sprawę, o której mówiły, myślały i śniły – Sprawę, której poświęciłyby swoich najbliższych, gdyby zaszła tego potrzeba, i stratę swoją obnosiły tak dumnie, jak żołnierze bojowe sztandary.

Jeszcze jedno zwycięstwo i Jankesi padną na kolana, błagając o pokój, mężczyźni wrócą do domów, rozpoczną się powitania, nastanie radość. Jeszcze jedno zwycięstwo, a wojna będzie skończona!

Rozumie się, że były domy pogrążone w żałobie, że były dzieci, które nigdy nie miały widzieć twarzy ojców, i bezimiennie groby nad samotnymi strumykami w Wirginii czy w cichych górach Tennessee, ale czy sprawa nie była warta takiej ceny?

Ech, czy to wszystko nie brzmi znajomo?

Spełniona przepowiednia

Historia potoczyła się oczywiście tak, jak przewidział Rhett Butler. Unia założyła na stany południowe blokadę morską. Blokada ta z każdym miesiącem się zacieśniała, aż wreszcie odcięła Konfederację od świata. A konkretnie – od rynków zbytu bawełny.

To była katastrofa. I wstęp do klęski. Południe zostało pozbawione swojego głównego źródła dochodów. Nie mogło również importować broni i sprzętu wojennego, którego samo – z powodu braku przemysłu – nie było w stanie produkować. Brakowało amunicji, karabinów, dział, a nawet mundurów i butów dla żołnierzy.

W efekcie topniejące szeregi armii konfederackiej zamieniły się w armię nędzarzy. Bosych, w strzępach mundurów, wygłodzonych. Żołnierze Południa wyglądali jak widma. Nie można im odmówić bohaterstwa i poświęcenia w walce o wolność swojej ojczyzny. Ale Północ... Północ miała silniejsze bataliony.

Mimo pierwszych sukcesów Konfederacji wojska Unii – uzbrojone po zęby przez



Thure de Thulstrup „Walka o Spotsylvania Court House” FOT. DOMENA PUBLICZNA

działające na potrzeby wojny potężne fabryki – powoli, sukcesywnie spychały przeciwnika do defensywy. Na nic zdało się wciągnięcie do szeregów – co na kartach „Przeminęło z wiatrem” zostało przedstawione w poruszający sposób – młodych, kilkunastoletnich chłopców. Dzieci.

Bardzo patriotycznych, bardzo dzielnych, ale słabych, niebędących w stanie znieść trudów wojny i stawić czoła dorosłym, znakomicie wyszkolonym i uzbrojonym mężczyznom w granatowych mundurach. Groby tych żołnierzy-dzieci, które – w patriotycznym zapale – szły bez broni na armaty, gęsto usiały pola bitew i trasy kolejnych odwrotów armii Konfederacji.

Ramię w ramię ze starszymi szli chłopcy – pisała Mitchell – którzy wszyscy nie mieli jeszcze szesnastu lat. Wielu ucieкло ze szkół, aby zaciągnąć się do wojska; tu i ówdzie szły małe grupy w mundurach kadetów akademii wojskowych – czarne kogucie pióra na ich szarych, małych czapkach były mokre od deszczu, tak jak i płócienne pasy, skrzyżowane na piersiach.

Wielu żołnierzy nie miało nawet broni, bo brak było już i karabinów, i amunicji. Mieli nadzieję, że zdobędą je na zabitych lub wziętych do niewoli Jankesach. Wielu miało długie noże myśliwskie za cholewami, a w rękach grube drgi o żelaznych końcach, tak zwane piki Joe Browna. Szczęśliwsi mieli przewieszzone przez ramię stare muszkiety i rogi prochu przy pasach.

A więc kolejna polsko-amerykańska analogia, której nikomu nie trzeba chyba tłumaczyć.

Wreszcie, po czterech latach krwawych, beznadziejnych zmagani, wojna skończyła się tak, jak musiała się skończyć. Konfederaci skapitulowali w kwietniu 1865 r. To był koniec. Nie tylko wojny, ale całego świata dworów Południa. Dotychczasowego stylu i sposobu życia. Do pięknej Georgii wkroczyły wojska bezwzględного gen. Wiliama Shermana, który zastosował wobec „wrogiego terytorium” politykę spalanej ziemi.

Dwory zostały spłądrowane i puszczane z dymem przez Jankesów, uprawy bawełny zdewastowane, maszyny rolnicze rozbite w drobny mak. Bydło wyrżnięte. Schwytanych konfederatów wieszano na przydrożnych drzewach. Murzyńscy niewolnicy zostali wyzwoleni. Z dnia na dzień wielkie plantacje – będące od pokoleń podstawą egzystencji

południowców – przestały istnieć.

Przemysłowa, mieszczańska Północ zmiażdżyła arystokratyczną, rolniczą Konfederację. Według części historyków brutalna kampania Shermana była pierwszą w historii świata „wojną totalną”. Wojną, której celem było wyniszczenie przeciwnika.

Południe już nigdy się po tym nie podniosło. Po klęsce nic już nie było takie same. Kolosalne straty, które poniosły elity Konfederacji, były nie do odrobienia. Kilka pokoleń najbardziej patriotycznych synów Południa zostało po prostu unicestwionych.

– Ach – powiedziała Mela ze smutkiem – do czego będzie podobne Południe bez naszych wspaniałych chłopców? Jak inaczej wyglądałby kraj, gdyby żyli. Można byłoby korzystać z ich energii, odwagi i rozumu. Scarlett, my wszystkie, które mamy małych synów, powinnyśmy ich tak chować, aby mogli zająć miejsca naszych zmarłych, aby byli tak dzielnymi ludźmi jak oni.

– Nigdy już nie będzie takich mężczyzn jak oni – rzekła cicho Careen. – Nikt nie może zająć ich miejsca. Dalszą drogę przebyły w zupełnym milczeniu.

Czy zatem – to pytanie przewija się między wierszami „Przeminęło z wiatrem” – warto było rzucić się na łeb na szyję w wojnę z tak znacznie potężniejszym przeciwnikiem?

Czy warto było ryzykować na niepewną szalę losu tak wiele?

Czy nie należało schować do kieszeni urażony honor i dumę, aby znaleźć jakieś kompromisowe, pokojowe rozwiązanie? Zrobić wszystko, by przetrwać i ocalić świat Południa?

Pytania te, dotyczące amerykańskiej rebelii z połowy XIX w., stanowią również oś współczesnych debat o przeszłości Polski. Pytań tych nie można zbywać i uchylać się od odpowiedzi. Tylko bowiem wyciągając wnioski z błędów przeszłości, można uniknąć ich w przyszłości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1927–1933 / „Prawda o Sowietach” Franciszka Olechnowicza



Białoruski świadek Sołówek



Marek Gałęzowski

/ W razie przewinienia związywano winnego sznurami w ten sposób, że głową sięgał niemal kolan, i wrzucano do ciemnej, wilgotnej komórki na trzy godziny...

Wstrząsająca książka – pod takim tytułem opublikowano w przedwojennym czasopiśmie „Naród i Wojsko” notę o publikacji „Prawda o Sowietach – wrażenia z siedmioletniego pobytu w więzieniach sowieckich 1927–1933”: „Książka to wstrząsająca, która napisana spokojnie i z umiarem, daje nam jakąś wprost koszmarną wizję bezcelowych znęcań się człowieka nad człowiekiem,

nie wiadomo po co i w imię czego”. W nocie podkreślono, że „powinna [ona] dotrzeć do każdej biblioteki społecznej, a zwłaszcza młodzieżowej, by nieść tam istotną prawdę o Sowietach”.

Dobrowolny wyjazd

Autorem książki był Franciszek Alachnowicz (Franciszek Olechnowicz).

Urodzony w 1883 r. w Wilnie, absolwent jednego z tamtejszych gimnazjów, był jednym z wybitnych przedstawicieli inteligencji białoruskiej. Pisarz i publicysta, szczególnie jednak zasłużył się w rozwoju białoruskiego życia teatralnego jako autor sztuk scenicznych, reżyser i współzałożyciel pierwszego białoruskiego teatru. Jeszcze przed pierwszą wojną światową angażował się na rzecz rozwoju kultury narodowej, za co był szykanowany przez władze carskie.

W 1918 r. zaczął prowadzić swoją działalność w Mińsku, z wiarą w możliwość stworzenia własnego państwa. Wyjechał rok później, po zajęciu miasta przez bolszewików, by wkrótce opublikować w jednym z czasopism białoruskich w Wilnie wstrząsający, opatrzone fotografiami reportaż o zbrodniach dokonanych przez komunistów sowieckich w Lesie Komarowskim pod Mińskiem.

Po traktacie ryskim pozostał na emigracji w Polsce. Kontynuował swoją pracę

Monaster Sołowiecki

FOT. WIKIPEDIA



Wieziony przez Orszę i Leningrad na odległą północ Rosji, dotarł w końcu na wyspę Miah na Morzu Białym. Tam znajdował się obóz przejściowy, z którego droga morska prowadziła na Sołowki, gdzie „krajobraz malowniczy, szczególnie jesienią, gdy drzewa liściaste przystrojają się w złote barwy, świecąc jasnymi plamami na tle jodłowej zieleni”. Piękna przyroda była tłem tragedii więźniów obozu, stworzonego przez bolszewików w dawnym klasztorze.

Jakuci, Uzbeki, Niemcy, Węgrzy...

W chwili przybycia Alachnowicza przebywało tam ok. 10 tys. więźniów, wśród których byli przedstawiciele chyba wszystkich narodów zamieszkujących opioną przez bolszewików Rosję. Autor wspomnień spotkał tam „Jakutów o spłaszczonych twarzach”, „synów Kaukazu o orlich nosach” i innych – „od Finów do Uzbeków, od Niemców do Chińczyków”. Na Sołowkach była także liczna grupa Węgrów, którzy po przegranej rewolucji 1919 r. zbiegli do sowieckiej Rosji. Kilkuletni pobyt spowodował porzucenie przez nich komunistycznych iluzji i chęć powrotu do lekkomyślnie opuszczonej ojczyzny. Oczywiście nie pozwolono im wyjechać nad Dunaj, lecz oskarżono ich o szpiegostwo i wywieziono na Sołowki.

Alachnowicz spotkał w obozie ludzi wszystkich profesji – byli tam „profesorowie, artyści, inżynierowie, muzycy, lekarze, akrobaci, rolnicy, baletnicy, robotnicy, księża, popi, mułowie, oficerowie dawnej armii rosyjskiej, sędziowie z carskich czasów, a obok nich – złodzieje, zbójce, aferzyści najrozmaitszego rodzaju, prostytutki, czekiści, łapownicy”.

Kobiety oddzielono od mężczyzn, surowo zakazując jakichkolwiek kontaktów: „Karano nie tylko za stosunki miłosne, lecz także za niewinną rozmowę przy spotkaniu, za zamienienie paru słów ze sobą, wreszcie za zwykłe powitanie przy spotkaniu. Karano przeważnie aresztem 14-dniowym”. Mimo srogich kar w obozie „kwitła prostytutka. [...] Kobiety, nieuprawiające prostytucji na szerszą skalę, miały po kilku kochanków. Każdy z nich niośł swej bohdance, co mógł. Piekarz kradł chleb z piekarni, niepalący oddawał swą rację tytoniową,

zarządzający sklepikiem wynosił po kryjomu wodę kolońską lub parę pończoch, tamten garść cukru zaoszczędzonego z racji żywnościowych, inny znów dzielił się otrzymaną od żony z wolności przesyłką żywnościową”.

Alachnowicz opisał w tym kontekście również budzący w nim szczególną zgrozę obyczaj. Otóż „kobiety, posiadające niemowlęta, otrzymywały dodatkowy »pajok« (rację żywnościową) na dziecko w postaci nieznacznej ilości cukru, trochę mleka, kawałka szarego chleba. Otóż kobiety oddawały swym »chachałom« ową otrzymaną dla dziecka rację żywnościową, a niemowlę... żuło przez cały dzień umaczany w ślinie matki okrusz czarnego chleba”. Była to jeszcze jedna konsekwencja nieludzkiego losu, w jaki tych nieszczęśliwych wepchnął komunizm: „Żyjąc w ciągłym niebezpieczeństwie, dziesiątkowani przez choroby,



Franciszek Olechnowicz

FOT. WIKIPEDIA

wycieńczenie i głód, będąc pod ciągłą groźbą rozstrzelania, więźniów sołowiecki przyzwyczaił się lekko cenić życie ludzkie. Dusza zacierstiała, egoizm zapanował wszechwładnie, zatraciły się wszelkie lepsze uczucia ludzkie w rodzaju litości czy współczucia”.

Siekirka i Żordoczka

Szczególną groźbę w obozie sołowieckim budziły dwa miejsca. Pierwszym była Siekirka, wzgórze w północno-wschodniej części wyspy, na którym znajdowała się cerkiew. Cele świątynne bolszewicy zamienili na kazamaty,

pisarską, spotkał się jednak z niechęcią władz polskich i utracił nadzieję na możliwość prowadzenia działalności na rzecz kultury białoruskiej, uległ propagandzie sowieckiej, głoszącej, że będzie mógł ją prowadzić na terenie tej części Białorusi, która znalazła się w granicach ZSRS. Jak pisał Józef Mackiewicz w raporcie „Egzekucja”: „Zdawało mu się, że skoro tam są teatry, uczelnie, akademie, ba, nawet urzędowy język białoruski, a tu w kraju nie ma tego, więc tam powinien iść, skoro się uważa za patriotę swego narodu”. W listopadzie 1926 r. Alachnowicz opuścił Polskę. Wspominał: chociaż „była jesień, lecz ja jechałem z nadzieją wiosny w duszy”. Władze bolszewickie już po dwóch tygodniach ostudziły jego zapał. Został uwięziony w Mińsku. Nie „przejechał się na Komarówkę”, jak więźniowie nazywali egzekucje dokonywane przez bolszewików w tym budzącym groźbę lesie. Został skazany na pobyt w obozie na Wyspach Sołowieckich.



Łagiernicy na Wyspach Sołowieckich

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

■ w których umieszczano więźniów, którzy narazili się w jakiś sposób administracji. „Kara, oprócz karnej racji żywnościowej, polegała na tym, że lokal ten nie był opalany, czyli w zimie była to kara mrozu. Różnica między parterem a piętrem była ta, że na górze więźniowie nie mieli prawa do pościeli i byli rozebrani do bielizny. Poza tym zamiast szyb w dawnych oknach były tylko druty kolczaste. [...] Na pryzkach na wpół nadzty leżą przytuleni do siebie skazańcy, drżąc z chłodu i głodu. Ponieważ układanie się obok siebie nie dawało dostatecznego ciepła, bowiem ciało marzło od góry i od dołu, więźniowie wynaleźli inny sposób wzajemnego się ogrzewania. Mianowicie tworzone tzw. »sztaby«, to jest kładziono się jedni na drugich w poprzek paroma rzędami. Ci jednak, co byli w dolnym rzędzie, marzli od dołu, a ci, co w ostatnim górnym – od góry. By niesprawiedliwość nie było, rzędy się co pewien czas zmieniały: ci z dołu szli do środka”.

Drugim z budzących grozę miejsc była Żordoczka, jedna z baszt cerkiewnych na sołowieckim Kremlu. „W nieopalanym tak jak na Siekircie lokalu więźniowie siedzieli na wysokich ławach. Nogi więźniów nie sięgały podłogi, lecz zwisały w powietrzu. W takiej pozycji, z rękami złożonymi na kolanach, ludzie siedzieli w ciągu całego dnia bez prawa porożumienia się z sąsiadem, bez prawa nawet poruszania głową. Przerwę stanowiło przyjmowanie posiłku (raz na dzień) i wyprowadzanie dla odbycia potrzeb na-

turalnych (dwa razy dziennie). Na wznieśieniu stała warta, która miała baczenie, by regulamin ciszy i nieporuszania się był ściśle przestrzegany. W razie przewinienia winnego związano sznurami w ten sposób, że głową sięgał niemal kolan, i wrzucano do ciemnej, wilgotnej komórki na okres do trzech godzin”. Pobyt w tym drugim oprócz Siekirk sołowieckim odpowiedniku więziennego karceru trwał maksymalnie dwa tygodnie, ale jak wspominał Alachnowicz, nawet po tak – wydawałoby się – „krótkim okresie czasu więzień po odbyciu kary miał wygląd rekonwalescenta, który dopiero co wyszedł ze szpitala po przejściu ciężkiej choroby”.

Ostrzeżenie Alachnowicza

W czasie pobytu w obozie białoruski dramaturg był świadkiem wizyty Maksyma Gorkiego. Dla tego światowej sławy pisarza sowieckiego zorganizowano przedstawienie teatralne, w którym wszystkie role odgrywali więźniowie. Cała zresztą wizyta była przedstawieniem, po którym pisarz miał obwieścić światu osiągnięcia sowieckiego więziennictwa. Dać świadectwo, że jest ono wzorcem działań resocjalizacyjnych. „Twarz Gorkiego wyrażała bezbrzeżną nudę. Siedział przygarbiony z lekka i obojętnym wzrokiem patrzył na estradę, skąd płynęły dźwięki muzyki, pieśni

– całego programu, ułożonego ku jego czci [...]. Jakie rewelacje zamieści Gorki w pismach po swym powrocie z wyspy sołowieckiej? – zapytywaliśmy siebie w swej naiwności” – pisał Alachnowicz.

Przeczytali oczywiście o zachwytach nad szczęśliwym losem więźniów i nad dobrodziejstwami bolszewizmu, co Alachnowicz skwitował: „Złośliwi twierdzą, iż mieszkając stale poza granicami państwa Sowietów, tym bardziej mając otworem obszerny rynek księgarski dla swych utworów w Rosji, nietrudno jest zachwycać się budownictwem socjalizmu. »Kontrrewolucjoniści« twierdzą, że bądź co bądź lżej się oddycha w ojczyźnie faszyzmu [Gorki miał wille na wyspie Capri w rządzonych wówczas przez Mussoliniego Włoszech – przyp. M.G.], gdzie wille prywatne nie uległy konfiskacie, niż w ojczyźnie socjalistycznej, gdzie posiadanie dwóch oddzielnych pokoiów należy do wielkiego komfortu”.

Latem 1933 r. Alachnowicz opuścił Sołowki i został przewieziony do moskiewskiego więzienia Butyrki. W drodze zaobserwował, „że swym wyglądem zewnętrznym, w stroju katorżnym, mało się odróżniałem od tego nędznie ubranego tłumu [obywateli sowieckich – przyp. M.G.]. Przypuszczano, że jestem jednym z podróżnych, odbywających podróż w towarzystwie znajomego żołnierza, nikomu przez myśl nie przechodziło, że jestem więźniem sołowieckim. A byłem ubrany tak, że u nas na Białorusi żebracy są lepiej ubrani”.

Jak się okazało, miał zostać wymieniony za Bronisława Taraszkiewicza, jednego z komunizujących działaczy białoruskich. Więzień kapitalistów, jak z przekąsem pisał Alachnowicz, „siedział w porządnym filcowym kapeluszu, w dobrze skrojonym płaszczu jesiennym, w nieskazitelnie wyczyszczonych butach... Więzień sowiecki siedział w nędznym, postrzępionym kożuchu przykrywającym kaftan sołowiecki. On siedział z niewyraźnym uśmiechem na twarzy, ja zaś po tylu latach niewidzenia patrzyłem z ciekawością na tego człowieka, który, acz w dobrej wierze – tyle złamał żyć ludzkich, skierowując wzrok swych rodaków na fatamorgany zza kopców granicznych”. Pięć lat później Taraszkiewicz, były poseł na Sejm RP, ale przede wszystkim językoznawca, który przetłumaczył na białoruski „Iliadę” Homera i „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, już nie żył, zamordowany w Mińsku 29 listopada 1938 r.

Zemsta na świadku

Tymczasem Alachnowicz wrócił do Wilna, gdzie pomocną rękę podał mu Stanisław Cat-Mackiewicz, który opublikował w „Słowie” jego świadectwo z Sołowiek. W 1935 r. ukazało się ono w formie książkowej pt. „Siedem lat w szponach GPU”, dwa lata później wydano zaś nieco poszerzoną wersję – „Prawda o Sowietach”. Uzupełnienie odnosiło się do niewyjaśnienia w poprzednim wydaniu okoliczności znalezienia się autora w ZSRS. „Sprawy te przemilczałem wtedy rozmyślnie. Po prostu było mi wstyd. Wstyd mi było, że ja, człowiek dojrzały, dałem się tak naiwnie, tak głupio, tak sromotnie głupio nabrać” – tłumaczył.

Wstrząsająca w swojej wymowie relacja Alachnowicza dotyczyła pierwszych lat budowy totalitaryzmu sowieckiego, jeszcze przed potwornościami okresu masowego terroru, które znalazły znacznie bardziej przejmujący wyraz chociażby w opowiadaniach Władława Szałamowa czy też w nieco późniejszych doświadczeniach polskich więźniów Archipelagu GUŁag, jak chociażby Anatola Krakowickiego, opisanych w „Książce o Kołymie”.

W tym kontekście warto przytoczyć jedno ze spostrzeżeń Alachnowicza. Spotykając w Butyrkach dopiero co aresztowanych, dowiedział się od nich „o nowych sposobach badania, praktykowanych przez GPU. W pierwszych latach mego uwięzienia przymus fizyczny podczas badania nie był stosowany. [...] Dziś jednak ten sposób badania praktykowany jest dość często nawet w Moskwie. [...] Jednych usiłują nakłonić do podpisania żądanych zeznań biciem, innych straszaniem tylko. Często z dobrym wynikiem praktykowany jest przy badaniu sposób zwany »konwejerem«. Polega on na



Nagrobek Franciszka Olechnowicza na cmentarzu Na Rossie w Wilnie. FOT. WIKIPEDIA

tym, że badanemu odmawiają prawa do snu”. Krótko po ukazaniu się pierwszego wydania wspomnień Alachnowicza bicie i konwejer stały się powszechne w ZSRS, a z czasem ich ofiarą padło wiele milionów ludzi.

Po sowieckim „nożu w plecy” 17 września 1939 r. Alachnowiczowi ponownie zajrzała w oczy groza prześladowań ze strony NKWD. Kiedy Armia Czerwona podeszła pod Wilno, chociaż cywil, znalazł schronienie wśród cofających się na Litwę żołnierzy polskich. W Kownie wsparli go Józef Mackiewicz i Karol Żbyszewski, autor niezapomnianego „Niemcewicz od przodu i tyłu”, po-

świadczając przed Litwinami personalia białoruskiego kolegi i udzielając mu pomocy materialnej.

Wrócił do Wilna po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Jego zaangażowanie się po stronie Niemców to już temat na inną opowieść. Wspomnijmy jednak, że kiedy polscy przyjaciele wyrzucali mu to, odpowiadał, że wierzy, iż Hitler przegra wojnę, ale przedtem zniszczy bolszewizm. „Nas nie stać na inną politykę. Nikt nam nic nie daje. Daję nam tylko Niemcy” – mówił Mackiewiczowi o tragizmie sprawy niepodległości Białorusi, której położenie było wówczas takie jak Polski w 1914 r. – nie istniała ona w stosunkach międzynarodowych.

Michał Römer, wybitny litewski prawnik, który spotkał się z Alachnowiczem w końcu 1942 r., odnotował w swoim dzienniku zdenerwowanie kolegi, jego obawę przed porażką Niemiec wojnie z Sowietami i dostaniem się w ręce bolszewików. Tak się jednak nie stało. Jednego z pierwszych marcowych dni 1944 r. (Mackiewicz mylnie podaje koniec 1943 r.), wieczorem, zapukał do mieszkania Alachnowicza pewien młody człowiek, prosząc o wpuszczenie, ponieważ przyjechał za ważną sprawą z Mińska. „Wszedł dorodny mężczyzna, młody, grzeczny i uśmiechnięty. Bardzo przeprosił za spóźnioną porę. Wymienił nazwiska osób, od których ma polecenie z Mińska. Powiedział, że tylko na chwilę”. Przeszli do drugiego pokoju. Za chwilę żona usłyszała dwa strzały. Z pokoju wyszedł ów młody człowiek. Mierząc do niej, „wycofał

się następnie tyłem, namacał zasuwę, spokojnie, zimno, otworzył bez trudu. [...] Trzasnął drzwiami – i wszelki ślad po nim zginął” – pisał Józef Mackiewicz, nie mając wątpliwości, czyja ręka kierowała tym zamachem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

W poprzednim numerze „HDR” błędnie podany został wydawca książki Marka Gałęzowskiego „Zapomniany znawca Rosji. Wokół działalności i poglądów Tadeusza Gruzewskiego na monarchię rosyjską i sprawę polską”. Wydawcą jest Oficyna Wydawnicza Uczelni Łazarskiego.



Piotr Semka

Para żydowskich naukowców przekazała Sowiетom sekrety atomowe USA. Julius i Ethel Rosenbergowie skończyli na krzesłach elektrycznych

To amerykańskie małżeństwo przekazało wywiadowi sowieckiemu tajemnice amerykańskiej bomby atomowej. Organy ścigania oskarżyły je o zdradę kraju i postawiły przed sąd. W odpowiedzi Moskwa uruchomiła wszystkie kanały swej agentury wpływu. Rosenbergów przedstawiano jako ofiary sfigowanego procesu, antysemityzmu i męczenników walki o pokój.

Zarówno Julius Rosenberg (rocznik 1918), jak i Ethel (rocznik 1915) urodzili się już w USA jako dzieci emigrantów żydowskich. Wzrastali w latach 20. w Nowym Jorku w warunkach twardej walki o utrzymanie się na powierzchni. Problemy ekonomiczne często wiązały się ze znoszeniem antysemickiej agresji.

Dla wielu Żydów w tamtych latach atrakcyjna była wizja Związku Sowieckiego jako kraju, w którym zwalczono uprzedzenia antyżydowskie i zbudowano państwo sprawiedliwości społecznej. Szczególnie mocno złudzenia te rozkwitły w czasie wielkiego kryzysu lat 1929–1932. Julius i Ethel byli wówczas nastolatkami. On dostał się dzięki sporemu wysiłkowi finansowego rodziców na City College of New York, gdzie ukończył wydział inżynierii elektrycznej. Ona próbowała swoich sił jako aktorka i śpiewaczka, ale skończyła jako sekretarka w jednej z firm okrętowych. W 1936 r. oboje zaczęli spotykać się na zebraniach dyskusyjnych Young Communist League USA – przybudówki Komunistycznej Partii USA. W 1939 r. Rosenbergowie pobrali się i w ciągu kolejnych ośmiu lat doczekali się dwóch synów – Michaela i Roberta. W 1940 r. Julius jako inżynier elektryk znalazł pracę w ośrodku



Julius i Ethel Rosenbergowie FOT. WIKIPEDIA

XX w. / Macki Moskwy w Ameryce

Zdrada Rosenbergów

badawczym Army Signal Corps Engineering Laboratories w Fort Monmouth, New Jersey. Był to ośrodek badań nad najnowszymi technologiami obronnymi. Jako inżynier inspektor miał dostęp do niezwykle ważnych strategicznie badań nad rozwojem elektronicznego sterowania rakietami dalekiego zasięgu.

Znajomość niezwykle interesujących tajemnic Army Signal Corps zwróciła uwagę Bernarda Schustera i Earla Browdera, dwóch wtyczek Sowiетów w Komunistycznej Partii USA. Po ich sygnałach Rosenbergiem zainteresował się Aleksander Fieklisow, rezydent wywiadu ZSRS. Rosenberga zwerbowało we wrześniu 1942 r., w Dniu Pracy, który jest amerykańskim odpowiednikiem święta 1 Maja. Przez kolejne trzy lata Rosenberg przekazał Sowiетom setki beczennych raportów o najnowszych technologiach obronnych. Ethel także została zwerbowana i z zapałem pomagała mężowi w operacjach. Julius,

sterowany przez Fieklisowa, sam zaczął werbować kolejnych agentów w kompleksie zbrojeniowym – Joela Barra, Alfreda Saranta, Williama Perla i Mortona Sobella. To dzięki nim Moskwa otrzymała, jak na talerzu, tysiące tajnych dokumentów z wojskowej Rady Rozwoju Aeronautyki, na czele z projektem odrzutowego myśliwca Lockheed P-80 Shooting Star, który posłużył Sowiетom do stworzenia własnych odrzutowców MiG. Największą szpiegowską przygodę życia Julius Rosenberg rozpoczął jednak wówczas, gdy brat jego żony, David Greenglass, otrzymał pracę w projekcie „Manhattan” – programie budowy bomby atomowej. Fieklisow rozkazał Rosenbergowi zwerbować szwagra i w ten sposób Kreml uzyskał dostęp do badań laboratorium w Los Alamos. W lutym 1944 r. przekazał sowieckiemu nadzorczy kolejną zdobycz – inżyniera z projektu „Manhattan” Russela McNutta z laboratorium w Oak Ridge, które badało zastosowanie

uranu do produkcji bomb atomowych. Julius przekazywał też informacje od Klausa Fuchsa, uciekiniera z Niemiec prowadzącego badania nad bronią atomową, zwerbowanego już przez Rosjan.

W 1945 r. kariera szpiegowska Rosenberga zaczęła się załamywać. Najpierw amerykańskie służby ustaliły przedwojenne kontakty Rosenbergów z młodzieżówką Komunistycznej Partii USA. Julius stracił pracę i zaczął być pod lupą.

Zimnym prysznikiem była pierwsza eksplozja jądrowa Rosjan w 1949 r. W styczniu 1950 r. Amerykanie odkryli, że Klaus Fuchs współpracuje z Sowietami. Przesłuchiwany Fuchs wyjawiał, że jego kurierem był Harry Gold aresztowany 23 maja 1950 r. Gold ujawnił szpiegostwo Davida Greenglassa, brata Ethel Rosenberg. Powiązanie Greenglassa z Rosenbergiem nie było już trudne. 17 czerwca 1950 r. Julius został aresztowany pod zarzutem zdrady państwa, a miesiąc potem za kratki powędrowała Ethel. Oboje odmówili wszelkich zeznań.

Wielki szok

Dlaczego afery Rosenbergów tak bardzo poruszyła amerykańskich polityków, organy ścigania i opinię publiczną? Po pierwsze, była to spóźniona reakcja na zatrważającą skalę infiltracji amerykańskiej administracji w epoce Franklina Delano Roosevelta. Po drugie, sprawa dotyczyła wycieku szczegółów bomby atomowej, która dawała Waszyngtonowi złudne, jak się okazało, poczucie przewagi nad Moskwą. Po trzecie, zaprzaństwo Rosenbergów było przykładem absolutnego braku lojalności wobec własnego państwa. Od imigrantów i ich dzieci „starzy” Amerykanie oczekiwali wdzięczności za przyjęcie ich po ucieczce spod władzy opresyjnych reżimów Europy. Pierwsze pokolenie żydowskich imigrantów z tego powodu demonstrowało ostentacyjnie swój proamerykanizm. Pojawienie się ciągłych prokomunistycznych wśród dzieci pierwszej generacji imigrantów było nieprzyjemną niespodzianką. W przypadku takich zdrajców jak Klaus Fuchs dochodziła jeszcze gorycz, że ludzie witani w USA z szacunkiem jako ofiary Hitlera w latach wojny odpłacili się w tak podły sposób za gościnność. Dobrze opisał to Marek Hłasko, który

w powieści „Wielki strach” tak opisywał kazus Rosenbergów: „Przez szereg lat siedzą cicho, pracując w swoich zawodach, i dopiero po jakimś czasie rozpoczynają działalność na rzecz swoich mocodawców. Nie są to przypadkowe kanale, którym nie można zaufać, lecz ludzie partyjni i fanatycy, którzy wiedzą dobrze, iż droga ich jest w rzeczy samej krótka i skończy się ilością dwudziestu czterech tysięcy volt; jednak nie odstrasza ich to i robią swoje”.

Czy Rosenbergowie byli najgroźniejsi? Na pewno znacznie bardziej zaszkodził Amerykanom Klaus Fuchs. Tyle że on był gościem w USA, a nie urodzonym tu obywatelem, i na dodatek przyznał się do winy oraz sypał (po paru latach wymieniono go na amerykańskich agentów).

Rząd USA chciał kary śmierci dla obojga szpiegów, aby odstraszyć innych od zdrady. A Rosenbergowie zamknęli się w sobie i twarzą milczeli. Ich proces zaczął się 6 marca 1951 r. Nie trwał długo, bo dowody zdrady były dość jednoznaczne. W sierpniu 1951 r. sędzia Irving Kaufman wydał ostateczny werdykt – para szpiegów została skazana na karę śmierci. Tryb odwoławczy trwał prawie dwa lata.

Sowieci szybko rozpoczęli kampanię na rzecz uniewinnienia Rosenbergów. Specjaliści od wojny psychologicznej dostrzegli w ich sprawie wiele wątków idealnie dopasowanych do mentalności liberalnych elit na Zachodzie. Po pierwsze, Rosenbergowie byli Żydami. Łatwo było więc zasugerować, że władze amerykańskie kierują się uprzedzeniami rasowymi. Sowieci mieli nadzieję, że ten wątek ich propagandy poruszy amerykańskie media. Ponadto liczyli na oburzenie w niedawno powstałym Izraelu, dość lewicowym jak na ówczesne czasy. Miało to odwrócić zauważalny wtedy trend przechylania się sympatii państwa żydowskiego na stronę USA. Po drugie, przedstawiono Rosenbergów jako cynicznie wybranych przez administrację amerykańską na ofiary dlatego, że byli idealistami walczącymi o pokój. Po trzecie, podkreślano fakt, że władze USA nie mogły ujawnić wielu szczegółów śledztwa ze względu na tajność akt służb wywiadowczych. W kampanii pomagała też dumna postawa szpiegowskiej pary, która do końca twierdziła, że jest niewinna i padła ofiarą intrygi. Swoją rolę odgrywało też to, że kara śmierci groziła małżeńskiej parze, która miała

osierocić dwóch nastoletnich synów. Liberalne kręgi inteligencji amerykańskiej utworzyły Narodowy Komitet na rzecz Sprawiedliwości w sprawie Rosenbergów, który wskazywał na słabe punkty aktu oskarżenia. Oskarżenia o antysemityzm nie poparły amerykańskie organizacje żydowskie, ale były bardzo chwytliwe w Europie. W obronie skazanej pary wystąpili Albert Einstein i noblista z dziedziny chemii Harold Urey. W protesty zaangażowała się lewica ze sfery artystycznych – od pisarza Dashiella Hammetta do malarzkiej pary Fridy Kahlo i Diego Riviery. Francuscy intelektualiści, wtedy w samym szczycie kampanii na rzecz wycofania baz US Army z Francji, przyrównywali proces Rosenbergów do antysemitkiej afery Dreyfusa. Filozof Jean-Paul Sartre nazwał proces „linczem w kostiumie prawa, który umazał krwią całą naród amerykański”.

Męczennicy

Protesty wspierali Jean Cocteau i Pablo Picasso. Znany malarz dramatycznie wzywał na łamach „L'Humanité”, organu Komunistycznej Partii Francji: „Mijają godziny. Mijają minuty. Nie pozwólmy, by doszło do zbrodni przeciw ludzkości”. Nawet papież Pius XII, dziś przedstawiany jako bezduszny antykomunista, apelował do prezydenta USA – Dwighta Eisenhowera – o zastopowanie wykonania kary śmierci. 11 lutego 1953 r. prezydent USA oświadczył, że wobec skali zdrady państwa nie widzi podstaw do zakwestionowania wyroku śmierci. 19 czerwca 1953 r. w nowojorskim więzieniu Sing-Sing została wykonana kara śmierci na krześle elektrycznym.

Przez dwa lat komunistyczna propaganda próbowała zmusić amerykańskie władze do ulaskawienia Rosenbergów. Gdy do egzekucji w końcu doszło, para z Nowego Jorku została męczennikami walki o pokój. Przedstawiano ich jako przykład „polowania na czarownice z epoki McCarthy’ego”. Dopiero po 1989 r. i upadku komunizmu zaczęły wychodzić na jaw silne dowody na winę pary szpiegów. Kropkę nad i postawił dawny oficer prowadzący Rosenberga – Aleksandr Fieklisow – który po upadku ZSRS potwierdził, że Julius był jednym z najcenniejszych agentów Moskwy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mikołaj Iwanow

/ Wydawało się, że tajemnica romansu sowieckiej primabaleriny z jednym z największych wrogów Związku Sowieckiego nigdy nie zostanie ujawniona. Tak się jednak nie stało...

W przeprowadzonym w 2004 r. plebiscycie marszałek Carl Gustaf Mannerheim został uznany przez większość ludności Finlandii za najwybitniejszego Fina w historii tego kraju. Był ojcem fińskiej niepodległości, tak jak marszałek Piłsudski ojcem niepodległości polskiej. Trzykrotnie zmierzył się w krwawych wojnach z Rosją sowiecką, w których zdołał – mimo ogromnych strat ludzkich – obronić niepodległość własnego kraju. W ojczyźnie traktują go prawie jak bożyszcze. Jednak niektóre strony jego życia do dziś owiane są tajemnicą.

Oto historia na miarę kryminału, którą ten niezwykły człowiek zachował dla siebie przez całe swoje życie. Ta dramatyczna historia powinna była umrzeć śmiercią naturalną razem ze śmiercią jej bohaterów.

W życiu codziennym Mannerheim korzystał z drugiego imienia Gustaf (po fińsku Kustaa). W armii rosyjskiej, w której zrobił błyskotliwą karierę, uwieńczoną stopniem generała lejtnanta, wśród wojskowych nazywano go Gustawem Karłowiczem.

Życie rosyjskiego generała

Początek tej historii przypada na rok 1896. W przerwie jednego z przedstawień baletowych w reżyserii słynnego ojca rosyjskiego baletu, paryżanina Mariusa Petipa, w petersburskim Teatrze

XX w. / Twórca Finlandii oraz Katarzyna Geltzer

Wielki romans Mannerheima



FOT. DOMENA PUBLICZNA

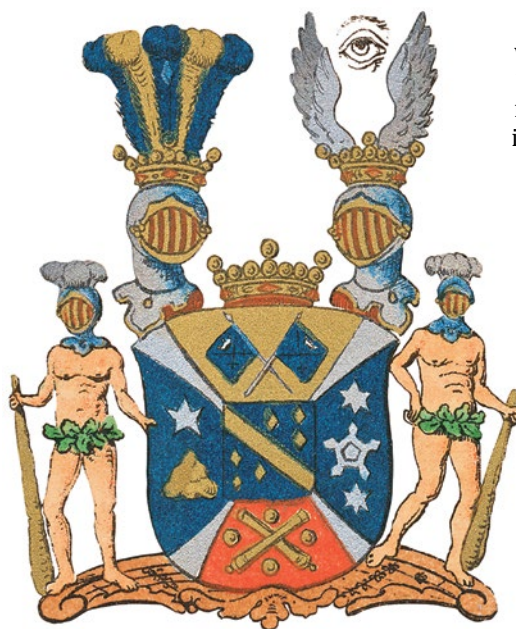
Maryjskim, do młodziutkiej primabaleriny Katarzyny Geltzer z bukietem róż podszedł 30-letni oficer gwardii baron Carl Gustaf Mannerheim. Był zauroczony jej wspaniałym występem i urodą. Co się stało dalej, nietrudno się domyśleć. Młodych ludzi połączył romans, który trwał ponad pół wieku. W tym romansie były wzloty i upadki, ale Mannerheim i Geltzer byli związani niemal przez całe życie.

W chwili ich pierwszego spotkania przyszły marszałek był już żonaty z Anastazją Arapową, miał dwie córki, ale jego małżeństwo przeżywało kryzys. Wkrótce Arapowa, będąca posiadzką milionowej fortuny, opuszcza Rosję razem z córkami i osiedla się na stałe w Paryżu. Małżeństwo się rozpada, ale oficjalny rozwód Mannerheim otrzyma dopiero w 1919 r.

Po wyjeździe małżonki i w ostatnich latach jej pobytu w Rosji Mannerheim prowadzi dość rozwiązłe życie prywatne. Jego kochankami były księżna Betsi Szuwałowa, gwiazda baletu imperatorskiego Tamara Korsawina i kilka innych kobiet z petersburskiej arystokracji. W czasie swej służby w Warszawie (1909–1914) Mannerheim zakochał się w hrabinie Marii Lubomirskiej, która w swych pamiętnikach pisała o nim jako o „swym przyjacielu serca”. Sam przyszły marszałek wspominał lata spędzone w polskiej stolicy jako jeden z najszcześniejszych okresów swego życia. Był rosyjskim generałem, ale także przedstawicielem narodu pozbawionego niepodległości przez imperium rosyjskie. Dlatego Polacy traktowali go przychylnie.

W narodowym archiwum Finlandii znajduje się 30 listów od Marii Lubomirskiej, świadczących niezbie o romantycznych stosunkach między nimi. Siostra księżnej twierdziła, że jedna z córek Marii Lubomirskiej – Dorota – jest dzieckiem Mannerheima. Wydaje się jednak, że związek z Katarzyną Geltzer był czymś wyjątkowym. Jak pisze o tym w książce poświęconej Mannerheimowi amerykański historyk z prestiżowego uniwersytetu w Princeton, Simon Morrison, wzajemny szacunek i miłość ci dwoje przenieśli przez całe swe życie.

W 1902 r. Katarzyna Geltzer urodziła przyszłemu marszałkowi syna Emila,



Herb Mannerheimów FOT. WIKIPEDIA

który początkowo wychowywał się w rodzinie bliskiej krewnej Geltzer – Ludmiły Rennenkamf, a w 1909 r. zaczął studiować w szkole dla dzieci arystokratów w Szwajcarii. Legenda głosi, że wybitny rosyjski artysta malarz Walentin Sierow namalował niewielki portret małego Emila, który Mannerheim zabrał po rewolucji ze sobą do Finlandii. Po wojnie ten portret chciał kupić znany fiński kompozytor Robert Kajanus, jednak portret zginął bez śladu. Prawdopodobnie Mannerheim, który po wojnie zmuszony był opuścić Finlandię, zniszczył wszystkie świadectwa swoich związków z Rosją, aby nie zaszkodzić swym bliskim w kraju.

Przeciw bolszewikom

Rewolucja bolszewicka w 1917 r., jak się okazało, wzniosła między dwójgim zakochanych polityczną barierę nie do pokonania. Mannerheim stał się w swojej ojczyźnie symbolem niepodległości i niezwykle twardnej, krwawej walki w obronie wolności własnego kraju. Do ojczyzny wraca 18 grudnia 1917 r., tuż po ogłoszeniu niepodległości (6 grudnia 1917 r.). Finlandia znajdowała się

wówczas w stanie chaosu. 31 grudnia 1917 r. w Piotrogradzie Lenin, jako premier rządu koalicyjnego bolszewików i lewych eserowców, uroczyście wręczył przewodniczącemu fińskiego senatu

Pehrowi Evindowi Svinhufvudowi akt uznania niepodległości Finlandii. Na terytorium kraju znajdowały się jednak liczne zbolszewizowane garnizony armii oraz floty bałtyckiej rosyjskiej i akt ten miał znaczenia praktycznego. Lenin i jego bolszewicy uważali, że kwestia zbolszewizowania Finlandii stanowi jedynie kwestię czasu, w rzeczywistości bowiem kraj znajdował się pod okupacją bolszewicką.

Po powrocie Mannerheim wszedł w skład Komitetu Wojskowego przy rządzie Pehra Svinhufvuda, a na początku stycznia objął stanowisko głównodowodzącego armii fińskiej, którą w rzeczywistości trzeba było stworzyć od podstaw. Mannerheim natychmiast wyjechał ze północy kraju, gdzie rosyjskich garnizonów prawie nie było. Natomiast stolica kraju, Helsinki (Gelsinki), została opanowana przez fińską Czerwoną Gwardię przy poparciu żołnierzy rosyjskich. Już w marcu 1918 r. Mannerheimowi udało się ze wsparciem sił samoobrony (szutkzok) stworzyć 70-tysięczną armię, która powoli rozpoczęła natarcie na południe. W Finlandii rozpoczęła się wojna domowa, wojna bezlitosna, krwawa, która na długo pozostawiła ślad w zbiorowej pamięci Finów.

Początkowo przewaga była po stronie Czerwonej Gwardii, która za przykładem swych rosyjskich towarzyszy stosowała bezwzględny terror wobec przeciwników politycznych. Zwyciężyć Mannerheimowi udało się przy pomocy armii niemieckiej. W marcu, po zerwaniu rozmów pokojowych między Rzeszą niemiecką i jej sojusznikami a bolszewikami w Brześciu, na terytorium Finlandii wylądował ekspedycyjny korpus niemiecki pod dowództwem gen. von der Goltza. Do końca kwietnia całe terytorium kraju zostało wyzwolone. Wojna domowa się skończyła i 16 maja odbyła się w Helsinkach parada zwycięstwa, na której Mannerheim kroczył na czele swych wojsk. Nie wszystkie jednak fińskie ziemie historyczne weszły w skład nowo powstałego państwa. W Rosji



Rodzina Mannerheimów. Z prawej:
Carl Gustaf

FOT. WIKIPEDIA

pozostały Karelia, część guberni ołonneckiej i archangielskiej z przeważającą ludnością fińską.

Zwycięstwo to przyniosło jednak Mannerheimowi pewne rozczarowanie. Był on od początku przeciwnikiem sojuszu z Niemcami, uważał, że Finowie są zdolni obronić niepodległość własnymi siłami. Mimo chwilowych zwycięstw armii Rzeszy niemieckiej na froncie wschodnim był on przekonany, że Niemcy skazani są na porażkę w tej wojnie. Nie był także zadowolony z podporządkowania armii fińskiej niemieckim generałom. Dlatego po parady zwycięstwa prawie natychmiast podaje się do dymisji i wyjeżdża do Szwecji.

Zwycięstwo ententy w pierwszej wojnie światowej ostatecznie przypieczętowało odzyskanie fińskiej niepodległości. Mannerheim wraca do kraju jako bohater narodowy. Parlament ogłasza go regentem Królestwa Finlandii. W kraju planowano wprowadzenie monarchii, odłożono to jednak na później. W sąsied-

niej Rosji szalała pożoga wojny domowej. Mannerheim wcale nie planował bezczynnie przypatrywać się fali krwawego terroru, która rozlała się po byłym imperium. Uważał, że jego zwycięstwo nad bolszewizmem w Finlandii może stać się częścią wielkiego zjednoczonego pochodu wszystkich sił antybolszewickich przeciwko nowej władzy. Niestety tak jak w Polsce w Finlandii zwyciężyła koncepcja nieingerowania w wewnętrzne sprawy rosyjskie, obawiano się bowiem wskrzeszenia Imperium Rosyjskiego. Osłabiona bolszewicka Rosja, jak sądzono, powinna była stać się gwarancją zachowania niepodległości.

W kwietniu i maju 1919 r. Mannerheim jako głowa państwa fińskiego prowadził rozmowy z Wielką Brytanią na temat zwalczania bolszewizmu. Zwrócił się do Brytyjczyków z prośbą o udzielenie pożyczki 15 mln funtów na potrzeby wspólnego z białymi Rosjanami pochodu na Moskwę. Odmówiono mu. Nie udało się również uzyskać od przy-

wódców białych – Kołczaka, Denikina i Judenicza – jednoznacznego zapewnienia o nieodwracalności aktu proklamowania niepodległości Finlandii w razie ich zwycięstwa nad bolszewikami.

Prorosyjska antybolszewicka postawa Mannerheima miała także osobisty aspekt. W Moskwie pozostawała matka jego jedyne go syna, z którą wiązało go głębokie uczucie. Możemy przypuszczać, że uzyskanie rozvodu w 1919 r., kiedy wokół jego osoby odbywały się tak dramatyczne wydarzenia (w lipcu 1919 r. Mannerheim przegrał wybory prezydenckie), też było związane z jego planami związania się z Katarzyną Geltzer. Nie wiedział na pewno przyszły marszałek, że ona z kolei na dobre i złe związała się z nową bolszewicką władzą...

Czerwona balerina

Rewolucja bolszewicka otworzyła przed primabaleriną Teatru Wielkiego unikatowe możliwości twórcze. Geltzer pozostała niemal jedyną baleriną z elity rosyjskiego baletu, która nie zdecydowała się na emigrację. Po rewolucji bolszewickiej większość czołowych artystów teatrów Maryjskiego i Wielkiego, na czele z Diagilewem, wyemigrowała. Geltzer została, ponieważ uczyniono ją niekwestionowaną gospodynią Teatru Wielkiego. I taką gospodynią pozostawała prawie do samego odejścia na emeryturę. Georgij Balancziwadze (George Balanchine), Matylda Krześcińska, Wacław Niżyński, Bronisława Niżyńska, Siergiej Diagilew, Michaił Fokin, Anna Pawłowa, Tamara Korsawina, Adolf Bolm, Ludmiła Szollar, Wera Koralli, Lubow Czernyszowa i wielu innych wybrało emigrację, zasilając zespoły baletowe w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Wielkiej Brytanii i wielu innych krajach.

W Paryżu powstał słynny na cały świat rosyjski balet Diagilewa. Geltzer pozostała jakby na pustkowiu baletowym i podjęła się rzeczy prawie niemożliwej – odbudowy rosyjskiego baletu pod egidą bolszewicką. Na stanowisku primabaleriny teatru Bolszoi była poza konkurencją. Wychodziła na scenę aż do siedemdziesiątki, co dla tancerki było rzeczą wyjątkową. Już w roku 1925 otrzymała tytuł Ludowej Aktorki Związku Sowieckiego. Ale najważniejsze, że została swoistym dyktatorem w rosyjskim balecie. Nikt

nie mógł sprzeciwić się jej pomysłom i kaprysom. Była blisko zaprzyjaźniona z ludowym komisarzem oświaty Anatolijem Łunaczarskim, który ją faworyzował. Jako twórczyni i jako aktorka otrzymała ogromne możliwości pracy.

Tego wszystkiego na pewno nie wiedział Carl Gustaf Mannerheim, który po przegranych wyborach prezydenckich przeżywał kryzys duchowy. Kryzys ten pogłębił również zamach na jego życie organizowany przez fińskich bolszewików. Przerzucony z Rosji komunistą Karl Salo kilkakrotnie strzelał do generała. Nie trafił. Po zamachu Mannerheim ponownie opuszcza Finlandię, mieszka we Francji, w Wielkiej Brytanii, Szwecji i Danii. Powoli odzyskuje równowagę i w 1921 r. wraca do ojczyzny, ale podobnie jak marszałek Józef Piłsudski początkowo unika aktywnego angażowania się w życie polityczne. Stoi na uboczu, przygląda się procesom kształtowania się pełnowartościowego życia politycznego w odrodzonym kraju.

Dalej, jak pisze Simon Morrison, odbywają się rzeczy niewiarygodne. 57-letni były carski generał w styczniu 1924 r. nielegalnie, razem z dwoma ochroniarzami, przedostaje się do Moskwy. Spędza w Rosji sowieckiej kilka dni, spotyka się z Katarzyną Geltzer i namawia ją do wyjazdu razem z nim za granicę. Proponuje połączenie się z synem i założenie rodziny. Są również nie do końca wiarygodne informacje na temat potajemnego ślubu według obrządku prawosławnego między baleriną i przyszłym marszałkiem. Geltzer mimo swego niemieckiego pochodzenia została ochrzczona w obrządku prawosławnym. To wszystko odbywa się w czasie żałoby narodowej, ogłoszonej w Związku Sowieckim po śmierci Lenina. Mannerheim z Geltzer nawet uczestniczyli w pogrzebie bolszewickiego wodza.

Po kilku dniach nielegalnego pobytu Mannerheim opuszcza jednak Związek Sowiecki. Sam. Prawdopodobnie balet był w życiu Katarzyny Geltzer rzeczą najważniejszą i nie chciała ona zamieniać błyskotliwej kariery na ciche życie rodzinne w cieniu byłego carskiego generała. Autorzy rosyjskiego filmu dokumentalnego poświęconego relacjom między Geltzer i Mannerheimem twierdzą natomiast, że ucieczce z Kraju Rad przeszkodziła ciężka choroba primabaleriny Teatru Wielkiego. W czasie pogrzebu Lenina w Moskwie był mróz do minus

25 stopni Celsjusza. Żle ubrana Geltzer nabawiła się zapalenia płuc.

Syn w SS

To było ostatnie spotkanie zakochanych. Są jeszcze nie do końca wiarygodne informacje, że syn Mannerheima, Emil, odwiedził Moskwę w 1927 r., kiedy w Związku Sowieckim jeszcze istniały stosunkowo liberalne obyczaje i okrutna dyktatura stalinowska była jeszcze w powijakach. Tajny list z prośbą o odwiedzin matki dostarczyła mu wybitna aktorka i jedna z najbliższych przyjaciółek Geltzer – Olga Knipper-Czechowa, wdowa po genialnym pisarzu rosyjskim Antonie Czechowie. Jak przebiegło jego spotkanie z matką i czy w ogóle się ono odbyło? Tego nie wiemy.

Mieszkający w Niemczech Emil wychował się na gorącym zwolenniku narodowego socjalizmu. W Rzeszy posługiwał się przybranym nazwiskiem Kraemer. Przyłączył się do SS i zginął w roku 1943 w niewyjaśnionych okolicznościach. Prawdopodobnie na froncie wschodnim. Istnieje także wersja, że był ciężko ranny w czasie działań bojowych i do końca życia pozostał inwalidą. Ostatnie lata spędził w Szwajcarii w prywatnym szpitalu z całodobową opieką u boku ojca, który nie przypadkiem wybrał ten kraj na swe ostatnie lata życia. Emil zmarł w Szwajcarii kilka miesięcy przed odejściem z tego świata samego Carla Gustafa Mannerheima.

Gorącym zwolennikiem narodowych socjalistów był także urodzony w 1927 r.

syn Emila, nazwany na cześć dziadka Carlem Gustafem. Bezpieczeństwem syna i wnuka przywódcy sojuszniczej Finlandii w III Rzeszy zajmował się osobiście szef SS Heinrich Himmler. Wnuk Mannerheima wojnę przeżył, ale w obawie przed prześladowaniami, tak jak wielu innych narodowych socjalistów, wyemigrował po wojnie do Ameryki Łacińskiej. W 1959 r. na fali Chruszczowej odwilży Carl Gustaf młodszy odwiedził swą 83-letnią babcię w Moskwie. Są świadectwa, że wielka balerina, prawie już niewidoma ze starości, płakała ze szczęścia, kiedy poznała wnuka. Katarzyna Geltzer zmarła w 1962 r., 11 lat po śmierci w Szwajcarii marszałka Mannerheima.

Gwoli sprawiedliwości odnotujemy, że mało kto w Związku Sowieckim mógł prowadzić tak rozkoszne i beztrudne życie jak Katarzyna Geltzer. Należała do bardzo wąskiej elity kulturalnej, mającej wyjątkowo wysoki standard życia. Świadczy o tym niezbyt ciekawy fakt. W październiku 1941 r., kiedy Niemcy zbliżali się do Moskwy, jej kolekcja dzieł sztuki została uznana za część skarbu narodowego i ewakuowano ją ze stolicy na Syberię, tak samo jak zbiory czołowych muzeów państwowych. Była laureatką nagrody stalinowskiej pierwszego stopnia, odznaczona najwyższym orderem Lenina. Czy była w tym całym przepychu życia w stalinowskim rajku szczęśliwa?

Wydawało się, że tajemnica jej romansu z jednym z największych wrogów Związku Sowieckiego nigdy nie zostanie ujawniona. Tak się jednak nie stało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Dom rodzinny Mannerheima w Askainen
– Masku FOT. MIKA PÖPKEN/WIKIPEDIA

Satyryczna mapa Europy

FOT. DOMENA PUBLICZNA



II RP / Projekty integracyjne konserwatystów polskich

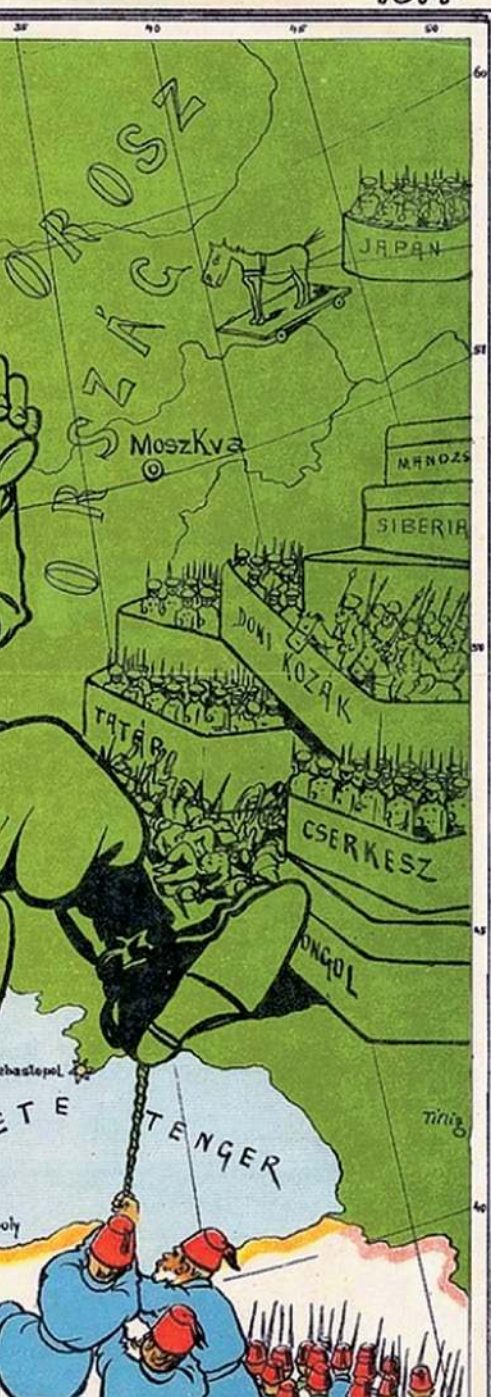
Na straży Starego Kontynentu

W początkach XX stulecia Polacy, bez względu na polityczną etykietę, byli autorami wielu interesujących koncepcji integracyjnych: socjaliści brali udział w budowie ruchu paneuropejskiego, ludowcy proponowali federalizm ekonomiczny, nawet niektórzy nacjonalisci rozważali częściową rezygnację



Piotr Kosmala

/ Dzisiaj projekty federacji europejskiej kojarzą się z lewicą. Kiedyś o zjednoczeniu kontynentu marzyli polscy konserwatyści



Władysław Studnicki FOT. NAC

– zdecydowanie wyprzedzając swój czas.

Konserwatyści nigdy nie stanowili jednorodnej grupy politycznej, ich stanowiska europejskie różniły się, często stanowiąc przedmiot gorących sporów w gronie przedstawicieli samych środowisk zachowawczych. No bo jak pogodzić ogień z wodą? Integrację polsko-czecho-słowacką z likwidacją czeskiej państwowości? Albo sojusz z Niemcami oraz blok środkowoeuropejski, mający stanowić skuteczną zaporę przeciw zachodnim sąsiadom Polski?

Na straży Christianitas

Siedemdziesiąt lat przed podpisaniem traktatu z Maastricht o stworzenie „Stanów Zjednoczonych Europy” upominał się Emanuel Małyński, polski hrabia z Wołynia, podróżnik i ekscentryk, który poza stosunkami międzynarodowymi interesował się także lotnictwem i był jednym z jego europejskich pionierów. Przekonany, że polityka prezydenta Woodrowa Wilsona i traktat wersalski prowadzą do kolejnego konfliktu zbrojnego, Małyński postulował odbudowę stosunków wewnątrz europejskich na bazie solidarności i przywrócenego zaufania pomiędzy narodami – wszystko to wobec zagrożeń

nia ze strony pozaeuropejskich wrogów. Jego projekt miał charakter głęboko katolicki, międzynarodowe porozumienie miało stać się „na straży Christianitas”, a integracja Europy – oparta na mniejszych, regionalnych blokach i ich integracji – miała powstrzymać widoczny już wówczas gospodarczy i militarny uwiad Starego Kontynentu oraz odsunąć Sowieci i Stany Zjednoczone od wpływu na politykę europejską.

W publicystyce Małyńskiego pojawiały się także inne postulaty charakterystyczne dla konserwatystów, takie jak ustanowienie strefy wolnego handlu i zewnętrznych celi zaporowych, wspólna polityka fiskalna i jedna waluta oraz łączenie współpracy gospodarczej z polityczną i wojskową. Jak przystało na zachowawcę, Małyński tęsknił za monarchią austro-węgierską – winił za jej upadek siły pozaeuropejskie i proponował jej odtworzenie w formie federalistycznej.

Europejskie Stany Zjednoczone

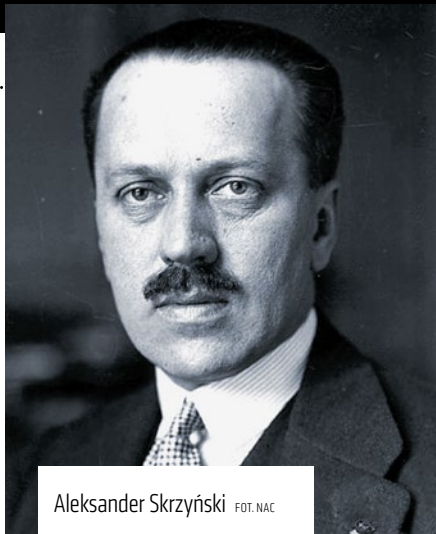
W lipcu 1925 r. hr. Aleksander Skrzyński przebywał z wizytą w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Polskiego ministra spraw zagranicznych zaproszono do wygłoszenia serii odczytów, choć jego wizyta miała charakter

z suwerenności państwowej na rzecz zinstytucjonalizowanej współpracy międzynarodowej. Na tym tle polska myśl konserwatywna rysuje się w sposób wyjątkowy, jej twórcy przemawiając bowiem zwykle w języku twardej Realpolitik, wypracowali interesujące koncepty międzynarodowe nie tylko wykraczające poza utarte wówczas podziały polityczne, lecz także – jak można ocenić z dzisiejszej perspektywy

■ państwowy, obejmujący spotkanie z prezydentem J.C. Coolidge'em. Wobec nasilającej się antypolskiej propagandy Skrzyński chciał zaprezentować Polskę jako kraj stabilny, przewidywalny i prowadzący politykę pokojową. Taki też przekaz miało jego wystąpienie na konferencji w Instytucie Politycznym w Williamstown 30 lipca, gdzie Aleksander Skrzyński przedstawił po raz pierwszy swoją autorską propozycję utworzenia „Europejskich Stanów Zjednoczonych”.

Pomysł wywodził z kilku źródeł. Pierwszym był oczywiście system Stanów Zjednoczonych Ameryki – konfrontując tendencje polityczne po obu stronach Atlantyku, Skrzyński stawiał Amerykę za wzór Europie, targanej przez podziały i zagrożonej komunizmem. Inną inspirację widział w historii Polski, przypominając amerykańskim słuchaczom dzieje unii polsko-litewskiej, gdzie „Polska sprzed czterystu lat była założycielką nowej historycznej organizacji – Wolnej Unii Narodów. Tak zwana unia lubelska z Litwą i zachodnią Rosją była wynikiem nie podboju i łupieży, lecz wspólnej sympatii i względu na wzajemne interesy. W taki to sposób zostało zbudowane państwo o powierzchni wynoszącej jakieś 300 tys. mil kw., stanowiące jedną z naczelnnych potęg europejskich, jako też pełniące wielkie i szlachetne posłannictwo w służbie cywilizacji chrześcijańskiej. Unia ta nie była sztucznie narzucona, stanowiła raczej rozwój organiczny”.

Idealistyczny i świadomie chyba niedopowiedziany koncept Europejskich Stanów Zjednoczonych próbował Skrzyński częściowo realizować – także jako premier rządu – na forum Ligi Narodów oraz w relacjach z mniejszymi sąsiadami, przede wszystkim Czechosłowacją, myślał nawet o stworzeniu z nią jakiegoś „słowiańskiego bloku”. Plan ten nigdy nie został urzeczywistniony, głównie ze względu na politykę Pragi, obawiającej się zaognienia stosunków ze Związkiem Sowieckim. Tymczasem konserwatyści z przeciwnego obozu politycznego, skupieni wokół wileńskiego dziennika „Słowo”, głośno krytykowali pomysły ograniczania suwerenności w zamian za związek z „państwem bez przyszłości” (Stanisław Cat-Mackiewicz o Czechosłowacji), a Adolf Bocheński, szerzej patrząc na podejmowane przez



Aleksander Skrzyński FOT. NAC



Adam Romer FOT. NAC

Skrzyńskiego starania, pisał nawet o głosach „z Krakowa”, które „wyraźnie były zarażone antynarodowym pacyzmem”.

Tymczasem samo „Słowo”, jeden z najpopularniejszych wówczas dzienników, było najważniejszą chyba w okresie II Rzeczypospolitej trybuną myśli integracyjnej, głównie za sprawą obecnego często na jego łamach Władysława Studnickiego, nazwanego po latach przez Sławomira Cenckiewicza „wizjonerem integracji europejskiej”.

System polityczny Europy

Studnicki uzależniał pokojowy rozwój Europy od obalenia systemu wersalskiego i wypchnięcia Rosji daleko na wschód oraz utworzenia w oparciu

o Polskę i Niemcy zintegrowanego organizmu, który miał zapewnić bezpieczną współpracę europejską oraz umożliwić konkurencję państw europejskich w starciu z pozaeuropejskimi potęgami. W swojej najważniejszej książce „System polityczny Europy a Polska” (1935) na bazie zbliżenia polsko-niemieckiego zaproponował budowę bloku europejskiego, do którego przyłączyłyby się kolejne państwa – Węgry i Rumunia, kraje bałtyckie, Jugosławia (co ostatecznie rozbiłaby Małą Ententę), wreszcie Bułgaria, Grecja i Turcja. Dzięki tym ostatnim Europa miała sobie zapewnić wejście do Azji, zdobycie kolejnych rynków, a przez to stać się potęgą polityczną oraz gospodarczą, co uznawał za przejaw „polskiego imperializmu” („jeżeli przez imperializm rozumiemy dążność do potęgi”), a przy tym „politykę śmiałą, konsekwentną, dającą podstawę do nowej organizacji Europy Środkowej, organizacji, zapewniającej nam bezpieczne warunki bytu i pomyślnego rozwoju”.

Uważny czytelnik zwrócił z pewnością uwagę na nieobecność w tej koncepcji Francji, uważanej zwykle za integralną część projektów europejskich. Dla Studnickiego, krytycznie oceniającego europejską politykę Paryża, nie było to takie oczywiste, wołał stawiać ultimatum: „Francja ma przed sobą do wyboru – albo w przymierzu z Eurazją zwalczać konsolidację Europy Środkowej, [...] słowem, być zdrajcą Europy, albo wejść do współpracy gospodarczej z Europą Środkową [...]. Zależnie od wyboru jednej lub drugiej drogi będzie miała Polskę przeciw lub za sobą”.

Promieniowanie „Paneuropy”

Nieco łagodniejszy wobec Francuzów był uczeń Studnickiego i redaktor naczelny „Słowa” Stanisław Mackiewicz, miłośnik Francji i jej kultury, widząc w niej element równoważący potencjał polski i niemiecki, a finalnie niezbędną część bloku europejskiego: „Franko-polsko-niemieckie porozumienie umożliwi Polsce odgrywanie aktywnej roli w szerszym aniżeli polityka europejska polu polityki międzynarodowej. Wtedy Polska może być kłamrą pomiędzy



PIOTR KOSMALA „NA STRAŻ STAREGO KONTYNENTU”

CENTRUM EUROPEJSKIE NATOLIN

[...] blokiem kontynentalnym a Anglią i wtedy może aktywną rolę odegrać wobec Rosji i w Rosji. Nie należy tu mieć małych ambicji” – pisała na łamach „Słowa” Cat.

Mackiewicz z ciekawością przyglądał się zresztą francuskim projektom „Paneuropy”, najpoważniejszemu w tamtym okresie projektowi integracyjnemu. Krytyczny wobec jej fałszywego pacyfizmu traktował „Paneuropę” jako przejaw ograniczania wpływu państw mniejszych i słabszych, w tym i Polski, na stosunki międzynarodowe. Był także przekonany, że projekt ten z zasady był wymierzony w Stany Zjednoczone i że mimo głoszonego uniwersalizmu stały za nim prozaiczne interesy największych państw europejskich przegrywających konkurencję z USA. Bliski był jednak także, podobnie jak innym konserwatywnym politykom, antysowiecki wydźwięk koncepcji austriackiego arystokraty, a na zagrożenie bolszewickie mieli razem ze Studnickim remedium w postaci „mocnego centrum” opartego na bloku polsko-niemieckim. I chociaż z pewnością projekt takiego bloku wypracowany w redakcji „Słowa” przedkładał nad pomysły zachodnioeuropejskich polityków, to jednak potrafił docenić wagę tych ostatnich, skoro zimą 1931 r. w korespondencji ze Szwajcarii pisał: „Właśnie teraz w Genewie dzieją się rzeczy o wiele dla Polski ważniejsze niż wszystkie zajęcia górnośląskie, ich przegrane i wygrane razem wzięte. Są to narady w sprawie Paneuropy i narady w sprawie rozbrowienia. Tu naprawdę rzeźbi się, kuje się w metalu twardym przyszłość historyczna Polski. Nie można za mało podkreślać, że te kwestie mają dla Polski zupełnie zasadnicze znaczenie”.

Inny konserwatysta, Adam hr. Romer, wyprawiając paneuropejską wspólnotę z zasad chrześcijańskich, apelował, by katolicy znów wzięli odpowiedzialność za

obronę kontynentu i nie rezygnowali z aktywności na forum inicjatyw zjednoczeniowych. Dostrzegając wpływ na Paneuropę przedstawicieli środowisk wrogich chrześcijaństwu, „masonerii i międzynarodowej finansjery żydowskiej”, winę za ten stan rzeczy przypisywał samemu katolikom i ich brakowi zainteresowania projektem, gdy „tak łatwo ten naturalny prymat dają sobie wyrwać i przyczyniają się w ten sposób do wypaczenia wzniosłej idei pacyfizmu na rzecz tendencji zakonspirowanych i prawdziwemu pokojowi wrogich”.

Polska zaborczość

Projekty integracyjne konserwatystów nie miały bynajmniej wyłącznie charakteru defensywnego. Przykładem

może być argumentacja z września 1938 r. na rzecz „bloku środkowoeuropejskiego” autorstwa Zygmunta Diehla, który – odwołując się do idei jagiellońskiej – pisał jednocześnie o konieczności odebrania polskich ziem zagrabionych przez sąsiadów i o tradycjach „polskiej zaborczości”, polegającej na „podnoszeniu do wolności i braterstwa”. Używał przy tym zgrabnych sformułowań „ekspansywności organizatorskiej” oraz „tarana”, argumentując: „Niepraktyczny tytuł »przedmura chrześcijaństwa i kultury«, którym naiwnie się chęlimy, a który zawsze tylko kurczenie się naszego państwa przed każdą obcą nawałą powodował, zamienić winniśmy na inny tytuł: »tarana« chrześcijaństwa i kultury, który rozbijać ma i zagarniać (w takiej czy innej formie) tych wrogów i te obszary, które nam są potrzebne do stworzenia wielkiego państwa, resp. zespołów państwowych pod przewodnictwem naszym w pewnych naturalnych granicach między Morzem Bałtyckim a Czarnym celem ostatecznego osłabienia naszych wrogów i zapewnienia Polsce trwałego bezpieczeństwa”.

Te dwa cele nie zostały, jak wiadomo, zrealizowane. Napaść Niemiec na Polskę w 1939 r. w brutalny sposób przekreśliła większość intelektualnych konceptów integracyjnych, często opartych na związkach Warszawy i Berlina. Kolejne klęski i niepowodzenia znaczyły koniec kolejnych złudzeń polskich konserwatystów. A jednak część ich europejskiej refleksji zachowała elementy aktualne także i dzisiaj. Warto o tym pamiętać, analizując współczesne tendencje zjednoczeniowe w Europie bez ideologicznego zacietrzewienia i resentymentów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Kosmala jest doktorem nauk społecznych w zakresie nauki o polityce, niedawno ukazała się jego książka „Na straż Starego Kontynentu. Jedność Europy w polskiej myśli konserwatywnej lat 1914–1945” (Warszawa 2020).



Emanuel Małyński podczas polowania

FOT. SALONTRADYCJI.POLSKIEJ.PL



Krzysztof Masłoń

/ Józefa Czechowicza z pewnością nie doceniono tak, jak na to zasłużył. I za życia, i po śmierci

9 września 1939 r. poeta Józef Czechowicz wraz z trzema znajomymi po trwającej trzy dni peregrynacji z Warszawy dotarł do rodzinnego Lublina. „Znany ze schludności i pedanterii Czechowicz – pisze Igor Biełow – postanowił po męczącej podróży doprowadzić się do ładu. Poszedł do zakładu fryzjerskiego u pani Ostrowskiej, mieszczącego się na rogu ulicy Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia, aby się ogolić i umyć. Jego współtowarzysze poszli za nim. W tym momencie zawyły przeciągłe syreny obrony przeciwlotniczej. Nad miasto, jak sępy, nadleciały niemieckie bombowce. Kilka bomb trafiło w budynek, w którym znajdował się fryzjer, a jedna z nich przebiła strop i wpadła wprost do zakładu.

Jednak dziwnym trafem akurat ta bomba nie wybuchła. Wszystkie dziecięce osoby, które znajdowały się w tamtej chwili w zakładzie fryzjerskim, rzuciło się na podłogę pod ścianę i ocalało. Zginął jedynie Czechowicz, który według słów Domańskiego »skoczył w przeciwnym kierunku [...], rzucił się wprost na bombę, jakby go ciągnęła magnesem«. W jednej chwili poetę zasypały odłamki”.

Tę śmierć przepowiedział sobie, i w wierszu, i w felietonie, jego katastrofizm miał więc również osobiste podłoże. O tym, kiedy i jak jego szczątki zostały pochowane, krążyły różne, sprzeczne ze sobą relacje. W każdym razie koledzy poszli na wódkę. Tak uczcili pamięć najwybitniejszego poety lubelskiego – z pewnością jednak nie tylko – niedocenionego tak, jak na to zasłużył. I za życia, i po śmierci.

Wieczór i nieszpór

Przeżył 36 lat. Pochodził z ubogiej rodziny, był czwartym dzieckiem



FOT. MAC

1903–1939 / Liryk nie tylko lubelski

Złoty kołacz Józefa z Lublina

Małgorzaty z Sułków i Pawła Czechowicza. Ojciec, woźny w lubelskim Banku Handlowym, osierocił go w roku 1912 na skutek powikłań po przebytej kile, które spowodowały u niego chorobę psychiczną. Po śmierci męża matka poety objęła tę samą posadę, starając się zapewnić dzieciom wykształcenie. Józef był wyróżniającym się uczniem, stosunkowo szybko się usamodzielniał, ukończył seminarium nauczycielskie i podjął pracę w szkolnictwie. W międzyczasie zaciągnął się jako ochotnik do wojska i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Następnie kontynuował naukę w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, po czym do 1932 r. uczył w szkołach, m.in. na Wileńszczyźnie i Wołyniu.

W 1923 r. współtworzył czasopismo literackie „Reflektor”, w którym zadebiutował prozą (!) i to wydrukowaną anonimowo – z powodu przeoczenia – „Opowieścią o papierowej koronie”, dziś poddawanej szczegółowemu egzegezie jako literacki dowód homoseksualizmu autora, obecnie uchodzącego za ikonę LGBT. Warto jednak w tym miejscu przytoczyć opinię Jarosława Cymermana z lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, przypominającego, że „Czechowicz sam się śmiał przy okazji pojawiających się sugestii o jego odmiennej orientacji seksualnej”. A w 1936 r. w liście do Stanisława Czernika pisał: „Maluczko, a Boy i Krzywicka, zaśmieszawszy o moich krzywdach moralnych, wezmą mnie publicznie w obroty! Tego tylko brakowało!”. „Bez względu na to, jak było faktycznie, sam Czechowicz swoje życie prywatne chronił, trzeba to uszanować i nie robić z niego ikony homoseksualizmu. Sądzę, że to droga donikąd, bo w ten sposób zabijamy jego twórczość, sprowadzamy ją na manowce”. No cóż, całkiem niedawno, bo w 2011 r., ukazało się dzieło Tomasza Kaliściaka z Uniwersytetu Śląskiego, którego Józef Czechowicz jest jednym z czterech bohaterów, zatytułowane, jakżeby inaczej, „Katastrofy odmienców”.

Cztery lata po – niefortunnym raczej – debiucie prozatorskim Czechowicza został wydany jego pierwszy tom poetycki: „Kamień”. Jak najsłuszniej zyskał więcej niż przychylnie opinie krytyki i niebawem z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego otrzymał stypendium na wyjazd do Francji. To z tego zbioru pochodzi sławny wiersz „na wsi”:

*siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach
popołudnia wiejskie grzeję żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbrzyskanych blach
życie – pola – złotolite*

*wieczorem przez nieba pomost
wieczór i nieszpór
mleczne krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu*

*nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to ule białego puchu
dmuchawiec*

*księżyc idzie srebrne chusty prać
świerczyki świergocą w stogach
czegóż się bać*

*przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem*

Czas poczęcia i dojrzewania

Charakterystyczne, że dwaj autorzy wyborów wierszy Czechowicza, i to tej rangi co Tadeusz Różewicz i Bohdan Zadura, we wstępie swoich rozważań o tej poezji zastrzegali się, że propozycje wydawców przyjmowali

z oporami. Zadura, zastanawiając się, co go odstręczało od utworów lubelskiego poety, pisał:

„Jej awangardowy rodowód? Zapewne. Skoro nie trafiała do mnie twórczość żadnego poety z kręgu awangardy, dziwne byłoby, gdyby przemówił do mnie właśnie Czechowicz. Tak jak wiersze Przybosia, zlewały mi się w jedną nieokreśloną magmę i poza »Notre Dame« nie potrafiłem zachować w pamięci żadnego tytułu i powiązać go z konkretną treścią, tak i wiersze Czechowicza wkrótce po ich lekturze traciły swe indywidualne rysy. Nie sprzyjała nawiązaniu kontaktu z nimi moja alergia na pewne słowa – stwierdzenie »jestem junak gniewu« pointujące wiersz »złe dwie minuty« burzy mi cały nastrój, w jaki wprowadziło mnie dwadzieścia poprzedzających go linijek. Analogicznie dzieje się w »lecie na Wołyniu«, gdzie wyodrębniony ostatni wers »hej« jest dla mnie nie do strawienia, natomiast z wykrzykników nie razi mnie »ach« i »och«; jest to uczulenie śmieszne, ale rzeczywiste. Nie przepadam za deminutywami, a zdrobnień u Czechowicza sporo. Wreszcie nie jestem czuły na pewien typ ludowości, a ona właśnie współtworzy oryginalność Czechowicza.

Do jednej jeszcze rzeczy trzeba się przyznać – kontynuował ten rejestr uprzedzeń Bohdan Zadura – do wieloletniej awersji do Lublina. Nie lubiłem tego miasta – jego tynków, jego zapachów, szarego, brudnego śniegu topniejącego na jego chodnikach, ludzi na Lubar-towskiej i 1 Maja, pijackiego folkloru zaniedbanego Starego Miasta. Lublin wydawał mi się za duży i jednocześnie za mały [...]”.

Czyżby i Czechowicz miał być taki sam, za duży i za mały zarazem?

Różewicz zaś wyznawał: „Jako odbiorca poezji przechodzę różne okresy. W tych okresach różnie odbieram tych samych poetów. Raz lepiej, raz gorzej. Czechowicz dość dawno zaczął ode mnie odchodzić. Nie ściagałem go, nie czułem potrzeby obcowania z jego poezją”. Jak widać, do czasu. Gdy przekonał się do twórczości lubelskiego poety, nacisk położył na jego, dość specyficznie pojmowaną, prowincjonalność: „Czechowicz cały jest z prowincji, cały ze snu, muzyki, ciszy, zaśluchania. Ze słabości. Nie wiejski i nie miejski. Poeta pogranicza. Jest jak łąka podmiejska, ■



Józef Czechowicz debiutował na łamach „Reflektora” w 1923 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

pełna zapachu ziół, kwiatów i traw, ale dolatują tu odgłosy miasta. Z obłokami miesza się fabryczne dymy... [...]. Czechowicz to poeta prowincji, który pozostał do końca poetą prowincji, choć przestał być poetą prowincjonalnym. To przekształcenie się jest jednym z najbardziej zawiłych i tajemniczych procesów rozwoju twórcy. [...] Można żyć w Paryżu, umrzeć w Konstantynopolu i pozostać do śmierci poetą Nowogródka, poetą prowincji. Tyle że Mickiewicz był geniuszem. Olbrzymem. Kochankiem nie tylko pani Kowalskiej z Kowna, lecz także kochankiem całego Narodu, był przeciwnikiem nie tylko pana Koźmiana, lecz także samego Pana Boga.

Można żyć i działać w Warszawie i pozostać poetą Włodzimierza i Lublina. Nawet kiedy Czechowicz pisze »dom świętego kazimierza«, to jest w tym paryskim poemacie o Norwidzie prowincja, jest życie na marginesie człowieka uboższego... »Spokojnie miękko świeci chwila bez godziny«. Czas w tym poemacie jest czasem mierzonym przez prowincjonalne zegary. To nie jest czas wielkiego miasta, to jest czas miasteczka, czas wsi... A może jest to czas »poetycki«, jakiś specjalny czas, czas poczęcia i dojrzewania poezji».

Może... Przywołam jednak raz jeszcze Jarosława Cymermana: »Popularny jest pogląd, że Czechowicz jest passé w polskiej poezji. Tylko że bez niego nie byłoby Baczyńskiego, Gajcego, zachwycił Miłosza i Herberta. W sytuacji, gdy tak wiele wielkich nazwisk było nim zafascynowanych, mówienie, że Czechowicz nie ma już nic do zaoferowania, jest nieporozumieniem».

Poeta immoralista

Ciekawe, że przed laty ani Tadeusz Różewicz, ani Bohdan Zadura nie uznali za stosowne choćby napomknąć o homoseksualizmie autora tomu »nic więcej«. Nie przeoczył tego faktu, jednak istotnego dla twórczości Czechowicza, Czesław Miłosz. Pewnie dlatego, że go znał – i to bardzo dobrze, a może z innych przyczyn, w każdym razie w 1954 r. wspominał okoliczności, w jakich się poznali – 20 lat wcześniej:

„Pracował wtedy w Związku Nauczycielstwa Polskiego jako redaktor »Pło-

myczka«, pisma dla najmłodszych (zarówno »Płomyk« jak »Płomyczek« odznaczały się doskonałym doбором ilustracji i tekstów). Biura Związku w nowoczesnym domu przy ulicy Smulikowskiego to przykład Polski lepszej, która wyłaniała się przecie – mam na myśli po prostu wygląd, stronę zewnętrzną czy architekturę i czystość, i sensowność ludzkiej pracy – dlatego [po przyjeździe z Wilna – przyp. K.M.] dobrze się czułem w nowych dzielnicach Warszawy, jak np. w tym, co powstawało koło Filtrowej. W kompleksie budynków Związku Czechowicz miał małe mieszkanie na parterze. Bardzo wygodnie – żeby wracać w nocy z łamania numeru, musiał zrobić tylko kilka kroków przez asfaltowe podwórze. W mieszkaniu kilimy, rzeźby ludowe, płyty, książki. Drugim lokatorem był bratanek – niech będzie bratanek – Inianowłószy Stefanek, chłopak wielkiej naprawdę piękności. Ciągłe dłubał w swoich śrubach i sprzęgłach – chodził do szkoły mechanicznej i został później mechanikiem.

U Czechowicza na Smulikowskiego nic z zezowato-podejrzanej magmy warszawskiej, jego dwór stał na uboczu, jakby na wsi. Czeredy młodych pisarzy nawiedzały jego siedzibę, wylegiwały się na tapczanach i pożyczaly pięć złotych na wódkę. Ale to wszystko inne, raczej sielskie, spokojna dobroduszość gospodarza, żadnej potrzeby obronności. Brak pieniędzy, brak nazwiska nic tu nie szkodziły, a pryncypialne kłótnie nie ściągały niczych sarkazmów. Każdy więc tutaj wędrował jak do oazy życia prostszego i łatwiejszego. Obecność Stefanika akceptowano w sposób naturalny. Nigdy szczególne przyjaźnie Czechowicza nie przyczyniały mi przykrości, ich gatunek był mało agresywny».



Sam się jednak z agresją spotkał; 31 października 1936 r. został zwolniony z pracy w Związku Nauczycielstwa Polskiego, niejako »przy okazji« rozprawy z komunizującymi redaktorkami bliźniaczego »Płomyczkowi« »Płomyka« na czele z Wandą Wasilewską. Józef Czechowicz od komuny trzymał się z daleka, swego czasu napisał (niewybitny skądinąd) wiersz »piłsudski«, ale zrobiono z niego gorszy ciela, pozbawiając go pracy i zaplecza materialnego, na co się uskarżał. Podobno »przysłużyli« się do tego jeden z jego przyjaciół oraz znany i opiniotwórczy krytyk »Wiadomości Literackich«, Karol Wiktor Zawodziński.

Poeta kazał sobie wydrukować wizytówkę: »Józef Czechowicz – immoralista«, nawiązującą do powieści Andre Gide'a i psy wieszał na Zawodzińskim, co doprowadziło do ekscesu, który Miłosz tak zrelacjonował:

„Mianowicie, ktoś roztrząsał wielką lustrzaną szybę w witrynie »Wiadomości Literackich« przy ulicy Królewskiej i powszechnie przypisywano ten wybryk ONR-owi jako zapowiedź nowej nocy św. Bartłomieja, prorokowanej ze smakiem przez Gałczyńskiego. A ja znałem sprawcę. Był nim Stefanek II, przyjaciel Czechowicza, knajak z Czeraniakowa, ze szramą od noża na policzku. Widząc, że Czechowicz martwi się z powodu jakiegoś artykułu o sobie w »Wiadomościach«, postanowił się zemścić. Królewską przechodzi linia tramwaju, nic prostszego (jeżeli się ma wprawę), niż stanąć na tylnej platformie i kawałem żelaza owiniętym w gazetę wyrzucić w witrynę, kiedy się ją mija. Satysfakcja duża, bo ten trzask i ta dla nich strata – taka szybko

kosztuje dużo pieniędzy. Stefanek II został rozstrzelany przez Niemców za jakieś bojowe knajackie wyczyny. Tak więc Czechowicz błądł na wzmiankę o »Wia-

domościami», ale to nie przysparzało mu złotych na komorne i chleb”.

W tej sytuacji Miłosz zaprotegował swojego literackiego kolegę w Polskim Radiu, gdzie pracował i odtąd spędzali tam razem całkiem miłe chwile. Do września 1939 r., gdy opuścili stolicę wraz z innymi pracownikami rozgłośni warszawskiej. Miłosz, po znanych perypetiach, wrócił do Wilna, Czechowicz dostał się do Lublina, gdzie akurat zdążył na swoją śmierć.

Trudno z miłości się podnieść

Wiersze Józefa Czechowicza, choć zdawałyby się – niełatwe, po latach drogę do odbiorców znalazły poprzez piosenkę. Najbardziej znaną jest wśród nich wyśpiewana przez Marka Grechutę, a potem przez Grzegorza Turnaua, „Twoja postać”, będąca jednak kompilacją wierszy samego Czechowicza i Tadeusza Micińskiego. Wbijająca się w pamięć fraza:

„Dziwne się srebrzysz aniele mój” czy ustęp: „Ziemia, jak echo minionych dni grające w borze, / a nasze duchy wśród martwych pni wieszają zorze” są właśnie tego drugiego, a pochodzą z utworu „Kiedy Cię moje opłotą sny”, natomiast z „wieczorem” Czechowicza m.in.: „chwieją się żółte mleczce / w dolinę napływa gór cień / cichy odwieczny” i „trudno z miłości się podnieść / a jeszcze ciężiej od złych nowin”. Po wiersze Czechowicza sięgnął też zespół „Armia”, a w 2013 r. Włodek Pawlik z m.in. Dorotą Miśkiewicz i Kubą Badachem nagrał całą płytę („Wieczorem”) z utworami do słów tego poety.

Zdaniem Miłosza osobiłość formy poezji Józefa Czechowicza „polega między innymi na tym, że nie uznawał dużych liter i przecinków – nie kaprys z jego strony, ale wynik chęci, aby uniknąć dzielenia zespołów słownych według prawideł »języka praktycznego«. Uważam tę jego chęć za uzasadnioną, bo zdania mają u niego otoczkę wyrazów puszczonej luzno, ustawionych według innej niż logiczna konieczności”. Aby to zobrazować, przyszły noblista przytaczał

Zdjęcia Lublina
wykonane przez
Czechowicza

FOT. MUZEUM LUBELSKIE.

ODDZIAŁ LITERACKI

IM. JÓZEFA CZECHOWICZA

kilka wierszy Czechowicza, w tym jeden z najpiękniejszych jego utworów – „przez kresy”:

*monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa raz po raz rytmem
koła koła
ziola*

*terkozce sennie półżycie
drożyną leśną łąkową
dołem dołem
połem*

*nad wieczorem o rżysku zawadza
księżyc ciemny czerwony
wołam
złoty kołacz*

*nic nie ma nawet snu tylko kół skrzyp
mgława noc jawa rozlewna
wołam kołacz złoty
wołam koła dołem połem kołacz złoty*

Wiersz piękny, bez dwóch zdań, Czesław Miłosz zwracał jednak uwagę na to, że „nie wszyscy młodzi [poeci – przyp. K.M.] zachowywali proporcje pomiędzy podziwem dla Czechowicza a dążnością do własnych sposobów wypowiedzi, jak choćby Domiński. Naśladowali niewolniczo i z tego wyłoniła się moda »czechowiczowania«, przybierająca w ostatnich latach przed wojną katastrofalne rozmiary. Pisma pełne były wierszy bez przecinków i wielkich liter, wierszy, które obracały te same obrazy sielskie i starały się uchwycić ulotne wrażenia – a impas polityczny czy ideologiczny sprzyjał ucieczce w bierne doznawanie świata, niekoniecznie zresztą kontemplacyjne, przede wszystkim naskórkowe. Czechowicz palił fajkę i traktował tę modę z pobłażliwą życzliwością, ale w istocie bardzo mu ona szkodziła, bo irytacja, jaką czuł czytelnik tej niby awangardy, a najczęściej grafomaństwa, obracała się przeciwko najbardziej znanemu nazwisku. Raczej tryumf dla przeciwników nowatorskich dziwactw z tego wynikał”.

Na szczęście nie brakowało też takich odbiorców poezji, którzy docenili lirykę Józefa z Lublina, pełną – jak pisał Józef Zięba – „dramatycznych napięć i poszukiwania coraz to nowych możliwości ocalenia”, których urzekł jego świat poetycki z obowiązującym w nim „prawem harmonii i piękna podporządkowanemu »lirycznemu porządkowi rzeczy«”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Już sam tytuł tej arcyciekawej książki wyraża dystans autora do wielu fabularnych filmów, których twórcy wzięli na warsztat historię. „Skręcona” może oznaczać zwyczajne „nakręcenie” zdjęć na taśmę filmową, ale może również zawierać niezbyt pochlebną ocenę dzieła. I rzeczywiście. Jakub Ostromięcki chętnie i ze znanstwem dzieli się z czytelnikiem krytyką zarówno fałszywej faktografii zawartej w scenariuszu, chybionej wymowy artystycznej, jak i niejednokrotnie tendencyjnego, odbiegającego od prawdy przesłania ideowego obrazu.

„Oglądanie filmu w towarzystwie historyka może okazać się istnym koszmarem” – uprzedza autor na samym wstępie, ale nie wiem, czy słusznie. Raczej czytanie jego recenzji przez reżysera, scenarzystę, scenografa i odtwórców – głównych zwłaszcza – ról może okazać się dla nich przeżyciem koszmarnym. Ale nie musi – gdy jest za co, Ostromięcki uczciwie i z ochotą chwali. Zaś widzowie za takie recenzje powinni być wdzięczni. Powinni nawet zabierać się do ich czytania, zanim zacznie się projekcja. Lektura byłaby z pewnością bardziej pożyteczna niż opróżnianie toreb z chipsami, a nawet z popcornem.

Ostromięcki omawia ok. 20 znanych filmów z ostatnich czasów. Są to obrazy niemal wyłącznie amerykańskie i polskie. Do dwóch wyjątków należy rosyjsko-ukraińska „9 kompania”, udratyzowany obraz rzeczywiście krwawych walk w Afganistanie, oraz rosyjski antypolski paszkwil „Rok 1612”. Natomiast twórcy kanadyjsko-irlandzkiego serialu „Wikingowie”, przedstawiającego motocyklistów wprost ze średniowiecza, dowolnie mylili postacie i mieszały wydarzenia.

Twórcy filmów amerykańskich z reguły ulegali hollywoodzkiej manierze „uatrakcyjniania” filmowej opowieści budzącym grozę u każdego w miarę wykształconego widza przeinaczaniem faktów, nieznajomością strojów, oręży, architektury, obyczajów... I, oczywiście, dość obmierzłą poprawnością polityczną. Dotyczy to m.in. „300” (Spartan, czyli kulturystów w Termopilach), „Gladiatora”, którego usiłuje uratować Russel Crowe, dwóch filmów ze znakomitą skądinąd Gibsonem – „Braveheart” i „Patrioty”, superpoprawnego „Tańczącego z wilkami” Costnera, kłamliwej „Li-



Kadr z filmu „Nietykalni” Briana de Palmy
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Książka miesiąca / Historyk w kinie

Zamiast chipsa

sty Schindlera” i fikcyjnego „Szeregowca Ryana” Spielberga oraz „Plutonu”, czarnej legendy wojny w Vietnamie Olivera Stone’a. Świetni reżyserzy, znakomita kasa i woda w głowach widzów...

Nasi starają się niekiedy podążyć tropem sławnych kolegów zza oceanu, posuwając się wąską polską dróżką między polityczną poprawnością a kasowym efekciarstwem. No i mankamentów (ale i zalet) historyk znajduje sporo. Wymienię omówione produkcje: „Ogniem i mieczem”, „Piłsudski” i „Legiony”, „1920 Bitwa Warszawska”, „Tajemnica Westerplatte kontra Westerplatte”, „Katyń”, „Bitwa o Anglię i Dywizjon 303. Historia prawdziwa”, „Miasto 44”, „Generał Nil”.

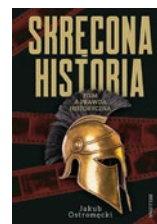
Ten ostatni film przypomina „Idę” Pawła Pawlikowskiego (Ostromięcki ją pomija) – z poruszającą Agatą Kuleszą w roli komunistycznej prokurator. To słusznie nagrodzone Oscarem dzieło ma tylko jeden mankament: brak choćby inskrypcji wyjaśniającej cudzoziemcom i polskim troglodytom, że towarzyszą prokurator mści się na polskich patriotach nie za ich winy, a reżyser wzoruje się tu na autentycznej prokurator tow. ppłk Helenie

Wolińskiej, współodpowiedzialnej m.in. właśnie za śmierć gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Po 1989 r. umknęła ona przed polskim sądem do Wielkiej Brytanii, oskarżając demokratyczną Polskę o antysemityzm (co nie przeszkadzało jej pobierać polskiej emerytury). Umarła własną śmiercią w 2008 r., a nie – jak bohaterka filmu – samobójczą.

Prawda czasu, prawda ekranu... Ale czy prawda, pomijając nawet wszystko inne, nie jest ciekawsza?

A uczniom renomowanego V L.O. im. Księcia J. Poniatowskiego, w którym autor książki wyklada historię, powiem: namawiajcie profesora, aby czasem poszedł z wami do kina. Potem, a jeszcze lepiej przedtem poproście go o wyjaśnienia. ©©

Maciej Rosalak



JAKUB OSTROMIĘCKI
„SKRĘCONA HISTORIA.
FILM A PRAWDA
HISTORYCZNA”

BELLONA

Powrót Sergiusza Piaseckiego

Swietne wieści dla miłośników twórczości Sergiusza Piaseckiego. Wydawnictwo LTW rozpoczęło ambitny projekt – wznowienie wszystkich powieści pisarza w nowej szacie graficznej. Ukazały się już takie znakomite książki jak: „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, „Zapiski oficera Armii Czerwonej”, „Bogom nocy równi” czy „Piąty etap”. Mam nadzieję, że dzięki temu proza Piaseckiego trafi do nowego pokolenia czytelników.

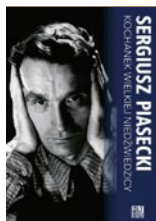
Nie ukrywam bowiem, że sam jestem wielkim fanem pisarza. Odkryłem go jeszcze jako nastolatek, a potem dosłownie pochłaniałem kolejne jego powieści. I to po kilka razy! Do moich ulubionych należy trylogia mińska, tragiczna opowieść o mińskich złodziejach. A także książki dotyczące okupacyjnych przeżyć Piaseckiego: „Człowiek zamieniony w wilka” i „Dla honoru organizacji”.

Nigdy specjalnie nie przepadałem za zachodnimi powieściami sensacyjnymi. Od Folletta, McLeana czy Forsytha wołałem Piaseckiego. U niego akcja była nie mniej wartka, a jednak tematyka bliższa ciału. Świat przemytników działających na polsko-sowieckim pograniczu,

przestępców, agentów wywiadu, egzekutorów AK. Niesamowite intrygi, zwroty akcji, a do tego proza życia: wódka, kokaina, łatwe kobiety, zdrada.

To, co jest najważniejsze w prozie Piaseckiego, to autentyzm. Czuje się, że Piasecki wie, o czym pisze. Sam był złodziejem, sam siedział w więzieniach. Był przemytnikiem i agentem. W trakcie drugiej wojny światowej kierował komórką likwidacyjną wileńskiego podziemia. Jego powieści pełne są autentycznych wydarzeń i wątków autobiograficznych. Jednocześnie Piasecki niczego nie upiększa. Brzydzi się kłamstwem i koloryzowaniem. Pisz, jak było.

Z okazji nowego wydania dzieł Piaseckiego postanowiłem w te wakacje przeczytać je wszystkie jeszcze raz. Gorąco zachęcam do tego również czytelników „Historii Do Rzeczy”. ©© **Piotr Zychowicz**



SERGIUSZ PIASECKI
„KOCHANEK WIELKIEJ
NIEDŹWIEDZICY”

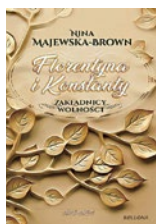
LTW

Saga na dwa serca

Dobrze się czyta tę poznańską sagę o latach 1916–1924, widzianych oczami młodej ziemianki wielkopolskiej Florentyny, zakochanej z wzajemnością w swoim mężu Konstantym. Dramaty pierwszej wojny światowej, powstańczych walk poznaniaków na przełomie lat 1918 i 1919 oraz najazdu bolszewickiego 1920 r. stają się w tej optyce tylko tłem innego konfliktu.

Jest to nieustanna próba sił Florentyny z teściową Seweryną. Młoda żona i matka nie daje się zdominować owej złośliwej, obłudnej i uciążliwej kobiecie, tak jak Polacy – z Konstantym i innymi Wielkopolanami – nie dają się zwyciężyć wrogom Polski. Akcja może nie nazbyt

skomplikowana, ale obraz wydarzeń i autentycznych postaci, obyczajów i warunków życia przed wiekiem – zaciekawia. Pod koniec wspomina Rapallo i zbliżenie niemiecko-sowieckie, a także nieszczęścia, które Polsce i rodzinie naszej pary ono przyniosło w 1939 r. ©© **(m.r.)**



NINA MAJEWSKA-BROWN
„FLORENTYNA I KONSTANTY
1916–1924. ZAKŁADNICY
WOLNOŚCI”

BELLONA



MARK Teler
„ZAGADKA INY BENITY.
AK-TORZY KONTRA
KOLABORACJI”

BELLONA

AKTORKA NA WOJNIE

Cóż to za kapitalna historia! Wojenne losy Iny Benity – jednej z najpiękniejszych, najbardziej znanych aktorek II RP – mogłyby posłużyć jako kanwa dla hollywoodzkiej superprodukcji. Wywiad AK kontra gestapo. Zakazany romans z niemieckim oficerem. Sceniczne deski i więzienna cela. Marek Teler napisał świetną książkę, choć w sprawie Iny Benity trudno jest oddzielić prawdę od legend. ©© **p.z.**



KRZYSZTOF JABŁONKA
„100 POLSKICH BITEW.
NA ŁĄDZIE, MORZU
I W POWIETRZU”

ZONA ZERO

100 BOJÓW ORĘŻA POLSKIEGO

Autor zestawiał 100 starć z udziałem Polaków, od Wogastisburga (ok. 630 r.; Frankowie kontra Słowianie Samona) do Karbali i Ghazni (XXI w.). Pisz o słabo dziś pamiętanych walkach powstańczych (1848, 1863), ale w 1831 r. poza Olszynkę nie sięga. Cóż, wybór jest zawsze trudny. Chwała autorowi, że podjął trud i ryzyko, pisał ciekawie i ze znanstwem, a wydawca zadbał o ilustracje i mapy. ©© **(m.r.)**



ŁUKASZ SOJKA
„ZATOPIC III RZESZE”

ZNAK

BRAWUROWY NALOT RAF

Autor opisuje operację „Chastise”, atak bombowców RAF na zapory w Zagłębiu Ruhry, sercu niemieckiego przemysłu (maj 1943 r.). W celu ich rozbicia skonstruowane zostały specjalne „skaczące” bomby. Akcja była udana: tamy zostały uszkodzone, woda zalała liczne kopalnie i zakłady przemysłowe, a dostawy wody dla przemysłu zmniejszyły się o 75 proc. Jednak cena była ogromna: zginęło aż 40 proc. brytyjskich pilotów. ©© **(t.s.)**



Heinz Reinefarth, generał SS odpowiedzialny za zbrodnie na cywilach podczas powstania warszawskiego, po wojnie burmistrz miasta Westerland FOT. BUNDESARCHIV BILD

Szokująca książka

Książka ta dotyczy rozliczenia niemieckich zbrodniarzy z lat drugiej wojny światowej, a także kolaborantów w krajach europejskich, w tym w Polsce. Były procesy, zapadały w nich wyroki śmierci i długoletniego więzienia. Jednak książka szokuje. Ukazuje bowiem, jak w Republice Federalnej Niemiec robiono bardzo wiele, by mordercy z gestapo, SS, Waffen-SS, Wehrmachtu nie stanęli przed sądem bądź zostali skazani na niewspółmiernie niskie wyroki albo nawet uniewinnieni.

Czy może nie szokować stwierdzenie kanclerza Konrada Adenauera z 1949 r., że denazyfikacja spowodowała wiele zła, a podział ludzi na tych, na których ciążyą poważne zarzuty w związku z ich działalnością w III Rzeszy, i tych, którzy sumienie mają czyste, musi jak najszyb-

ciej zniknąć? Autorzy piszą, że władze RFN z poparciem przeważającej większości społeczeństwa demontowały „system norymberski” polegający na denazyfikacji i ściganiu sprawców zbrodni. Na wiele lat położono kres działaniom wymiaru sprawiedliwości, dążącego do postawienia przed sądem zbrodniarzy.

Konrad Adenauer zrehabilitował Wehrmacht, twierdząc, że – rzekomo – znikomo mała część żołnierzy dopuściła się zbrodni, co więcej, uznał, że żołnierze Waffen-SS to ludzie przyzwoici. Władze RFN zabiegały o zwolnienie z alianckich więzień zbrodniarzy wojennych, w tym trzech dowódców morderczych

Einsatzgruppen, skazanych uprzednio na karę śmierci. Z sukcesem: morderców uwolniono w 1958 r. Szokujące jest także to, że w połowie lat 60. zachodniemieckim wywiadem kierowali w dużej mierze byli członkowie gestapo i SS. No cóż, liczyły się kompetencje...

Niemieckie sądy nadzwyczaj łagodnie podchodziły do oskarżonych zbrodniarzy. Jeśli działali na rozkaz, a nie z własnej inicjatywy, to nawet gdy zabijali, byli oskarżani nie o morderstwo, lecz o... pomocnictwo w morderstwie. Wykonywali tylko rozkazy... Bywało, że sądy RFN stwierdzały, iż III Rzesza miała pełne prawo skazywać na śmierć jej przeciwników. Niemiecka Izba Lekarska stwierdziła, że lekarzy, którzy brali udział w eksterminacji psychicznie chorych, nie należy pozbawiać prawa do wykonywania zawodu!

Jeśli doszło do przełomu w ściganiu zbrodniarzy niemieckich w RFN, to – jak można sądzić – tylko dlatego, że mordowali Żydów. Gdyby nie to, że niemiecki prokurator był Żydem, być może nie byłoby procesu załogi Auschwitz. A zasadę o nieprzedawnianiu się zbrodni niemieckich wprowadzono najpewniej pod presją amerykańskiego serialu „Holocaust”.

© © Tomasz Stańczyk



PAWEŁ MACHCEWICZ, ANDRZEJ PACZKOWSKI
„WINA, KARA, POLITYKA. ROZLICZENIA ZE ZBRODNIAMI II WOJNY ŚWIATOWEJ”

ZNAK HORYZONT, INSTYTUT STUDIÓW POLITYCZNYCH PAN

Historyczny rajd po Polsce

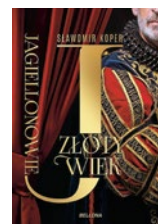
Czego Grześ się nie nauczy, tego Grzegorz nie będzie wiedział.

Z tego założenia wyszedł Sławomir Koper. Dlatego uczynił jednym z dwóch bohaterów książki Grzesia. Drugim jest jego ojciec, historyk z wykształcenia. Przemierzają Polskę, zwiedzają zabytki i jest to okazja do opowieści ojca o epoce Jagiellonów, którym towarzyszą wnikliwie pytania syna. Na trasie podróży są m.in. Siewierz, Piotrków, Darłów, Szydłów, Opatów, Niepołomice, Krasiczyn. Książka staje się więc przewodnikiem. Ojciec Grzesia nie stroni od barwnych anegdot i ciekawostek, gdyż to one pobudzają zainteresowanie dziejami,

pokazują ludzi z ich wadami, dramatami i śmiesznościami.

Nie jest to jednak lektura wyłącznie dla Grzesiów. Kto z Grzegorzów wie na przykład, że pierwsza elekcja nie odbyła się bynajmniej dopiero po śmierci ostatniego z Jagiellonów? Albo że renesans w Polsce nie pojawił się wraz z przybyciem Bony? Żona Zygmunta Starego ma złą opinię, tymczasem Sławomir Koper przypomina, że była przenikliwym politykiem, przeciwniczką powstania Prus Książęcych. Chciała też przyłączyć do Rzeczypospolitej część śląskich księstw w zamian za jej dobra we Włoszech. Nie tylko młodego czytelnika zszokuje uwa-

ga autora o tym, że Urszulka, opłakiwana w „Trenach”, być może wcale nie istniała, tak jak królewski błazen Stańczyk. Ale może tej jednej osobie przypisano błyskotliwe wypowiedzi innych? A do jego legendy walenie przyczynił się swoim obrazem Jan Matejko. © © (t.s.)



SŁAWOMIR KOPER
„JAGIELLONOWIE. ZŁOTY WIEK”

BELLONA

Stracona szansa białych w latach 1919 i 1920

Czerwień kontra biel. Ostatnia szansa Denikina” to tytuł książki Michała Oltona poświęconej działalności Polskiej Misji Wojskowej gen. Aleksandra Karnickiego wysłanej przez Józefa Piłsudskiego do gen. Antona Denikina i przebywającej u boku dowódcy Sił Zbrojnych Południa Rosji od 26 września 1919 r. do 28 marca 1920 r. Zadaniem polskich wysłanników było zorientowanie się w celach i zamierzeniach polityczno-militarnych denikinowskiego ośrodka władzy oraz sprawdzenie jego militarnych możliwości.

Najważniejszą sprawą było jednak wysondowanie stosunku Denikina do niepodległości Polski i jej przyszłych granic. Zasadniczym powodem wysłania misji były naciski wywierane na Piłsudskiego ze strony zarówno Francji, jak i Wielkiej Brytanii. Oba te kraje intensywnie wspierały białych w walce z bolszewikami, mając na względzie, co skądinąd oczywiste, swoje własne interesy polityczne oraz ekonomiczne. Francja zamierzała odzyskać ułożone w Rosji środki finansowe oraz podtrzymać istnienie silnego sojusznika potrzebnego do geopolitycznego szachowania Niemiec od wschodu. Z tego ostatniego powodu Paryż bardzo krytycznie postrzegał wszelkie próby osłabienia Rosji. Podobny, ale nie tożsamy stosunek do białej Rosji miał Londyn. I to właśnie szef Angielskiej Misji Wojskowej na południu Rosji przybył do Polski i spotkał się z Piłsudskim, próbując go namówić do pomocy Denikinowi. Naczelnik Państwa, mając świadomość konieczności współpracy z państwami Ententy, nie mógł nie brać pod uwagę ich sugestii w kwestii białoruskiej. Dlatego zdecydował się, maskując swoje prawdziwe niechętnie wobec białej Rosji stanowisko, wysłać misję do Taganrogu, gdzie znajdowała się kwatera główna wojsk Denikina.

W rzeczywistości Piłsudski był zwolennikiem rozbicia Rosji i odepchnięcia

jej na wschód poprzez stworzenie systemu niepodległych państw. Naczelnik Państwa uważał, że Rosja bolszewicka nie mająca poparcia państw zachodnich i borykająca się z wewnętrznymi problemami będzie początkowo dla Polski mniejszym zagrożeniem niż Rosja biała, która wsparta przez zachodnich aliantów nie zdecydowałaby się spełnić

polskich postulatów terytorialnych. Być może przyszły marszałek zdecydowałby się na udzielenie pomocy białym, gdyby Rosja zgodziła się na włączenie do RP zajętych przez Wojsko Polskie ziem leżących

**MICHAŁ OLTON
„CZERWIEŃ
KONTRA BIEL.
OSTATNIA SZANSA
DENIKINA”**

WYDAWNICTWO GRAF_IKA

na wschód od linii Curzona. Denikin, jak wiadomo, będąc zwolennikiem istnienia „jednej i niepodzielnej” Rosji, gestów takich czynić nie zamierzał. W rozmowach z gen. Karnickim jednoznacznie dawał wyraz aprobaty dla istnienia Polski, ale w granicach Królestwa Polskiego.

Głównodowodzącemu Sił Zbrojnych Południa Rosji wydawało się, że jest w stanie pokonać bolszewików za pomocą sił własnych bez konieczności pozyskiwania sojuszników i podejmowania na ich rzecz ustępstw terytorialnych. Ten brak zdolności myślenia w kategoriach Realpolityk u Denikina ostatecznie odstręczył od współpracy z nim Piłsudskiego i skłonił go do wstrzymania działań przeciwko bolszewikom oraz podjęcia z nimi rozmów w Mikaszewiczach. A przecież to Denikinowi powinno zależeć na wsparciu ze strony Polaków. Niestety generał, którego trudno uznać za wybitnego dowódcę wojskowego, upojony zwycięstwami białych armii, kompletnie tego nie rozumiał. Nie był wodzem na miarę gen. Kornilowa czy nawet Wrangla, był natomiast człowiekiem przypadkowo rzuconym przez wiatr historii na odpowiedzialne stanowisko, na którego zajmowanie nie posiadał stosownych kompetencji. ©©

Arkadiusz Karbowiak

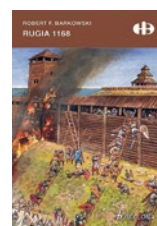


HISTORYCZNE BITWY

Rugia 1168

Wikingowie najeżdżali słowiańskie wybrzeża Bałtyku aż do czasu, gdy przyjęli chrzest. Potem pogańscy nadal Słowianie odpłacali się im z nawiązką. Więc duńscy potomkowie wikingów wespół z niemieckimi Sasami wzięli się do podboju plemion połabskich pod hasłem ich nawracania. Przodował w tym król Danii Waldemar mający wsparcie dwumetrowego, walecznego biskupa rycerza Absalona, oraz rywal i sojusznik Duńczyków w jednej osobie – saski książę Henryk Lew. Jedenaście wypraw przeprowadzili bezskutecznie germańscy najeźdźcy w połowie XII w., aż w 1168 r. spółce Waldemar-Absalon udało się zdobyć Rugię. Pomógł im w tym ostry konflikt między frakcją kapłanów przedchrześcijańskich kultów a grupą częściowo już schrytyzianizowanych rańskich możnych, skupionych wokół rodzimej dynastii książęcej (Ciesław, Jaromir), którzy chcieli zaprowadzić na wyspie porządek feudalny.

Publikacja Bellony obrazuje przygotowania, tło, przebieg i rezultat wspomnianych 11 wypraw Waldemara i Absalona na Słowian, a kończy opisem kolejnej, kiedy to w połowie czerwca 1168 r. zdobyli oni dwa najważniejsze ośrodki na Rugii – Arkonę i Charenzę. Towarzyszyli im pomorscy, chrześcijańscy już książęta Przybysław, Bogusław i Kazimierz. Natomiast po podboju i chrystianizacji Rugii wasalami Waldemara zostali Ciesław i Jaromir. Absalon w krótkim czasie ochrzcił 130 017 mieszkańców Arkony i przyległych wiosek, a rańska ludność zapomniała o Świętowicie, którego „nadludzkie rozmiarów posąg... miał cztery głowy i tyle samo szyj...”. ©© (m.r.)



**ROBERT F. BARKOWSKI
„RUGIA 1168”**

BELLONA



Jacek Bartosiak

Geopolityka /

Zatrzymać

Następne 10 lat może zachwiać obecnym ładem międzynarodowym, a my musimy być podmiotem tej gry, a nie jej przedmiotem – tak jak obecnie

Zgodnie z tym, co napisał wynoszony w Polsce na piedestał (aczkolwiek rozumiany tylko powierzchownie) Jerzy Giedroyc w „Przesłaniu” (przy końcu „Autobiografii na cztery ręce”): „Powinniśmy sobie uświadomić, że im mocniejsza będzie nasza pozycja na wschodzie, tym bardziej będziemy się liczyli w Europie Zachodniej”. I dalej: „Szansą może być nasza polityka wschodnia; nie wpadając w megalomanię narodową, musimy prowadzić samodzielną politykę, a nie być klientem Stanów Zjednoczonych czy jakiegokolwiek innego mocarstwa”.

Na wschodzie instrumentem polityki w roku 2020 (i tak będzie na pewno do roku 2030) było szeroko pojęte instrumentarium wojny nowej generacji, a zasadniczym czynnikiem polityki była Rosja, która prezentuje się jako główny rozgrywający w tej części świata, napierając na pomost bałtycko-czarnomorski, przez który chce oddziaływać na system równowagi w Europie i zmieniać jej architekturę bezpieczeństwa.

Aby odpowiedzieć na to wezwanie naszych czasów, Polska musi stać się samodzielnym czynnikiem gry o równowagę w naszej części świata. Do wykonania tego zadania potrzebne będzie inne instrumentarium niż w ostatnich 30 latach. Bieg wypadków na Białorusi latem 2020 r., gdy sprawa de facto rozstrzygnęła się na podstawie układu sił i przewagi w nim Rosji nad państwami zachodniej Europy (nie wspominając już Polski), ostatecznie przekonał mnie, że niezbędne jest zbudowanie własnych instrumentów polityki na wschodzie, a przede wszystkim potrzebne jest wcześniejsze staranne przemyślenie, jak

aktywnie rozegrać grę, by mieć szansę na zwycięstwo.

W polskiej myśli strategicznej – pomimo niekiedy wspaniałych dokonań ostatnich 500 lat – brakuje w XXI w. zinstytucjonalizowanej (nie mówiąc już o tym, by była ona szanowana na Zachodzie lub w Rosji) nowoczesnej kultury strategicznej, opartej na systemie założeń, wynikających jednocześnie z naszych

doświadczeń, geografii kraju, aktualnych zagrożeń i naszego otoczenia geopolitycznego. Podkreślam – z aktualnych zagrożeń, zrozumienia zmieniających się potencjałów wrogów i sojuszników, a także uwarunkowań społecznych, popartych samozadaniującą się (samozadaniowanie jest w tym wypadku niezmiernie ważne!) i konsekwentną praktyką polityczną kształtującą wielką strategię państwa.



Polska kontra Rosja

Putina



Tymczasem Polska z racji swego położenia, populacji, gospodarki jest w XXI w. na dogodnej pozycji, aby stać się realną siłą między Zatoką Fińską a Karpatami. Niestety, aż do dzisiaj nie przygotowała się do takiej roli pomimo ostatnich 30 lat rozwoju gospodarczego.

W kierowanym przez mnie think tanku Strategy & Future od lata 2020 r. przeprowadziliśmy (i będziemy

kontynuować) serię rozważań koncepcyjnych oraz TTX-ów (tabel top exercises), czyli warsztatów symulacyjnych, które sprowadzają się do jednej podstawowej konstatacji: nienegocjowalnym interesem Rzeczypospolitej jest utrzymywanie Rosji poza europejskim systemem gry o równowagę. Brutalna i jednocześnie oczywista jest ta zupełnie fundamentalna

konstatacja stanowiąca kręgosłup losu naszego państwa.

I to się udawało przez większą część ostatnich 500 lat, zmieniły to czasy saskie i rozbiory. Potem upadek Rosji carskiej i wygrana wojna 1920 r. wypchnęły Rosję sowiecką z europejskiego systemu (dając nam oddech dwudziestolecia), do którego wróciła, podpisując z Niemcami pakt kontynentalny latem 1939 r., by jeszcze później wzmocnić swoją obecność po Jałcie i Poczdamie. Upadek Związku Sowieckiego oraz niepodległość państw na naszym wschodzie, odgradzających nas od Rosji, znów wypchnęły pod koniec XX w. Rosję z systemu europejskiego. Rosja znalazła się na drodze do rozpadu lub stania się protektorem Zachodu. Putin wybrał inną drogę i postanowił zatrzymać projekt ekspansji geopolitycznej Zachodu, który tak dobrze obsługiwał polskie interesy bezpieczeństwa po upadku Sowietów, o którego wiecznym trwaniu wciąż w Polsce marzymy.

Ostatecznie po wojnie gruzińskiej w sierpniu 2008 r. mamy do czynienia z rewizją imperialnej Rosji, popartą opracowaniem mechanizmów wojny nowej generacji, dzięki której Rosjanie wracają do gry w Europie i w jej otoczeniu geopolitycznym. To właśnie sprawne posługiwanie się szerokim spektrum mechanizmów wojny nowej generacji powoduje (niestety już skutecznie) zaproszenie Rosji do gry o równowagę w Europie i Eurazji, głównie przez Francję, czasami też już przez Niemcy. A kto wie – może nawet USA w kontekście Eurazji i potrzeby zaprzęgnięcia Rosji do równoważenia potęgi Chin przez Waszyngton.

Musimy sobie zdawać sprawę, że w naszym regionie toczy się prawdziwa rywalizacja o sprawczość, której uczestnicy, balansując (przy wykorzystaniu mechanizmów wojny nowej generacji) między otwartym konfliktem z użyciem wojska a całym spektrum działań niejawnych, pozakinetycznych, prowadzą realną wojnę. Rosjanie się w niej doskonalą, mozolnie starając się wrócić do gry imperialnej; Gruzja, Krym, Donbas, Białoruś, państwa bałtyckie, Syria, Kaukaz są tu przykładami.

Sprawa jest zatem prosta, ale nie jest łatwa (jak to ze strategią): trzeba zlikwidować możliwość zaproszenia Rosji do gry w europejskim systemie równowagi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ciąg dalszy w kolejnym numerze „Historii Do Rzeczy”.



Piotr Semka

/ Felieton

„Odważni ludzie”

Wspomnienia napisane w Berlinie wisiały nad Szklowskim jak groźba kolejnego aresztowania

Po raz któryś powracam do niemal zupełnie przemilczanej setnej rocznicy rosyjskiej rewolucji bolszewickiej. Poraża mnie to, jak wszyscy unikają analizy zbrodniczego fenomenu skuteczności bolszewików. Świat nie chce pamiętać o orgii mordów, jaką była rosyjska wojna domowa, ani o tym, jak Niemieckie Muzeum Historyczne w Berlinie zrobiło z wystawy o rewolucji banał. Ciągnie mnie wciąż do tego tematu. Być może dlatego, że jednym tchem pochłoniętem wydany niedawno w Polsce zbiór wspomnień z lat 1917–1925 Wiktora Szklowskiego „Jeszcze nie wszystko skończone”.

Szklowski znany był w Polsce z książek o teorii filmu i środowisku sowieckiej awangardy filmowej z Siergiejem Eisensteinem na czele. Do 1989 r. starannie jednak ukrywał, że po zamachu Lenina sam walczył zbrojnie z bolszewikami w konspiracji

wobec powolnego zastraszania Rosji przez bolszewików byli bezradni. Niesamowicie są wspomnienia pisarza, gdy wracając z frontu perskiego do Piotrogradu w lutym 1918 r., poraziła go martwota stolicy. Metropolię nad Nową opuścił w maju 1917 r., gdy w epoce Kiereńskiego stolica Rosji rozhuśtana była wiecami i demonstracjami po rewolucji lutowej. Dziewięć miesięcy później bolszewicy chwycili miasto w żelazny uścisk. Rozpędzono już konstytuante i nieliczne demonstracje w jej obronie rozstrzelano z maximów. Szklowski chodził po ulicach rodzinnej metropolii i nie mógł zrozumieć, co się stało.

„Miasto było jakieś takie ogłuszone. Jak po wybuchu, który wszystko zniszczył, wszystko zakończył. Jak człowiek, któremu wybuch rozdarł wnętrzności, a on jeszcze z kimś rozmawia [...]. [Ludzie] siedzą i rozmawiają. A co innego mogą robić? Wyć?”.

Szklowski wraz z eserowcami podejmuje próby zorganizowania powstania antybolszewickiego, ale wszystko się rwie. Wsypy podziemnych komórek, przekładanie kolejnych dat zrywu i miażdżone przez Czecha protesty robotnicze. „Strajk upadł. A my zbieraliśmy się po domach nocami, sączyliśmy herbatę, sprawdzaliśmy swoje rewolwery”. Rewolta nie wypaliła.

A potem poruszający opis ciągłej ucieczki, zmieniania miast, grzebania kolejnych nadziei, skorzystanie z amnestii i ucieczka na Zachód. Wreszcie powrót do Sowdepai, by ostatecznie zgłąć kark przed Sowietami. Przez kolejne dekady te berlińskie wspomnienia wisiały nad nim jak groźba kolejnego aresztowania.

Stalinowska rzeczywistość bywała jednak nieprzewidywalna. W latach 1934–1939 wielu zasłużonych bolszewików „szło pod »ściankę«, a on przetrwał. Może to efekt decyzji Stalina, który w 1939 r. przyznał mu Order Czerwonego Sztandaru za scenariusz patriotycznego filmu „Minin i Pożarski”?

Szklowski przez długie dekady milczał o swej przeszłości. Gdy rosyjski literaturoznawca Aleksandr Gałuszkin odważył się na początku lat 80. zapytać go o antybolszewicką konspirację eserowców, jedyne, co wyrwało mu się w odpowiedzi, to krótkie określenie: „Odważni ludzie”. Słowa wypowiedziane po głębokim namyśle i milczeniu. Niczego więcej ponadto, co napisał w trakcie swojej krótkiej emigracji, już nie dodał. Nawet tuż przed śmiercią (odszedł w 1984 r.) bariera strachu była zbyt mocna.

Dzięki Bogu pozostawił swoje berlińskie wspomnienia, które wydano w 2002 r. Jeśli chcecie zrozumieć paraliżującą groźbę bolszewizmu, to sięgnijcie po nie. ©©

partii socjalrewolucjonistów, znanych szerzej jako eserowcy. W 1919 r. skorzystał z amnestii dla eserowców i trafił nawet do Armii Czerwonej, ale gdy w 1922 r. znów zaczęły się aresztowania kolegów z konspiracyj, uciekł nielegalnie do Finlandii, a stamtąd do Berlina. Tam napisał wspomnienia z lat rewolucji i wojny.

To niezwykle rzadki zapis całkowicie zapomnianej walki z bolszewikami. „Mam dobrą pamięć. Gdybym miał gorszą pamięć, to na pewno lepiej spałbym w nocy” – pisze gorzko Szklowski.

To fascynująca podróż wspomnieniowa po świecie ludzi wymordowanych lub złamanych. Eserowcy, ci odważni do szaleństwa rewolucjoniści walczący z caratem,



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Do trzech słabych sztuka

/ W decydującym momencie los Polski spoczął na obu Poniatowskich – królu Stanisławie i księciu Józefie – oraz na Kościuszcze. I każdy miał jakiś defekt. No pech

3 maja, mógł zrobić to, co później zrobił Kościuszko – wzniecić wojnę ludową, wydając dekrety wzywające do obrony ojczyzny włościan i nadając im za to prawa polityczne. Mógł zrobić przynajmniej tyle, żeby nie skapitulować w momencie, gdy wojna przecież wcale nie była jeszcze przegrana, i nie przystępować do targowicy.

Czy Rzeczpospolita Obojga Narodów mogła obronić się przed rozbiorami? Zdumiewa mnie, jak mało uwagi poświęciła polska historiografia temu pytaniu. A może nie powinienem się dziwić – nawyk tłumienia w sobie tego rodzaju ciekawości wyrabiany jest przecież w Polakach od lat przez kolejne pokolenia romantycznych brązowników. Byliśmy dzielni, ginęliśmy odważnie. Po co drażnić temat?

Jeśli już zadane wyżej pytanie znajdowało jakąś odpowiedź, to najczęściej polegała ona na wymierzeniu oskarżycielskiego palca w nieszczęsnego ostatniego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Owszem, starał się Polskę wzmocnić i zreformować, zrobił wiele, ale w decydującym momencie kompletnie zawiódł. Mógł stanąć na czele wojsk walczących w obronie Konstytucji

A skoro tak się stało – czyż nie powinien był podjąć wyzwania jego bratanek? Wiadomo, że go do tego namawiano. Insurekcja dwa lata wcześniej miała perspektywy lepsze niż kościuszkowska. A armia rosyjska nie była tak potężna jak później. W dodatku książę Józef był zdecydowanie lepszym dowódcą od późniejszego naczelnika Kościuszki.

Sprawa ociera się o herezję, bo kładzie cień na uświęconą w naszej tradycji Szkołę Rycerską. Bez wątpienia wykształciła ona wielu płomiennych patriotów – ale dobrych dowódców niewielu, a ci, którzy na takie miano zasługują, „wyrobili się” dopiero przy Napoleonie. Co prawda, to samo można powiedzieć o księciu Poniatowskim. Czy jako hipotetyczny naczelnik insurekcji roku 1792 dowodziłby nią równie dobrze i z równie znakomitym skutkiem jak wojną z Austrią w 1809 r.? Można założyć, że tak, bo przecież miał on doświadczenie wojskowe z prawdziwej wojny, a nie tylko wiedzę podręcznikową.

Problemem Szkoły Rycerskiej było to, że wtłaczała do głów kadetów sztukę wojenną, która u schyłku wieku XVIII stawała się już przeżytkiem: dziwaczne żywe warcaby, w których wroga nakazywano raczej wymanewrować i odciąć od składów z zaopatrzeniem, niż pokonać. Stąd typowe dla tych czasów drobienie posiadanych sił, mnóstwo oddziałów i oddziałków przesłanowych detaszowanych do blokowania „kluczy terenowych”... Zamiast podstawowej zasady strategii wszech czasów stworzyć przewagę na głównym kierunku uderzenia, prowadziło to do efektu dokładnie przeciwnego. Wierny szkolnym naukom Kościuszko (doświadczenia z Ameryki na nic mu się w Polsce przydać nie mogły) doprowadził do klęski pod Maciejowicami, tak rozpraszając swe przeważające siły, że w miejscu decydującym Rosjanie zmiażdżyli go swą liczbą. „Pepi” na pewno niczego takiego by nie zrobił.

Można się oczywiście spierać, czy insurekcja wygrałaby, gdyby nie klęska pod Maciejowicami – mnie osobiście wydaje się, że miała szansę. Co sprawiło, że po roku 1792 Poniatowski na długich kilkanaście lat ograniczył swą aktywność do picia, balowania i romansów? Lojalność wobec królewskiego stryja, któremu wiele zawdzięczał? Ten wybitny wojskowy, podobnie jak i król, nie wykazał się tu twardym charakterem. Z kolei Kościuszko charakter miał, ale marnie dowodził. Akurat na takich trzech wodzach w tym decydującym momencie spoczął los Polski. I każdy miał jakiś defekt. No pech. ©©

XVII–XX w.

Miasto na cześć



RATUSZ W WIANACH-FRANKOWSKU. FOT. WIKIPEDIA / MYKOLA MARKOVICH

Iwano-Frankowsk – tak jak Lwów – różni się od miast na wschodzie Ukrainy. Jest miastem, którego zabytkowa architektura ma charakter europejski, a nie rosyjski. Powstał jako Stanisławów, a założył go Andrzej Potocki, kasztelan krakowski. Idealnie więc nadaje się on na „kolonizatora”, według równie modnej, co prostackiej narracji o polskich panach, którzy rzekomo traktowali ziemie ukraińskie jako kolonię, niczym Belgowie Kongo czy Francuzi Algierię. Czy można być kolonizatorem we własnym kraju, na ziemiach, które w dodatku nie były podbite? I czy kolonizatorami byli magnaci i szlachta z tych samych stron i tego samego pochodzenia etnicznego, co rusińscy chłopci? Oczywiście na ukra-



Tomasz Stańczyk

Aż do początku XIX w. Stanisławów był prywatnym miastem Potockich. Przez niektórych zaliczanych do „kolonizatorów”...

ińskich ziemiach Rzeczypospolitej mieli swoje majątki przybysze z ziem etnicznie polskich. I rzeczywiście kolonizowali – pustki. A także zakładali i rozwijali miasta. Należeli do nich Potoccy.

Przywilej na założenie miasta otrzymał Andrzej Potocki od króla Jana Kazimierza w 1667 r. Żył jeszcze wówczas jego ojciec, wybitny hetman Stanisław

Rewera Potocki. „Do legendy weszła opowieść starego diakona twierdzącego, że granice miasta wytyczył osobiście Stanisław Rewera Potocki. Miał on zdjąć żupan, odwinąć rękawy koszuli, ująć w dłonie pług zaprzężony w parę koni i oborać zarys miasta. To, co ojciec wyznaczył, syn wypełnił treścią – w środku rynku postawił strzelistą ratusz,

Historia polska i ukraińska

Stanisławów



a na czterech rogach, skąd wychodziły główne ulice, zlokalizował świątynie: dwa kościoły, cerkiew i bożnicę. Był to wyraz równouprawnienia wszystkich głównych grup ludności mieszkających w Stanisławowie: Polaków, Rusinów, Żydów i Ormian (S.S. Nicieja, „Kresowa Atlantyda”, t. 1).

Miasto otrzymało nazwę na cześć hetmana Stanisława, a także syna założyciela – także Stanisława. W stanisławowskim kościele umieścił Henryk Sienkiewicz scenę pogrzebu Michała Wołodyjowskiego, ze słynnymi słowami: „Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciół w granicach, a ty się nie zrywasz? Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu?”.

Kiedy Wołodyjowski zginął w Kamieńcu, budowa murowanego kościoła dopiero się zaczynała, tak więc słynna scena odbywała się raczej w drewnianej świątyni. Stanisławowski kościół pw. Najświętszej Marii Panny został ukończony w 1703 r. Był mauzoleum rodzowym Potockich, dopóki Sowietnicy nie zniszczyli ich grobów i sarkofagów, w tym grobu Stanisława Potockiego, poległego podczas bitwy pod Wiedniem. Ocalała jednak upamiętniająca go tablica.

„Starsi pamiętają jeszcze, jak pod koniec lat 40. – pisał Jurij Andruchowycz, który urodził się w Iwano-Frankowsku –

z podziemi kościoła farnego wynoszono zabalsamowanego hrabiego Potockiego w ciemnowiśniowym kontuszu i wyszywanej złotem magierce z piórem. Mumię, podobnie jak całą górę kosztowności, należących do kościoła, załadowano na ciężarówkę i wywieziono w nieznanym kierunku” (J. Andruchowycz, „Erz-Herz-Perc”).

Stanisławów – po tym, jak Turcy zagarnęli Kamieniec Podolski – stał się ważną twierdzą kresową. Andrzej Potocki wybudował zamek, który w 1676 r. oparł się oblężeniu przez Turków. A gdy z odsieczą miastu przybył Jan Sobieski, załoga Stanisławowa dołączyła do jego wojsk i wzięła udział w bitwie pod Żurawnem, za co miasto otrzymało pochwałę na Sejmie.

Pożar i burmistrz

W 1868 r. miasto bardzo poważnie zniszczył ogromny pożar, zwany marmoladowym, gdyż – jak stwierdzał Jurij Andruchowycz – rozpoczął się od nieuwagi gospodni, która „gdzieś w okolicy podwórzy u wlotu ulicy Stefana Batorego smażyła na wolnym ogniu marmoladę”.

Podniesienie Stanisławowa ze skutków tej klęski spadło na barki burmistrza Ignacego Kamińskiego. „To on doprowadził do odbudowy miasta – stwierdzał Stanisław S. Nicieja – dał mu rozmach, elegancję, powab i szyk. Można powiedzieć, że Stanisławów miał szczęście, że w tak ważnym historycznym momencie burmistrzem został wizjoner, sprawny menedżer o duszy artysty i charyzmatyczny przywódca”.

Podczas 19 lat jego urzędowania powstało wiele kamienic, brukowano ulice, wybudowano wodociągi, pojawiło się oświetlenie gazowe, a rzeka Bystrzyca została uregulowana. Ten wybitnie zasłużony dla Stanisławowa burmistrz zmarł w 1902 r. i został pochowany na cmentarzu przy ul. Sapieżyńskiej. Jednak grób Kamińskiego nie istnieje,



Andrzej Potocki, założyciel miasta FOT. WIKIPEDIA



Kolegiata w Iwano-Frankowsku, obecnie muzeum sztuki
FOT. WIKIPEDIA/ROMAN ZACHARIIJ

■ jak zresztą niemal wszystkie groby. Za czasów sowieckich dokonano bowiem zniszczenia cmentarza, zakończonych w 1980 r. Pozostało tylko kilkanaście grobów, wśród nich grób poety i powstańca listopadowego Maurycego Gosławskiego, zmarłego w więzieniu. Natomiast prochy Agatona Gillera, powstańca styczniowego, członka Rządu Narodowego zostały przeniesione do Polski w 1981 r. i pochowane na cmentarzu powązkowskim.

Przed pierwszą wojną światową, jak wspominał aktor Alexander Granach, „miasteczko wyglądało jak osiedle dla lalek: piękne, kilkupiętrowe białe domy, zieleńce i ogrody, kwiaty i aleje z drzewami, czysty, duży rynek i bogate wystawy sklepowe, a wieczorami paliły się lampy elektryczne i było jasno jak w dzień, tylko dużo weselej. Główna ulica, promenada, po jednej stronie zwiała się »linią A«, a po drugiej stronie »linią B«. Tu spotykała się młodzież. Wystrojone, śliczne dziewczęta przechadzały się ze studentami i wymuskany oficerami, trajkocząc i wybuchając śmiechem [...]. Mówiono po polsku i niemiecku, po ukraińsku i żydowsku” (M. Pollack, „Po Galicji”).

Stanisławów był bowiem miastem wielonarodowym, w którym dominowali Polacy i Żydzi, z czasem rosła liczba Ukraińców – do kilkunastu procent. Byli też w Stanisławowie Ormianie. Po Krakowie i Lwowie Stanisławów był trzecim największym miastem w Galicji.

Ułani i peowiaczy

Chwile grozy przeżyli stanisławowianie w lipcu 1917 r., gdy do miasta wpadli zanarchizowani, rozpasani żołnierze rosyjscy. „Hordy maruderów pojawiają się na ulicach Stanisławowa – pisał Tadeusz Olszański urodzony w tym mieście. – Zaczynają rabować sklepy, włamywać się do mieszkań, podpalać, gwałcić i mor-

dować próbując stawiać opór ludność cywilną. Wybuchają pożary, leje się krew, zwłaszcza Żydów” (T. Olszański, „Stanisławów jednak żyje”).

Szczęśliwie dla stanisławowian w pobliżu miasta znajdował się oddział polskich ułanów wyodrębniony z armii rosyjskiej. Na prośbę burmistrza ułani podjęli interwencję, tocząc na ulicach Stanisławowa regularną bitwę ze zde-moralizowanymi żołnierzami rosyjskimi, dołączyli do nich ośmieleni pomocą mieszkańcy. „Najtrudniej jest na ulicy Sapieżyńskiej – opisywał Olszański przywracanie porządku – bo tam najwięcej sklepów i mieszkają najbogatsi, a tych głównie atakowała hołota”. Ułani nie zdążyli nawet odpocząć, kilka dni później wzięli udział w słynnej szarży na niemieckie okopy pod Krechowcami, niedaleko miasta (dziś to część Stanisławowa).

W listopadzie 1918 r. Stanisławów stał się stolicą Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, w zastępstwie Lwowa, którego Ukraińcy nie zdołali opanować. Nastąpiły niebyłe dobre czasy dla Polaków, znaczone rewizjami, przesłuchaniami i aresztowaniami. Ukraińcy próbowali zburzyć pomnik Adama Mickiewicza, jednak tylko poważnie go uszkodzili.

Władze ukraińskie pod wpływem polskiej ofensywy wycofały się z miasta. Stanisławów opanowała 24 maja lokalna Polska Organizacja Wojskowa, przy słabym oporze pozostających jeszcze w mieście żołnierzy ukraińskich. Doszło do strzelaniny, ale w niektórych miejscach nie było prób oporu. „Wzmocnieni liczebnie, raźniej ruszyliśmy z obu stron na koszarę – wspominał Antoni Deblessem, dowódca peowiaków. – Tu spotkało nas wręcz miłe przyjęcie. Żołnierze ukraińscy ze śmiechem i widocznym zadowoleniem oddawali nam broń” (A. Deblessem, „Wspomnienia z prac i walk o polskość Stanisławowa”).

Kilka dni później grupa młodych peowiaków, wysłana na stację Pałahicze, została wzięta do niewoli przez załogę ukraińskiego pociągu pancernego. Trzymano jeńców o głodzie trzy dni, po czym kazano wykopać grób i rozstrzelano siedmiu z nich.

Godnym następcą Ignacego Kamińskiego był burmistrz Wacław Chowaniec, piastujący urząd w latach 1924–1935. Za jego urzędowania zbudowano elektrownię miejską, rozbudowano kanalizację, w centrum pojawiła się nawierzchnia asfaltowa, rozpoczęto też gruntowną przebudowę ratusza, bardzo poważnie zniszczonego w wyniku ostrzału artyleryjskiego podczas pierwszej wojny światowej. Budynek „wykazuje inspirację ekspresjonizmem, stylizacją art deco i jej polską redakcją, tzw. szkołą krakowską – oceniał Michał Pszczółkowski. – Jest to piętrzący się, dynamiczny układ kubicznych brył, opartych o kierunki ukośne” (M. Pszczółkowski, „Kresy nowoczesne. Architektura na ziemiach polskich II Rzeczypospolitej 1921–1939”).

Stanisławowski ratusz (przeznaczony na siedzibę muzeum) jest przykładem – jednym zresztą z wielu – że kresy to nie tylko zamki, pałace i dworki polskich magnatów i szlachty. W czasie II Rzeczypospolitej powstało we wschodnich województwach wiele budynków użyteczności publicznej, a niektóre z nich – jak ratusz w Stanisławowie – są wybitnymi dziełami polskiej architektury, wprowadzającymi nowoczesność do kresowych miast.

Wojenne tragedie

Bezpośrednio po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej NKWD rozstrzelało więźniów, Polaków i Ukraińców. Niewiele ponad miesiąc później Niemcy przystąpili do aresztowań polskiej elity Stanisławowa, głównie nauczycieli. „Niemcy mieli bardzo starannie przygotowaną listę z dokładnymi adresami tych, których mieli zlikwidować. Przygotowali ją dla gestapo dwaj profesorowie gimnazjum ukraińskiego w Stanisławowie – Danysz i dr Jan Rybczyn” (T. Olszański, „Kresy Kresów. Stanisławów”).

Oficer ukraińskiej policji o nazwisku Hewa, były nauczyciel w tym gimnazjum, także został rozstrzelany, gdyż ujmował się za dawnymi polskimi kolegami nauczycielami.

Egzekucji 250–300 Polaków dokonano w Czarnym Lesie. Zginęło tam także ok. 50 polskich uczniów zabitych za to, że 11 listopada wywieszali w mieście polskie flagi.

Doły śmierci w Czarnym Lesie zostały odkryte pod koniec lat 80. minionego wieku. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ufundowała w tym miejscu pomnik, postawiono też krzyż.

Odpowiedzialny był za te zbrodnie Hans Krüger, szef gestapo w Stanisławowie. Przesłuchiwał zatrzymaną Karolinę Lanckorońską, delegatkę Rady Głównej Opiekuńczej, która zajmowała się pomocą dla więźniów. Myśląc, że zostanie skazana na śmierć, przyznał się jej, że to on stał za zamordowaniem polskich profesorów wyższych uczelni we Lwowie.

Krüger był nie tylko mordercą, lecz także chciwym rabusem. Wymuszał na dwóch lekarzach Ukraińcach okup za pozostawienie przy życiu ich żydowskich żon. Żądał takich sum, jakich ci dość bogaci ludzie nie mieli. „Wszyscy stanisławowscy lekarze – polscy, ukraińscy i żydowscy – pomagali zebrać pieniądze. Mój ojciec również uczestniczył w tej zbiórce” – wspominał Tadeusz Olszański. Po wzięciu okupu gestapowiec polecił rozstrzelać lekarzy i ich żony.

W październiku 1941 r. nastąpiła masakra ludności żydowskiej. Pędzono ją przez miasto na cmentarz. Jak pisał cytowany powyżej T. Olszański: „Całą trasę obstawiała ukraińska policja i Niemcy z psami. Na cmentarzu kazano kopać doły, potem rozbierać się i kłaść rzędami do mogił. Mordowano ich seriami z karabinów maszynowych. Na dobijanie nie było czasu. Ranni dusili się pod padającymi na nich zwłokami”.

Egzekucję w pewnym momencie przezwano, widać doły się zapełniły. Getto w Stanisławowie przetrwało do lutego 1943 r. Wówczas jego mieszkańcy zostali wymordowani.

W 1962 r. Stanisławów został przemianowany na Iwano-Frankowsk, na cześć Iwana Franki, poety i publicysty, tworzącego z Tarasem Szewczenką i Łesią Ukrainką trójkę ukraińskich wieszczów. Jednak nazwa „Stanisławów” widnieje na etykiecie piwa Pańskiego z miejscowego browaru, z tradycją sięgającą 1767 r., gdy miasto było jeszcze własnością „kolonizatorów” Potockich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polskie Inflanty



Tomasz Stańczyk

Skoncentrowani na Kresach Wschodnich, Lwowie i Wilnie, masakrze Polaków dokonanej przez UPA na Wołyniu (ale też w Małopolsce Wschodniej!), zapominamy o Inflantach Polskich. Skarżył się na to już w XIX w. Gustaw Manteuffel, historyk amator pochodzący z tej krainy, autor „Zarysu z dziejów krain dawnych inflanckich”. Inflanty Polskie odpadły od Rzeczypospolitej dawno temu, w 1772 r. i nie weszły w skład II Rzeczypospolitej, co trochę tłumaczy to zapomnienie. A przecież polskość nie przestała tam istnieć! Dziś na Łotwie w dawnych Inflantach Polskich, w Łatgalii, żyje ok. 40 tys. Polaków.

Inflanty weszły w skład Rzeczypospolitej w XVI w., gdy wreszcie przestało istnieć krzyżackie państwo zakonu Kawalerów Mieczowych, pozbawione od dawna celu swego istnienia, jakim była walka z poganami i ich nawracanie. W rezultacie wojen ze Szwecją utraciliśmy większość Inflant. Pozostała przy Rzeczypospolitej ich część to właśnie Inflanty Polskie.

Stamtąd wywodzą się rody polskie o pochodzeniu niemieckim, a wśród nich Platerowie, Manteuffelowie (w tej rodzinie było kilku znakomitych profesorów, m.in. historyk Tadeusz Manteuffel), Weyssenhoffowie. Józef Weyssenhoff, był jednym z najaktywniejszych zwolenników reform w epoce stanisławowskiej – wygłosił 100 przemówień w Sejmie – i poparł Konstytucję 3 maja. Inny Weyssenhoff, też Józef, był uczestnikiem powstania kościuszkowskiego, brał udział w kampaniach napoleońskich i powstaniu listopadowym. Inflantczykiem był Leon Plater, który podczas powstania styczniowego brał udział w napadzie na rosyjski transport broni i amunicji. Napad się udał, ale Platę schwymano. Ponieważ Rosjanie nie mieli w ręku dowódcy oddziału, zrobili nim Platę. On zaś chroniąc dowódcę, któremu właśnie urodziło się dziecko, nie zaprzeczał. Został skazany na śmierć i rozstrzelany w Dyneburgu.

Reforma rolna na Łotwie po pierwszej wojnie światowej wyzuli polskich ziemian z majątków. Pozostały pałace, dwory i fundowane przez nich świątynie. Gdy w 1918 r. odradzała się Polska i powstawała Łotwa, Polacy dominowali w sześciu gminach położonych między Dyneburgiem a Dźwiną. Gminy te niegdyś należały do Kurlandii, polskiego lenna. Gminy te w istocie zostały подарowane Łotyszom. Piłsudski liczył, że dobrze to ich usposobi do sojuszu przeciw bolszewickiej Rosji. Faktycznie – w styczniu 1920 r. wojska polskie i łotewskie wyparły Armię Czerwoną z Łatgalii. Natychmiast po tym rząd łotewski stwierdził, że cel został osiągnięty, a dalsze współdziałanie z Polską przeciw bolszewikowi nie ma sensu i nie jest opłacalne. I choć na Łotwie w latach międzywojennych ograniczano czasami bardzo dotkliwie prawa Polaków do zachowania swojego języka i tożsamości, to nie da się tego porównać z konsekwentną i brutalną polityką Litwinów. © ©



Na butelkach piwa Pańskiego używana jest dawna nazwa miasta – Stanisławów

FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Wytop stali w hucie w Brackenridge
(Stany Zjednoczone) FOT. LOC/WIKIPEDIA

XIX-XX w. / Od kucia do frezowania

Obróbka stali



Tymoteusz Pawłowski

Stal – która stała się powszechnie dostępna w XIX w. – jest doskonałym surowcem.

Aż chciałoby się napisać o przekuwaniu pomysłów w przedmioty. Sformułowanie to pochodzi jednak z czasów, gdy obróbką żelaza zajmowali się kowale, a przecież metod obróbki metalu jest kilka: każda ma zarówno swoje zalety, jak i wady

Kucie doskonale sprawdza się przy produkcji elementów nieskomplikowanych. Na przykład talerzy albo hełmów wojskowych. Powstają one w ten sam sposób – naleśnik blachy kładzie się na odpowiedniej formie i uderza w niego młotem lub przyciska prasą. Następnie zmienia się formę i znów się uderza lub

przyciska. W zależności od stosowanych form otrzymujemy talerz płaski, talerz głęboki lub hełm wojskowy.

Prasa hydrauliczna jest fascynującym urządzeniem, ponieważ ciecz zachowuje się w niej w sposób uwłaczający zdrowemu rozsądkowi. Niewielki strumień wody wpadający do beczki z dużej wysokości potrafi ją rozsadzić. Ciśnienie na dnie naczynia nie zależy bowiem od

ciężaru cieczy, tylko od wysokości jej słupa. Ten pozorny paradoks wynika z faktu, że ciśnienie wewnątrz zbiornika wypełnionego płynem jest wszędzie jednakowe. Tak właśnie brzmi – nieco uproszczone – prawo Pascala.

Jeśli zbudujemy układ hydrauliczny składający się z dwóch tłoków, to ciśnienie na nie działające będzie zawsze takie samo. Jeśli tłoki te będą różniły się wielkością – dajmy na to 10 razy – i naciśniemy mniejszy tłok, to na większym tłoku siła będzie dziesięciokrotnie większa. Taka jest właśnie zasada działania prasy hydraulicznej.

W 1795 r. prasę hydrauliczną zbudował Joseph Bramah, angielski ślusarz i wynalazca (który nieco wcześniej zbudował nowoczesną toaletę ze spłuczką). Została ona wykorzystana w imperium metalurgicznym stworzonym w XIX w. przez Williama Armstronga. Zajmował się on produkcją wyrobów metalowych, o talerzach z jego fabryk mało kto pamięta, ale wielu kojarzy to nazwisko

z produkcją hełmów wojskowych oraz artylerii. To przecież niemal jedno i to samo.

Obróbka skrawaniem

Wadą wykuwania przedmiotów jest niewielka precyzja tego procesu. Prasa hydrauliczna była nieco lepsza – zapewnia stały, równy nacisk, którym można łatwo sterować. Jeśli jednak chce się wykonać detal o skomplikowanym kształcie, to najlepiej sprawdza się obróbka skrawaniem, czyli – po prostu – rzeźbienie stali.

Obrabiarki można z grubsza podzielić na te, w których obrabiany przedmiot jest utrzymywany w bezruchu, a porusza się nóż (lub noże), oraz na takie, w których nóż jest stały, a obracany jest przedmiot. Większość tych pierwszych nazywa się dziś frezarkami, a tych drugich – tokarkami. Nowoczesne tokarki przystosowane do ciągłej pracy w twardym metalu pojawiły się w połowie XVIII w.: w 1751 r. tokarkę taką – nazwaną „matką narzędzi mechanicznych” – zbudował we Francji Jacques de Vaucanson.

Frezarka jest jednak o wiele bardziej skomplikowanym narzędziem. Najpierw – pod koniec XVIII w. – istniała w formie strugarki, w której ostrze wykonuje ruch tylko w jedną stronę. Maszyna parowa zapewniała siłę pozwalającą „strugać” metalowe wióry, ale urządzenie to precyzją działania przypominało młot. Dopiero zastąpienie jednego ostrza wieloma i wprowadzenie ich w ruch obrotowy zapewniło wystarczającą precyzję. Debiut frezarek nastąpił – podobnie jak prasy hydraulicznej – w przemyśle zbrojeniowym, ok. 1818 r., w amerykańskich zakładach produkujących uzbrojenie: Springfield oraz Harpers Ferry.

Obróbka skrawaniem jest bardzo precyzyjna, za precyzję płaci się jednak bardzo wysoką cenę. Tą ceną są wióry. Im delikatniejszy ma być produkowany detal, tym wiórów jest więcej i tym więcej tracimy cennego surowca. Jeśli chcemy oszczędzić, to powinniśmy zastosować odlewanie – metodę produkcji niemal tak starą jak świat. To właśnie ona zdecydowała o tym, że zanim nastała epoka żelaza, była epoka brązu. Miedź i cyna – główne składniki brązu – mają niską

temperaturę topnienia i ładnie wypełniają formy odlewnicze.

Odlewanie stali ma oczywiście swoje wady. Można odlać detal o najbardziej skomplikowanych kształtach, nie wymaga to skomplikowanych narzędzi, koszty produkcji są bardzo niskie, ale pojawiają się problemy z jakością, podobne do tych, które mieli pudlarze mieszejący stal. Jeśli do odlewu dostaną się zanieczyszczenia – np. pęcherzyki powietrza – osłabi to wytrzymałość produktu. Dlatego też odlewane są przede wszystkim te elementy, które nie przenoszą dużych obciążeń. Odlewanie stosuje się też wtedy, gdy producentowi zależy na oszczędnościach – np. podczas produkcji pancernych czołgów, gdy wróg zbliża się do granic. I wreszcie odlewamy metalowe przedmioty wówczas, gdy nie dysponujemy inną technologią.

Młoty i kafary

W początkach XIX w. wytwarzanie małych elementów żelaznych czy stalowych nie stanowiło problemów. Można było wybierać dowolną technologię: obróbkę skrawaniem dla łuf armatnich, kucie dla talerzy i hełmów, odlewanie dla szyn kolejowych. Produkcja większych elementów była bardziej skomplikowana, szczególnie takich, które musiały przenosić duże obciążenia. Radzono sobie metodami średniowiecznymi: siłami ludzi i zwierząt podnoszono kilkutonowy ciężar – bijak, zwany powszechnie „babą” – który opadając, uderzał w kowadło. Następnie „babę” podnoszono i całą czynność powtarzano.

Dopiero w 1839 r. zaprzęgnięto do tej pracy silnik parowy. Nie wiadomo, komu przypisać pierwszeństwo: czy Szkotowi Jamesowi Nasmythowi, czy Francuzowi

François Bourdonowi. Obaj inżynierowie rozpoczęli spór już w latach 40. XIX w. i do dziś nie został on rozstrzygnięty. Wówczas chodziło o pieniądze z patentów, dziś chodzi o dumę narodową.

Pierwsze młoty parowe służyły do łączenia ze sobą elementów stalowych. Para zarówno unosiła, jak i opuszczała bijak, ważna była bowiem duża częstotliwość uderzeń. Największe młoty parowe wykorzystywano w stalowniach do formowania blach. W 1891 r. amerykańska firma Bethlehem Iron Company zbudowała młot parowy o sile uderzenia 125 ton, mogący kształtować „blachę” grubości kilkunastu centymetrów. Nie produkowano z niej ani talerzy, ani hełmów, tylko pancerze okrętów liniowych.

Dzisiaj próżno by szukać młotów parowych, nie doczekały one nawet drugiej wojny światowej – prasy hydrauliczne i mechaniczne okazały się lepsze: mogły aplikować siłę z większą precyzją i dawać stal dużo lepszej jakości. Przed pierwszą wojną światową potęgą młotów parowych decydowała o miejscu w rankingu mocarstw. Liczono je wówczas w dość prosty sposób: liczbą i potęgą okrętów liniowych.

Okręty liniowe nie dotrwały do naszych czasów: są albo pocięte na żyletki, albo usytuowano w nich muzea. W roli wyznacznika mocarstwowości zastąpiły je lotniskowce nienoszące tak potężnego opancerzenia. Dziś nawet hełmów wojskowych nie produkuje się ze stali, ale wciąż pozostaje ona najważniejszym elementem konstrukcyjnym niemal każdej budowli. Konstruktorzy i budowniczowie okrywają jednak stal betonem i szkłem.

Stal nie jest już modna tak jak sto lat temu, gdy Francuzi chwalili się cudem XIX-wiecznego świata: wieżą Eiffla. Nabene Gustave Eiffel nie był jej projektantem, firmował po prostu przedsięwzięcie swoim nazwiskiem. Wieża zbudowana jest oczywiście z kutej stali, a dokładniej z 18 038 belek i ok. 2,5 mln łączących je nitów. „Oczywiście”, ponieważ odlanie takiej wieży nie zapewniałoby wystarczającego bezpieczeństwa, a wykonanie jej metodą obróbki skrawaniem doprowadziłoby do bankructwa całej Europy. Wieża Eiffela – a raczej wieża Maurice’a Koehlina i Émila Nougiera – jest tak delikatna i ażurowa, że ponoć powietrze ją wypełniające waży więcej niż stal użyta do jej budowy.



Obróbka stalowego elementu
FOT. WIKIPEDIA

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują

/ Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

NIEMIECKI OBOZ DLA POLSKICH DZIECI UTWORZONO 11 GRUDNIA 1942 R. PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI. DZIAŁAŁ DO 19 STYCZNIA 1945 R., POD OFICJALNĄ NAZWĄ: „POLEN – JUGENDVERWAHLAGER DER SICHERHEITSPOLIZEI IN LITZMANNSTADT” („KINDER – KZ LITZMANNSTADT”), JEST JEDNAK ZNANY TAKŻE JAKO „MAŁE AUSCHWITZ”.

TEORETYCZNIE BYŁ PRZEZNACZONY DLA DZIECI W WIEKU 6-16 LAT, ALE PRZEBYWAŁY TAM TEŻ MŁODSZE. POWODY TRAFIENIA DO OBOZU BYŁY BARDZO RÓŻNE.



NAJCZĘŚCIEJ PRZEWOŻONO TAM SIEROTY, KTÓRYCH RODZICE ZGINĘLI LUB TRAFILI DO OBOZÓW DLA DOROSŁYCH, ALE TAKŻE ZEBRZĄCYCH NA ULICACH...



ALE Z ZACHOWANYCH DOKUMENTÓW WYNIKA, ŻE POWODEM OSADZENIA W OBOZIE BYŁO TAKŻE PRZERZUCANIE JEDZENIA DO GETTA CZY PRZESKADZANIE OTOCZENIU I WYWIERANIE WIEMNEGO WPLYWU NA DZIECI NIEMIECKIE.

SZACUJE SIĘ, ŻE DO OBOZU TRAFIŁO W SUMIE 3 DO 5 TYSIĘCY DZIECI – W JEDNYM CZASIE MOGŁO PRZEBYWAĆ W NIM NAWET 2 TYSIĄCE MŁODYCH POLAKÓW, DZIECI MIESZKAŁY TAM W POTWORNYCH WARUNKACH, DOSTAJĄC NA DZIEŃ JEDYNE DWA KROMKI CHLEBA I MISKĘ ZUPY.

ZMUSZANO JE DO BARDZO CIĘŻKIEJ PRACY PRZEZ CAŁY DZIEŃ – NP. WYTWARZANIA RÓŻNYCH RZECZY NA POTRZEBY NIEMIECKIEJ ARMII CZY NAPRAWY WOJSKOWYCH BUTÓW. NATOMIAST TYCH, KTÓRZY NIE WYRABIALI NORM – KARANO.



KARAMI BYŁO MIĘDZY INNYMI ZMNIEJSZANIE O POŁOWĘ RACJI ŻYWNOŚCIOWYCH, BICIE, POLEWANIE ŁODOWATĄ WODĄ CZY ZMUSZANIE DO STANIA NA MROZIE.



JAKUB POZNAŃSKI Z ŁÓDZKIEGO GETTA W PROWADZONYM PRZEZ SIEBIE DZIENNIKU NAPISAŁ: „DZISIAJ PRZYWIEZIONO DO NAS 120 POLSKICH DZIECI Z „POLEN-JUGENDLAGER”. NAWET MY – MIESZKAŃCY GETTA BYLIŚMY PRZERAŻENI... KOSZMARNY WIDOK, CIAŁA WYNEDZIAŁE, SKÓRA I KOŚCI, NOSZĄCE ŚLADY NIELUDZKIEGO BICIA I KATOWANIA. PAMIĘTAM JAK JEDEN CHŁOPIEC KONAŁ 3 DNI. WOŁAŁ MAMĘ... A WSZYSCY PŁAKALI. PRYSZŁA NIEMKA W MUNDURZE, KIEM ZERWAŁA Z NIEGO KOC RAZEM Z ROPIJĄCYM CIAŁEM... AŻ BYŁO WIDĄĆ KOŚCI. JESZCZE ŻYŁ. ZABRANO GO NA TEN KOC I ZANIESIONO ŻYWE DO TRUPIARNI...”

KILKASIEĆ SPOŚRÓD DZIECI, KTÓRE TRAFIŁY DO OBOZU PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ, NIE DOCZKAŁO KOŃCA WOJNY. ICH UPAMIĘTNIENIU MA SŁUŻYĆ MUZEUM, KTÓRE MA ZOSTAĆ UTWORZONE W ŁODZI. JAK NAPISANO W LIŚCIE INTENCYJNYM „PRAWDA O WSTRZĄSAJĄCYCH ZBRODNIACH DOKONANYCH NA TYSIĄCACH POLSKICH DZIECI W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ – PRZETRZYMYWANYCH, ZMUSZANYCH DO NIEWOLNICZEJ PRACY, KATOWANYCH, GŁODZONYCH I W EFEKcie DOPROWADZANYCH DO ŚMIERCI – NIGDY NIE POWINNA ZOSTAĆ ZAPOMNIANA. DZIEKI MUZEUM HISTORIA ŁÓDZKIEGO OBOZU ZOSTANIE ZACHOWANA I PRZEKAZANA NASTĘPNYM POKOLENIOM.”





Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Rak między Piłsudskim, Stalinem a Hitlerem

Książka Krzysztofa Raka o misternej grze Józefa Piłsudskiego między Niemcami a Sowiecami z lat 1926–1935 („Piłsudski między Stalinem a Hitlerem”, Warszawa 2021) stanowi przełom w polskiej historiografii poświęconej dyplomacji II RP. Jest to bowiem pierwsza książka nie tylko o założeniach naszej dyplomacji, lecz także przede wszystkim o praktyce politycznej, w której istotne znaczenie odgrywają służby specjalne, prowokacje, kompromisy i dezinformacja. Jest to też pierwsza książka, w której na tę skalę polska polityka zagraniczna analizowana jest zarówno przez pryzmat polskich, jak i niemieckich oraz sowieckich archiwaliów. Jest to wreszcie książka, która ostatecznie przekonała mnie do wielkiego kunsztu Piłsudskiego jako kreatora polityki zagranicznej, którego mogę zestawiać z Talleyrandem, Metternichem czy Bismarckiem. Pozostaje we mnie tym większy smutek, że zabrakło Marszałka w roku 1939.

Piłsudski zdając sobie sprawę ze słabości kapitałowo-wojskowej Polski, podjął grę, której stawką było wyjście Polski z międzynarodowej izolacji i jej ostateczne upodmiotowienie. Kwestia aliansu ze zbyt silnym partnerem nie miała nic do rzeczy.

Piłsudski rozumiał niesymetryczność aliansów, bo są one czymś normalnym w polityce sojuszy i polityce międzynarodowej, niezależnie od tego, czy silniejszy partner sąsiaduje z Polską czy nie. Czyżby sojusz Polski z Francją z lat 20. był sojuszem równego z równym? Wiemy, że nie! I z czasem – co świetnie rozumiał Marszałek – Polska przestała być dla Paryża partnerem do tego stopnia, że nie wyobrażano sobie na Zachodzie, by Polska mogła sama sobie wypracować gwarancje bezpieczeństwa bez zgody mocarstw. Stała się jedynie przedmiotem w polityce francusko-brytyjskiej i wypadkową ich polityki na kontynencie względem Niemiec i Sowieców.

Polityka Piłsudskiego – i to warto tu podkreślić – była wypadkową realiów lat 1926–1935. A to nie oznacza, że nie zmieniałby zdania w obliczu gier międzynarodowych z lat 1938–1939. Był bowiem politykiem zmieniającym często zdanie i – co słusznie zauważył autor, cytując stosowne wypowiedzi – niechętnym doktrynerstwu, czyli przywiązaniu w polityce do z góry upatrzonego celu czy założenia. Miał wreszcie ważną zasadę, co książka Raka świetnie ukazała (także cytując samego Marszałka): uznawał bowiem konflikt i rywalizację niemiecko-sowiecką za warunek bezpieczeństwa Polski.

Piłsudski idealnie wybrał moment na rozbicie osi Berlin-Moskwa. Najpierw przyjmując ofertę sowiecką do rozmów o pakcie o nieagresji, które ciągnął od 1926 do 1932 r., by wykorzystać go dla antagonizmu Moskwy z Berlinem, aby później skorzystać z okazji dojścia do władzy Hitlera i NSDAP, i zawarcia pokoju z III Rzeszą, która z kolei nie ukrywała, że jej celem jest zniszczenie Związku Sowieckiego. Ukazał przy tym swój polityczny geniusz – potajemnie komunikując się z bolszewikami, by wsparli jego zamach majowy w 1926 r., odnawiając dawne socjalistyczne znajomości z Karolem Radkiem, strasząc Sowieców Niemcami... Z drugiej strony wykorzystał antysowieckie poglądy Hitlera, by stworzyć wstępnie iluzję Polski jako sojusznika III Rzeszy. Stworzył przez to idealne warunki do kontynuowania tej gry po swojej śmierci, chociaż sytuacja nabierała takiej dynamiki, że taniec na linie nie był już możliwy.

Wepchnięcie Polski w objęcia Wielkiej Brytanii po 6 kwietnia 1939 r. i doprowadzenie przez to do wypowiedzenia przez Hitlera paktu o nieagresji z 1934 r. postrzegać należy więc nie tylko jako pogrzebanie opisanych przez Raka wysiłków i osiągnięć Piłsudskiego, lecz także w istocie zerwanie z jego dziedzictwem politycznym (skoro testamentu nie pozostawił). „Paradoksalnie więc Warszawa – pisze w zakończeniu Rak – odrzucając ofertę Berlina, stała się aliantem Moskwy, co nie powinno zaskakiwać, jeśli poważnie potraktowałoby się program polityki zagranicznej Hitlera. W konsekwencji tych decyzji Polska, będąc członkiem zwycięskiej koalicji, utraciła jakąkolwiek podmiotowość, stając się krajem w pełni podporządkowanym ZSRR. Nie była nawet klasycznym satelitą, bo ten z reguły zachowuje pewną wewnętrzną niezależność”. ©©



KRZYSZTOF RAK
„PIŁSUDSKI MIĘDZY STALINEM
A HITLEREM”

BELLONA

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY



PARTNER

